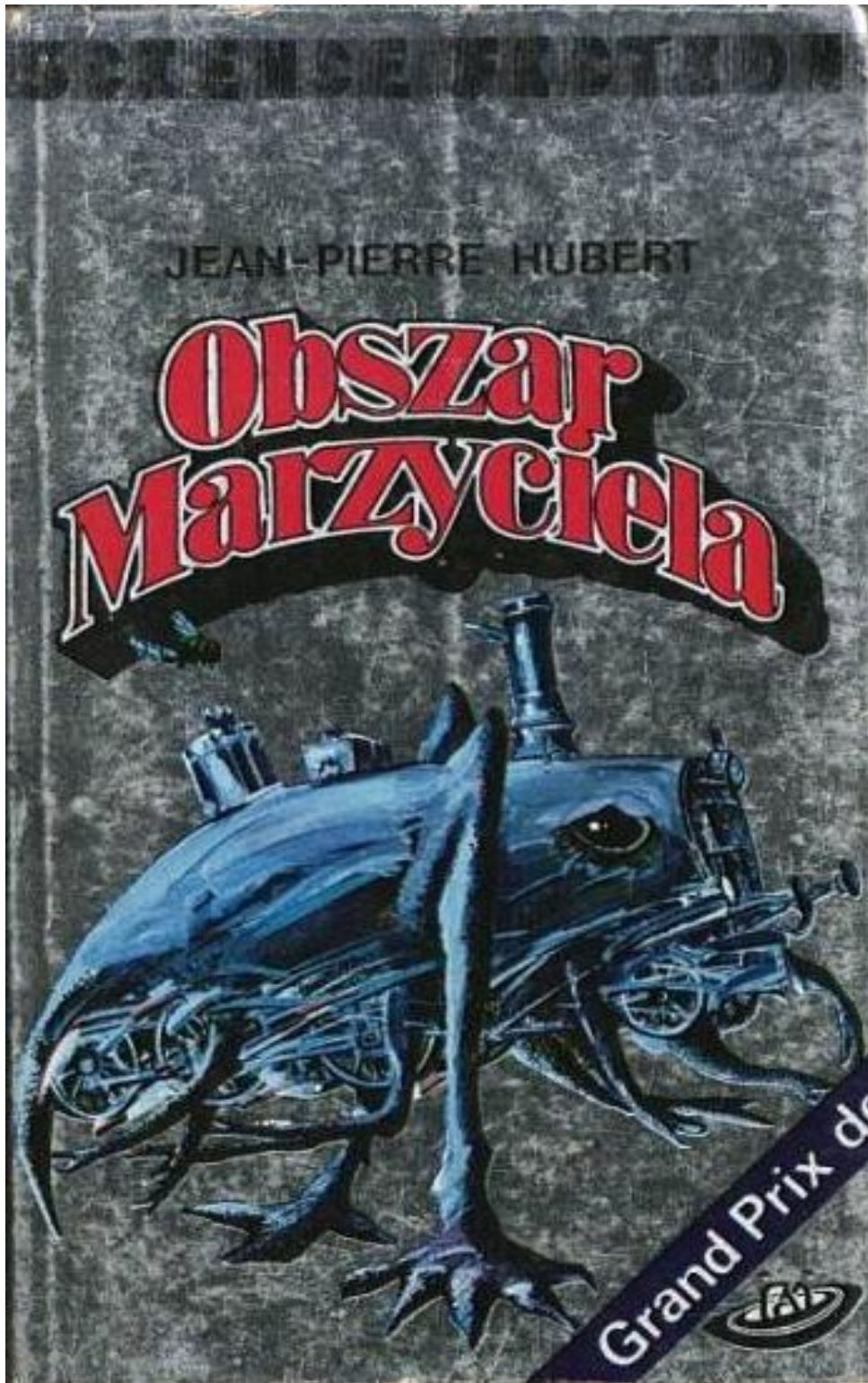


JEAN-PIERRE HUBERT

---



JEAN-PIERRE HUBERT

---

**JEAN-PIERRE HUBERT**

**OBSZAR  
MARZYCIELA**

TYTUŁ ORYGINAŁU: LE CHAMP DU RÊVEUR  
PRZEKŁAD: BOŻENA SĘK

## PROLOG

**OBIEKT:** Gromada galaktyk S23. Przekrój diachroniczny cywilizacji Runy.

**RODZAJ:** Związek trzech ras żyjących w symbiozie uczuciowej. Przejawy dominacji wykluczone dzięki odpowiedniemu rozkładowi pól emocjonalnych.

**DZIEJE** (streszczenie wyjątków): U szczytu swego rozwoju cywilizacja runijska sprawuje kontrolę nad stu układami planetarnymi i podejmuje automatyczne badania reszty galaktyki. Zasady pacyfistyczne prowadzące do konserwatyzmu /w okresach stagnacji./ W stadiach ekspansji ostrożna polityka asymilacji pozwala utrzymać w imperium doskonałą stabilność. Kontakt jest nawiązywany wyłącznie z rasami łagodnymi lub uzupełniającymi, unika się innych form życia obdarzonego inteligencją, nadzoruje się je, a nawet dokładnie bada za pomocą niezwykle złożonego pobierania próbek mentalnych. /W związku z tym Runijczycy podejmują szeroko zakrojone programy badań podświadomości na cywilizacjach tworzących we Wszechświecie enigmatyczne wysepki „parainteligencji”./ Program „Marzyciel” pobudza do działania energie kinetyczne macierzystej planety przez blisko pięć wieków. Jego przedmiotem jest rasa humanoidalna o niepokojących możliwościach, bliska fizjologicznie, odizolowana na zagubionym w odległym spiralnym ramieniu galaktyki maleńkim świecie: Ziemia 1.

**ETYKA** (elementy oceny a posteriori): Zważywszy na szczególnie przebieg niektórych spośród tych misji, często dramatycznych, wysunięto hipotezę, jakoby trzy rasy runijskie nieświadomie poszukiwały czwartego symbiotycznego partnera, niezbędnego im do zachowania równowagi.

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

**WIĘZIENIE MARZYCIELA**

*Ku tobie płynę, wszystko niszczący,  
lecz nie zwycięski wielorybie;  
do ostatka zmagam się i tobą,  
z samego serca piekiel godzę w ciebie;  
w imię nienawiści plwam na ciebie  
ostatnim mym tchnieniem!  
Zrzuć w jedną topiel  
wszystkie trumny i wszystkie mary,  
skoro mnie przypaść nie mogą*

*w udziale...\**

(Melville, „Moby Dick”) Przekład Bronisława Zielińskiego

## **BANK OBRAZÓW... NARODZINY MARZYCIELA**

Lato 1947 roku. Jasny świt pod niebem wypranym na wieczność ze wszystkich chmur. Tannenburg przygotowuje się do kolejnego dnia kontynentalnego upału, bez jednego podmuchu wiatru, ze słońcem przykutym nad zrudziałą równiną. Z ocalałych w bombardowaniach fasad domów pada na ulice miasteczka cień w kształcie geometrycznych pól. Kobiety z blaszankami i dziećmi na ręku ustawiają się w kolejkach. Dzwoni metal, rozlega się zduszony płacz. Kobiety są ciche. Mało mówią. Z zaspanymi jeszcze oczami czekają na otwarcie spółdzielni. Dzień pracy będzie długi, zwłaszcza z pustym brzuchem... I ten upał nie dający radości...

Na wybetonowanym podwórzu bloku 13 Peter snuje marzenia. Jego matka stoi gdzieś w miasteczku przed punktem żywieniowym. Dwie siostry bawią się w mizernym warzywniku, zaraz za żelazną szubienicą służącą do trzepania dywaników podczas wspólnych czwartkowych porządków. Wloką za sobą wiotką lalkę między pory i główki sałaty, gdzie na białej porcelanie przygotowały dla niej obiad. Paplają, nucą i kołyszą swoje szmaciane dziecko. Jak łatwo przewidzieć, za kilka minut pojawi się stary Stoltz, żeby, potrząsając laską inwalidy wojennego, wyrzucić je ze starannie zagrabionych grządek.

Nie pamięta w tej chwili o siostrach. Matka przykazała mu, aby ich pilnował, ale on wie, że to niepotrzebne, bo nic im nie grozi. Nie są jeszcze, jak on, w wieku poważnych zabaw... Duża mucha plujka usiadła na pożyczonej z miejskiej biblioteki książce, leżącej grzbietem do góry w zasięgu ręki (matka wciąż powtarza, że to niszczy okładki). Zabije zuchwałą mu-

chę, która czyści sobie skrzydełka akurat na obrazku przedstawiającym Moby Dicka, przekłętego wieloryba; bez trudu mógłby go osaczyć tego popołudnia w towarzystwie Achaba.

— Peter!

Matka wróciła. Zaraz zostawi Uwe u sąsiadki z drugiego piętra. Siostry będą się dalej bawiły w warzywniku albo przed drzwiami pralni, a on odłoży książkę i pójdzie, nie spiesząc się, na teren kazamat.

Pedałuje po zapyłonej ścieżce prowadzącej do dawnej stacji rozrządowej. Upał panuje już dokuczliwy. Nikogo nie ma na tych płaskich terenach, gdzie pozostały jeszcze wyasfaltowane przestrzenie przywodzące na pamięć dzielnice zrównane z ziemią przez bombardowania w 44 roku. Są tam strefy zakazane, bo nie rozminowane, ale on je od roku przeszukuje z rozsądnym zuchwalstwem. Żeby znaleźć nowy skrót, wystarczy czasami odcisnąć na ziemi cienki ślad opon roweru.

Matka domyśla się na pewno, że on włóczy się po tym odludziu. Ale nie ma siły zareagować. Zachowuje się, jakby nic nie widziała. Tak jest prościej i to obłaskawia nieszczęście. Pierwszy raz Peter zatrzymuje się w pobliżu rozbitych wagonowni, niedaleko od torów używanych jeszcze przez konwoje biegnące do Pozen.

Rower położył w rowie i czyha teraz na tajemniczy śpiew szyn, który zapowiada nadejście pociągu załadowanego sprzętem albo ludźmi, odchodzącego w stronę wschodnich równin.

Jedna z zabaw Petera polega na tym, że układa na szynach duże, gładkie kamienie. Konwój przetacza się w piekielnym porywie wiatru, z sapaniem żarłocznej bestii, i wystarczy potem zebrać kamienny pył rozsypany na gładkim i ciepłym metalu, drżącym jeszcze po przejściu potwora. Można tak miazdżyć różne rzeczy, ale najzabawniej jest wtedy, kiedy w grę wchodzi jakieś istnienie, nawet skromne, jak na przykład ślimaka albo pasikonika zamkniętego w klatce wydrążonej w korku. Nadejściu lokomotywy towarzyszy wtedy niepojęta

emocja. Umieszczona na szynie ofiara nie wie, że za kilka chwil nadciągnie nieubłagana siła, by ją unicestwić, zamienić w znak na żelaznym ołtarzu poświęconym bóstwu-lokomotywie. Niekiedy sam zwodzi przeznaczenie i ratuje drobne życie dokładnie w chwili, gdy pociąg ukazuje się na prostej. Emocja jest wtedy u szczytu, a on z zadowoleniem wyobraża sobie wdzięczność na wieki ze strony ocalonego owada, choć i jej przeciwieństwo jest prawdopodobne, bo pasikoniki, podobnie jak wieloryby, pamiętają swoich dręczycieli i dobroczyńców od czasów Achaba, przekłętego obrońcy.

Dzisiaj Peter ma coś lepszego do roboty. Konwój z godziny dziesiątej nic nie pochłonie, gdyż nie przewidział na ten cel żadnej bzyczącej ofiary. Chłopiec idzie wzdłuż rowów wypełnionych skręconymi od pożaru belkami. Stoją w nich cuchnące bajorka deszczówki. W jednej wagonowni ze zmiecionym dachem króluje zardzewiała lokomotywa zaplątana wśród zwrotnic. Wydaje się ciągle wahać między kilkoma drogami. Peter dobrze zna tę maszynę, zbadał ją w najdrobniejszych szczegółach. To jego odwet. Ma wrażenie, że potrafiłby poruścić tę olbrzymią masę metalu i skierować ją wedle chęci na rozliczne i tajemnicze drogi stacji rozrządowej. W przeciwieństwie do zabawki dorosłych, ten przedmiot należy do niego i przybliża go do zadania, bo w końcu trzeba będzie się zdecydować...

Idzie dalej. Grządki zieleni wyzierają spod podziurawionych osłon, próbując zdobyć nowe tereny. Peter nie lubi tego panoszenia się roślinności. Giętkim prętem ścina czubki krzaków i łamie zielone gałązki bżów. Tylko pustynia pasuje do tego miejsca. Wszystko, co przypomina ogród lub las, musi być zniszczone.

Nowy ostrożny postój w pobliżu starego komina, który z każdą zimą coraz bardziej się rozsypuje. Stosy oderwanych cegieł tworzą idealną kryjówkę. Uspokaja oddech i nasłuchuje. Wie, że ponad ćwierkaniem ptaków można usłyszeć ciężkie kroki i trzaskające pod nimi suche gałęzie. Peter ma wroga.

Groźnego rywala. Unika go bądź drażni, zależnie od nastroju. Chodzi o włóczęgę, dobrze znanego w miasteczku pod przydomkiem Pollack. Peter znajduje czasami w miejscach osłoniętych jego urządzone na poczekaniu legowiska. To wróg bezwzględny, złowróbnny cień krążący nad tym miejscem. Jest stary, a jednak nie bawi się w zabawę starców. Wiecznie błądzi wśród ruin swej porażki, podczas gdy powinien w miasteczku stać w kolejce razem z innymi. Rzuca kamieniami, klnąc przy tym głuchym głosem.

Wszystko jest ciche. Muchy brzęczą nad polem dziewanny zajmującym dawny podmurowany teren głównej wagonowni. Peter będzie mógł zaryzykować i wyjść na słońce. Cień jest gdzie indziej, może zmiażdżony pod kołami konwoju z godziny dziesiątej.

Na porośniętej pokrzywami równinie, wyznaczającej dawną rampę wyładowniczą, zauważa swojską obecność czarnych szcurków, które upodobały sobie to miejsce. Pełen nadziei, naciąga procę i ostrożnie podchodzi.

Są tam te pękate, ruchliwe kulki. Biegają z oburzającą śmiałością zwycięzców. Gryzonie posiadają coś w rodzaju miasta, fortecy podobnej do ludzkich. Peter nie lubi miast, zbiorowisk, i chętnie je przyrównuje do lepu na muchy zawieszzonego nad stołem kuchennym. Tłum szurających ofiar oblepia ulice ustane trupami. Jakiś niepojęty, przewrotny urok ruchu na tym cmentarzysku wabi inne ofiary.

Najbliższego szcúra widzi w odległości zaledwie trzech metrów. Jeżeli śruba dobrze wyleci, głowa wroga z tępym łomotem rozleci się na kawałki. Ale z podniecenia źle celuje. Śruba dzwoni o jakiś przedmiot z metalu, co jest alarmem dla całej społeczności. Szcury znikają w swoich schronach przeciwlotniczych. Każde zwierzę zna najkrótszą drogę do podziemnej kryjówki. Peter nie ma tu już co robić.

Jak włóczęga Pollack, chwytą kilka pierwszych lepszych kamieni i z całej siły rzuca nimi w stronę nor czarnych zwie-



rząt. To spadające na Drezno bomby. Mieszkańcy uważali podziemia za bezpieczne, a tymczasem szerokimi strumieniami spływa do nich fosfor i wypala przerażone oczy dzieci-szczurów, mam-szczurów i dziadków-szczurów wiedzących, że to pułapka. Każda dziura staje się paleniskiem, piekielną czeluścią, gdzie czołgi chrzęszczą we wszechogarniającym smrodzie.

Posuwa się nawet dalej i wyskakuje na rampę. Jego ustasilnik ryczą dziką pieśń silników pikującego Messerschmitta, które pchają go w kierunku straszliwego miasta-rampy. Szrapnele sypią się gęstym gradem, przebijają zbyt cienkie osłony, dziurawią wypięte do góry zadki szczurów modlących się do jakiegoś bóstwa dziwnie nieobecnego.

Skreślił w stronę kazamat. Odnajduje swoje szczudła ukryte w otworze wentylacyjnym. Teraz będzie naprawdę fruwał. Wspaniale utrzymuje równowagę na dwóch drewnianych nogach, które unoszą go do nieba. Potrafi nawet stanąć w miejscu albo cofnąć się, nie schodząc ze swojej grzędy. Musi przejść przez sieć szyn przeciwczołgowych — dziwny ścięty las, opasujący główną budowlę, potem wejść do rowu, gdzie gnije woda barwy żelaza. Najważniejsze to nie stracić równowagi na wybetonowanej płycie, skąd wystają metalowe haki przeznaczone do naciągania drutu kolczastego.

W wodzie rowu widzi siebie z góry, jak przechodzi w powietrzu niczym bombowiec. Przypomina mu o robione z samolotów zdjęcia, oglądane w kronikach filmowych. Nie ma jednak żadnej muzyki, żadnego komentarza, tylko cisza przerywana pluskiem szczudeł w bajorze-lustrze.

Uwolniony od ciężaru, mógłby wznieść się do nieba w kolorze malwy, daleko poza pułap, jaki osiągną samoloty odrzutowe, aż do eteru zrytego pociskami V2 von Brauna... Przypuszcza, że tam krążą dusze lotników owiniętych w całun ze skrzącego się lodu. Jakiegoż innego rajy mogliby żądać? W przestrzeni wszystko jest proste, czystsze. Nie widać już miast,

granic, narodów, można wierzyć, że te różnokolorowe ziemie są puste niczym olbrzymia plansza gry. Od jednego oceanu do drugiego ciągną się tylko dzikie przestrzenie, jak ta, znad której unosi się czasami pióropusz dymu lokomotywy gnającej na wschód. Przypomina to mapę fizyczną Europy rozpiętą w chwili odwrotu na jasnym prostokącie pozostawionym przez portret Führera na tapecie w jadalni. Następujące po sobie zielone równiny, brązowe wzgórza i ośnieżone wzniesienia. To widok z góry, wiekiusta zdobycz ofiarowana zamarzniętym oczom lotników.

Odłożył szczudła. Ma wrażenie, że wieki całe stracił na dojście do swoich terenów. Ale słońce nie stoi jeszcze wysoko na niebie. Dobrze znany strach ściska mu wnętrzności. Wszystkie drobne niebezpieczeństwa, które dopiero ominął, są niczym w porównaniu z tym, co go czeka teraz.

Szybko mija wieżyczki fortyfikacji. Dzisiaj nie rozdzwoni się stal, kiedy będzie nasłuchiwał podziemnych odgłosów. Skręca nagle między kępy brzoź i dochodzi do linii bunkrów na tyłach. Miejsce usłane jest szturmującymi połamane pnie pędami konopi, bluszczu i, naturalnie, gigantycznymi pokrzywami obecnymi wszędzie, gdzie ziemia przetrawiła wojenne żelastwo. Za pociętą kratą jest wejście do składu amunicji.

Pająk-dozorca raz jeszcze utkał swoją pułapkę w ciemnym i wilgotnym otworze drzwiowym. Peter szybkim ruchem opuścił pręt — tylko tyle, żeby zniszczyć pajęczynę. Krzyżak znów uprzedzie sieć i będzie bronił tego miejsca, tak samo jak pokrzywy, których ciężkie grona nasion powinny opanować ten teren niczym nieuchwytny gaz, odstraszać wszystkich gości oprócz niego. Zresztą jego wróg, ten włóczęga, tutaj nie dociera. Fortyfikacje bez karabinów maszynowych, bez dział, bez żołnierzy dalej spełniają swoją rolę...

Promienie światła, długie i cienkie, pstrzą ziemię w środku. Jest tu chłodno jak w piwnicy; ze ścian ścieka woda. Tam właśnie ukrywa swoje narzędzia i inne skarby. Schron zniszczono miotaczem ognia. To nagłe spotkanie z pustoszącymi

płomieniami zostawiło smugi sadzy w trumnie ze stali i betonu. Zdaniem Petera, wszystko tutaj musiało się skończyć, tak wojna, jak i cała reszta; wszystkie te fascynujące zabawy jego ojca i innych dorosłych, którzy na pewno wiedzieli, co robią.

W obramowaniu strzelnicy kładzie palec wskazujący na parzących się muchach. Czuje pod opuszką dwa przerażone, maleńkie istnienia. Naciska mocniej i nagle widzi na betonie wstrętą, czerwonawą plamę, podobną do ust jego matki, kiedy ugryzł ją żołnierz... trzy lata temu... Niewątpliwie w tej samej chwili, kiedy kazamaty pluły ogniem i czarnymi płatami, niczym jakiś moloch pożerający żołnierzy.

Opuszcza strzelnicę, zabierając łopatę, dłuto i młotek zawinięte w brezent. Podjął decyzję, i to stanowczą.

Bomba utkwiała w porośniętym trawą pagórku. Przypomina szarawego wieloryba wyrzuconego na bezludną plażę. Peter cierpliwie odślonił ją ze wszystkich stron, gdyż na początku widoczne były tylko skrzydełka. Nazywa ją „bomba” albo „Moby Dick”, choć niewątpliwie jest to pocisk moździerzowy.

W zamyśleniu gładzi mosiężny, pięknie wyźłobiony pierścień, podłużny, trochę tylko zardzewiały korpus, zaokrąglony pysk. Wczoraj zaczął wykręcać zapalnik, a każdy obrót stanowił, pamięta to, nowe zwycięstwo nad strachem tkwiącym w głębi żołądka niczym bolesne ukłucie.

Zna oczywiście naturę niebezpieczeństwa, z którym się mierzy z wielką sumiennością zawodową. Wieloryb jest przerażający, bo ma chemiczną pamięć. Okazuje się, że zapalnik na samym końcu jest zablokowany. Trzeba lekko uderzyć dłutem, aby zabrać trofeum; znajdzie się ono następnie wśród odłamków wszelkiego kształtu i pochodzenia, trzonków granatów, poskręcanych szrapneli, cierpliwie gromadzonych na strychu bloku 13. Tak, tak, odzyska paszczę morderczego wieloryba. Będzie to jedyny nietknięty przedmiot pośród tych wszystkich sponiewieranych relikwii, które zbierał niegdyś na ulicach

Tannenburga. Z uzyskanego prochu usypie dodatkowy pas ochronny wokół swoich terenów.

Zbliżył dłuto. Jedno lekkie stuknięcie w pysk potwora, leciutkie...

ZAKODOWANY KOMUNIKAT TE 17—3 (PRIORYTETOWY) DWIE MILISEKUNDY WIĘKSZEGO WSTRZĄSU — OGRANICZONE MOŻLIWOŚCI PÓŹNIEJSZEJ ŚWIADOMOŚCI — MÓZG MARZYCIEL TYPU SPE — GŁĘBOKIE PRZEŻYCIA W KONCENTRYCZNYCH BRUZDACH WYRAŹNIE WIDOCZNYCH W STREFIE ŚMIERTELNEJ — WYKŁADNICZA EWOLUCJA ONIRYCZNA — PRZYPADEK ZAPROGRAMOWANY NA OCZEKIWANIE.

### NADMORSKA PŁYTA

Jorick i Manika zbiegli z niewielkiego, porośniętego trawą pagórka, który prowadził do doliny. Czuli się lekcy, niemal bezcieleśni, jak zawsze, kiedy bez masek ochronnych wychodzili na dziwnie upajające powietrze tej małej planety doświadczalnej. Błękitnawe słońce znikało szybko za falochromami, a od pobliskiego morza nadciągał chłodny, wiejący krótkimi, porywistymi podmuchami wiatr.

— Nie tak szybko, Jorick! — zawołała Manika, osuwając się na zbocze pierwszej wydmy, jaka poprzedzała znajdujący się w dole brzeg.

Mężczyzna zawrócił, teatralnie gestykulując.

— Już dawno minął czas przyznany nam na „wycieczkę na zewnątrz” moja droga. Co powie Przyuczony przy kontroli?

— Jeszcze parę minut — powiedziała z poządliwą miną.

Odgarnął rudą, zmierzwioną czuprynę i przylgnął wargami do pełnych ust towarzyszki. Poczuł smak dziwnej mieszaniny soli i czegoś bardziej pikantnego. Spodobało mu się to, skosztował zatem raz jeszcze.

— Co za nieostrożność! — wyszeptała, przytulając się do niego.

Pozwolił sobie na kilka śmielszych pieśczoł, ale nie posunął się dalej. Manika była tylko przyjaciółką, nie chciał sprawiać wrażenia, że wykorzystuje jej upojenie. Przewrócił się na plecy ze wzrokiem zatopionym we fluorescencjach uroczego zmierzchu na Barduanie.

— Komendant Ochrony twierdzi, że niebezpiecznie jest zbyt długo wystawiać się na podstępne działanie tego małego raję.

— Tumin to głupiec!

— Ostrożny głupiec. Możliwe, że to powietrze, przepęłnione nieokreślonymi wyciewami, wydziela jakąś rozleniwiającą truciznę. Zdaje się, że to pochodzi z pyłków kwiatowych słonorośli, na których właśnie tak wygodnie leżymy...

Z rozbawieniem pokiwała głową.

— Ależ z ciebie gaduła, mój ty biedaku. Wymyśliłbyś nie wiadomo co dla samej przyjemności mielenia językiem.

— Zboczenie zawodowe — odparł z nieszczerze zmartwioną miną. — Deklamator posługuje się przede wszystkim słowami, a czasem, ale pomocniczo, rękami.

Do słów dołączył gest i kilka chwil upłynęło im w sposób bardzo przyjemny. Ich ociężałość rosła i odsuwali moment, kiedy będą musieli stawić się w północnej służbie, by poddać się normalnym kontrolom. Manika zaśmiała się naraz, jakby przyszła jej do głowy jakaś zabawna myśl.

— Założę się, że Tumin w końcu wprowadzi nam tabelę wyjść podobną do tablic dekompresji nurków. Jednej godzinie wystawienia się na działanie atmosfery Barduany będzie odpowiadał przynajmniej taki sam okres odkażania i dotleniania.

— Niewykłuczone — przyznał Jorick uroczyście. — Może właśnie pojęcie upojenia drażni naszych przełożonych. Nie zapominaj, że wszystkie przedsięwzięcia, jakie podejmujemy, nawet najbardziej szalone, opierają się na wstrzemięźliwości...

Nad oceanem podnosił się jęzor mgły; za niecałą godzinę

pochłonie linię brzegową wraz z nabrzeżami i nadmorskimi konstrukcjami. Z tego miejsca baza przypominała biały mur, wzniesiony na wzór zapory w poprzek doliny w kształcie koryta, będącej spuścizną po jednym z okresów lodowcowych planety. W rzeczywistości był to szereg zachodzących na siebie okrągłych kopuł, stłoczonych w sposób nieuporządkowany. Cienkie, pajęczne siatki, które dźwigały kopuły, wisiały na niewidocznych linach spinających całą dolinę i biegnących następnie na grzbiety gór, gdzie tworzyły zwartą sieć, dokładnie umocowaną na obwodzie.

— Wygląda jak wielkie ciastko — powiedziała patrząca w tę samą stronę Manika.

Jorick westchnął i wstał. Wierzchem dłoni strzepnął przylepiony do kombinezону piasek.

— Baza na Barduanie to kosztowna zabawka, bardzo kosztowna. Nie należy ufać pozorom. Wyobraź sobie całą przemyślność, jakiej było trzeba, żeby zbudować przestronny szyb nieważkości, który wrzyna się w litosferę planety i za cenę kolosalnej energii odtwarza na stałym lądzie warunki przetrzeźni...

— Jakbym słyszała Bargnama! — powiedziała, parszcząc śmiechem.

— Trzeba wracać, mała...

— Rozkaz, Deklamatorze!

Zdecydowali się na służę nadmorską. Droga była dłuższa, ale woleli dołączyć do Zgodnych, którzy wypoczywali na skalistym wybrzeżu przed powrotem do swoich grup roboczych. Jedno ze skrzydeł bazy otwierało się na ocean. Dostęp do niego umożliwiała rozległa, gładka płyta, często odwiedzana, a nazwana przez bywalców „stromą płytą”.

Pozycja pionowa połączona z wymagającym wysiłku marszem wywoływała lekkie zawroty głowy. Jorick wiedział, że te objawy zwiastują fazę euforii, ale w tej chwili nic sobie z nich nie robił. Przed służą stał jakiś Przyuczony.

— Kontrola! Plakietki wyjścia proszę — przemówił, za-

gradzając im drogę.

— My nie wychodzimy, wracamy — ze znużeniem powiedziała Manika.

Przyuczony myślał intensywnie. Ten sędziwy Ailota stracił już prawie wszystkie własne narządy biologiczne. Starość pozbawiła go w ten sposób większej części samego siebie, co wzmagало jego „brak kwalifikacji” ze szkodą dla inteligencji, a nawet świadomości.

— Sfinks, nie czepiaj się — dodała Manika z umyślnym naciskiem na poufałe przezwi-sko, jakim specjaliści z bazy obdarzyli humanoidów z systemu Aila, od przeszło dwudziestu pokoleń stanowiących podstawową siłę roboczą w wyprawach międzygwiazdnych.

Strażnik stał nieruchomo. Metalowe kołki wychodzące z jego łydek wbijały się w ziemię. Stanowił bryłę ciała i metalu zdrętwiałą w niezrozumieniu.

Kilku wyciągniętych na płycie Zgodnych obserwowało z daleka tę scenę z domyślnym uśmiechem. Uwielbiali stwierdzać niedoskonałości systemu ochrony wymyślonego przez zwierzchników. Trudności pary Twórców przy bramie były w tej chwili głównym tematem ich rozmów.

Jorick wyprostował się, świadom śmieszności sytuacji. Wcale mu nie odpowiadała nieoczekiwana reklama uczyniona ich wyjściu: Jak Tumin, drobiazgowy komendant Ochrony, który uwielbiał regulaminowego „ducha”, mógł zostawić w obiegu Ailotów do tego stopnia pozbawionych przez wiek uczuć ludzkich? Sfinks musi być już o krok od śmierci biologicznej, może wykonywać tylko działania mechaniczne.

— Ja jestem Jorick, Deklamator, a to Manika z Realizacji. Mamy stałe przepustki. Musisz nas wpuścić, tym bardziej że przychodzimy z zewnątrz.

Strażnik wahał się. Przesępował z nogi na nogę, a kołysanie to powodowało wyraźne skrzypienie. Dziwne, ale ten szczegół uspokoił Joricka. Miał pewną słabość do niezmordowanych kompanów, bez oporu uczestniczących w ich najbar-

dziej szalonych zachciankach. Dotknął ramienia Przyuczonego w miejscu, jak sądził, objętym jeszcze ludzką wrażliwością.

— Nie zmuszaj mnie, Sfinks, żebym zażądał wykluczenia cię z obiegu — powiedział, szeptem.

Ailota zadrżał. Jego zakrzepła pod skórzaną błoną twarz odwróciła się powoli. Gdzieś głęboko w jego umyśle przetrwała zasada ostrożności, przypominająca instynkt samozachowawczy. Przesunął się całym ciałem, jakby scena ta w ogóle nie miała miejsca. Jorick i Manika z lżejszym sercem przeszli przez bramę. Konflikty uczuciowe, a czasami i społeczne, które przeciwstawiały sobie trzy runijskie niby-symbiotyczne rasy, były generatorami emocji, a więc i nagród.

Leżący na płycie Zgodni musieli odczuć to samo. Mała, ruchliwa postać Varla zsunęła się w ich kierunku.

— No, nie denerwujcie Sfinksa. On już nie ma poczucia humoru, ale szkoda byłoby odesłać go na złom.

Wesoła twarz Zgodnego skrzywiła się w porozumiewawczym uśmiechu i Manika skinęła uspokajająco.

— Chodzi o zasadę. Przychodzimy z zewnątrz.

— Świetnie, świetnie — przytaknął Varlo, kłaniając się kilkakrotnie. — Przypuszczam, że barduańskie upojenie nad-szarpięło wam nerwy.

Potrząsnął gęstą, jasną czupryną i chichocząc złośliwie, wyciągnął się na skale.

Najwyżej dwudziestu Zgodnych zażywało rozkoszy wieczoru. W niedbałych pozach leżeli na kamiennej płycie. Niektórzy baraszkowali nad samą wodą, trudno jednak było odgadnąć naturę ich figli. Instynktów seksualnych drugiej runijskiej rasy symbiotycznej nie dało się przewidzieć. Byle co ich podniecało bądź zniechęcało.

— Dobrze się bawicie? — z uprzejmości zapytał Jorick.

— Och, moim zdaniem to przyzwyczajenie... Od czasu porażki przy ostatniej makiecie panuje napięta atmosfera.

— Normalne! Bargnam musi szukać winowajców.

— Wiadomo, co to znaczy — rzekł Varlo z niezadowoleniem.



niem na twarzy.

Postanowienia centralne zawsze osiągały ich z pewnym opóźnieniem. Musieli mieć trochę czasu, by przeobrazić sankcje w zdolność do zabawy. Twórca Bargnam zdolny był do bardzo niesprawiedliwych napadów gniewu, toteż Zgodni, którzy pracowali nad projektem, obawiali się, że bezprawnie wykorzysta okazję.

— Ciebie bezpośrednio to nie dotyczy... — odezwał się Jorick.

— Pewnie, że nie, ale spójrz na twarz Samtona. Kieruje grupą, która składała tę makietę. Przypomina maskę Przyuczonych, a nie pocziwą gębę Zgodnego. Nie zapominaj, że bardzo nam jest potrzebne zadowolenie Twórców, aby odzyskać równowagę emocjonalną.

— Wiem, wiem, Varlo — mruknął Jorick z roztargnieniem.

Zmrużył oczy, udając przez chwilę, że zaciekały go figle innych Zgodnych na płycie. Wszyscy byli niewysocy, lecz niezwykle zręczni w ruchach. Z daleka wyglądali na dobrze zbudowane dzieci. Ich zabawowe nastroje były Twórcom niezbędne na tej samej zasadzie, co techniczna sprawność Przyuczonych, ale czasami okazywało się, że trudno o harmonię między trzema rasami. Zdolności spekulatywne Twórców zapewniały im oczywiście przewagę, i jeden taki ambitny jak Bargnam wystarczał, żeby w trybach zazgrzytał piasek.

— Morze jest dzisiaj wzburzone — zauważył Zgodny, nietaktownie przyglądając się Manice. — Powinniście popróbować fal.

Najbliżsi Zgodni leżeli znużeni na brzegu. Inni poddawali się naporowi przybyłych z morza zwałów wody, które wynosiły ich na płytę, śliską, gładką niczym zjeżdżalnia ze sztucznego tworzywa.

— Wyglądacie na rozbawionych — odezwała się Manika, lekko zakłopotana obserwacją, jakiej została poddana. — Ale nasze wyjście już za długo trwa, będziemy mieli kłopoty z Tu-

minem.

Varlo prychnął z odrobiną zniecierpliwienia.

— Następnym wymysł Twórców! — zawołał. — Powietrze Barduany jest po prostu pobudzające, ale wystarczy jedno niepowodzenie na makietach, żebyście szukali zewnętrznych przyczyn tego, co jest w sumie błędem w interpretacji.

Jorick pokiwał tylko głową. Wszyscy dobrze wiedzieli o niedyskretnej ciekawości Zgodnych, ale o pewnych sprawach lepiej było z nimi nie mówić. Poprzestał więc na ogólnej odpowiedzi, pozbawionej jednak fałszywych informacji.

— Marzyciel nie dał więcej wskazówek do makiety „Jednooki Pałac”. Chodzi niewątpliwie o strukturę wyrytą w korze mózgowej starej, a więc dla nas nie mającą znaczenia. Bargnam niepotrzebnie się upierał.

Varlo zachichotał, co zwabiło do nich jeszcze dwóch Zgodnych.

— Może Marzyciel jest leniwy. Ten świat chyba mu się podoba tak samo jak nam... Teraz odpoczywa, wytwarza cokolwiek, a wy dalej traktujecie to poważnie.

— To organizm niejednorodny, bezwolny — odparł zdeenerwowany Jorick.

— Coś podobnego! Nawet przeszczepiony, mózg pozostaje generatorem nieładu, a więc rozwoju. Wcale nie przestaje „istnieć” tylko dlatego, że przeszczepiliśmy go do kory mózgowej ssaka morskiego. Powoli budzi się w nim świadomość otoczenia, nawet jeżeli z braku kończyn nie może wpływać bezpośrednio na środowisko. Podglądamy wyłącznie jego oniryczne majaczenia, jakbyśmy mieli do czynienia ze źródłem pochodzenia elektrycznego, a zapominamy o bezsilnym stworze pluskającym się w basenie pod czujnym okiem Dekoderki. Niektóre z tych marzeń są na pewno wyrazem strachu lub odbiciem niepokojącej samotności...

— Nie szalej, Varlo, nie szalej — powiedziała pojednawczo Manika. — Samton nie jest winien tego bałaganu. Pierwszy to nie ślepiec, wie, gdzie szukać odpowiedzialnych.

Jorick wtrącił się po chwili milczenia:

— Byłoby lepiej, gdybyście zapomnieli o Jednookim Pałacu. Coś takiego nasi przodkowie nazywali „malefactum” — przedmiotem ogniskującym niszczycielskie siły. Jeśli o mnie chodzi, to nigdy nie dostrzegłem najmniejszego zastosowania estetycznego dla projektu, na którym tak Bargnamowi zależało...

Przerwał uświadomiwszy obie, że powiedział za dużo. Te słowa rozładowały jednak atmosferę. Zgodny Fretz, parszcząc śmiechem, podniósł się i pobiegł do rozkołysanego morza, zwabiony bez wątpienia jakąś wyższą niż inne falą. Wykonał wspaniały skok i dał się ponieść przemożnej sile zwałów tego gigantycznego jezora wody. Chrząszcząca piana uwięziła na kilka sekund skulone ciało, po czym wyrzuciła je na połyskującą płytę. Otoczka, delikatny kokon zakrzepłej piany, rozpuszczała się szybko, wyzwalając uszczęśliwionego Fretza wstrząsanego niepohamowanym śmiechem.

— Przesadza! — powiedział Varlo, krzywiąc się.

— To dla niego ulga. Należy do grupy Samtona — skomentował któryś Zgodny.

Jorick wstał z trudnością. Muszą natychmiast wrócić do kopuły. Przyjemna euforia ustępowała teraz nieopanowanemu rozdrażnieniu, czemuś w rodzaju odrazy do innych i do samego siebie. Szybka introspekcja nie przyniosła mu zwykłej ulgi, jakiej miał prawo oczekiwać od swego twórczego ducha. Czuł się dziwnie pusty, wyssany aż do szpiku kości i zbędny w tym miejscu i o tej porze. Krótko mówiąc, nadszedł czas, by zabrać się do pracy.

— Dobrze się czujesz, Deklamatorze? — rozległ się obok jakiś głos.

— Zapadliśmy w letarg, bracia — rzekł drwiąco. — A Marzyciel, wbrew pozorom, płodzi nowe układy, które źle interpretujemy. W jednym punkcie masz rację, Varlo: ten mózg jest mikserem bez skazy, tylko nas nie stać na odpowiednią selekcję...

— No tak, zdenerwował się — odezwał się Varlo wzruszając ramionami. — Wykorzystałbyś lepiej płytę...

Jorick odsunął pomocne ramię i mechanicznie skierował się w stronę służy wejściowej.

W nieruchomej twarzy Sfinksa wolno obróciły się oczy.

— Deklamator Jorick i Realizatorka Manika — otwierając służę powiedział wyraźnie grobowym głosem, jakby wprowadzał ich na przyjęcie.

Woda otacza Marzyciela niczym mgła albo mętna chmura. Uczucie ciągłego chłodu, ale bez utraty ciepła. Nie dostrzega wyraźnie własnych ruchów. Wydaje mu się jednak, że chwilami pływa nad jakimś księżycowym krajobrazem. Coś jakby zrujnowany teren, miasto sprowadzone do postaci szachownicy.

Zwykłe drgnięcie jego dziwnie rozdętego ciała wystarcza, by oderwać go od tej wizji i pchnąć do błękitnawego kręgu przytłumionego światła. Porusza się w tym obcym otoczeniu zupełnie jak wiecznie skaczący ludion.

Ból w głowie. Koszmarne wrażenie okaleczenia. Nie ma już rąk, nie ma nóg, a przecież ledwie cierpi. Musi być więźniem. Torturujący lekarze obserwują go z daleka i szeptem komentują jego bezsilne szamotanie. Nie może nawet krzyknąć — kłęb waty stanął mu gdzieś głęboko w gardle.

Czasami litują się nad nim. Usypiają go. Z przyjemnością wślizguje się w sen, tym chętniej, że ucieka w ten sposób od niezrozumiałych i mdlących doznań. Usypianie następuje stopniowo. Jego ciało kurczy się i zanurza w jakby gąbczastą masę, bez wątplenia w górę puchu. Wie, że w samym sercu tego zapomnienia czeka nań inny, należący tylko do niego świat. Lubi odnajdywać tamtejsze obrazy, jakiegokolwiek...

Niezgrabna postać Zerta sunęła wzdłuż korytarzy prowadzących do szybu nieważkości. Od dwóch dni Pierwszego mężczyła uporczywa migrena, która zniekształcała odbierane przezeń wrażenia wzrokowe. Toteż nosił wielkie okulary korekcyjne, nadające mu niepokojący wygląd ryby głębinowej.

Sterownia stała pustką i przypominała polowe stanowisko dowodzenia, spiesznie porzucone w obliczu nadchodzących wojsk nieprzyjacielskich. Po podłodze poniewierały się prze-zrocza, a kody interwencyjne były jeszcze poprzyczepiane do wyregulowanych ekranów. Pierwszy mijał te miejsca z mieszaniną wstrętu i złości. Wkrótce też nasilił się płynący z zatok ból.

Zapalił w szybie główny pion światła. Za półprzeźroczystą osłoną mignęła błyskawica, potem ustaliła się jako język ognia zanurzający się aż do serca planety. Na przestrzeni ponad tysiąca kilometrów, tak w dół, jak i w górę, unoszące się w szybie makiety otoczyła nierealna poświata. Tam, w olbrzymiej tubie chronionej przed działaniem praw grawitacji, wiorowało sedno misji Marzyciel.

W tej gigantycznej próbowni oniryczne projekcje Marzyciela materializowały się najpierw w formie hologramów. Ekipy realizacyjne utrwały te schematy za pomocą syntetyzatorów materii, zanurzonych w litosferze Barduan. Prace przygotowawcze komplikowały się następnie przy poszukiwaniu struktur estetycznych, doprowadzających do makiet ożywionych. Teoretycznie właśnie wtedy twórczy niepokój Marzyciela nabierał znaczenia...

Zert wsiadł do zjeżdżającego wzdłuż ścian szybu nieważkości wahadłowego wagonika pneumatycznego. Postanowił wyrobić sobie ostateczny pogląd na temat makiety „Jednooki Pałac”, której realizację przerwał. Przylegający do osłony szybu wagonik drgnął, po czym jął nabierać powoli szybkości, zanurzając się w głąb konstrukcji.

Szybko przesuwały się schody i korytarze. Same makiety

słabo było widać, zresztą Pierwszemu na oglądaniu ich na razie nie zależało. Migrena stawiała się nie do zniesienia, a strumienie światła docierające do niego przy tej prędkości zjazdu wcale nie przynosiły ulgi. Wagonik znieruchomiał wreszcie na poziomie E/B i Zert mógł się do woli przypatrywać unoszącej się tam makiecie.

Była to obrzydliwa struktura. Coś jakby pęcherz bez powietrza, usiany krostami przypominającymi pomalowane strzelnice. Wypukłości pojawiały się w różnych miejscach w postaci nieregularnych narośli. Miało to wygląd prawie organiczny. Jedynym otworem było coś w rodzaju na wpół przysłoniętego metalową klapką oka, ale równie dobrze mogło to przedstawiać otwartą ranę, jak i jakiś organ wewnętrzny. Niepokój wywodził się z mieszaniny beton-ciało, przywodzonej na myśl przez barwy różowawe, szare smugi i odpryski tynku, co kojarzyło się z jakąś wstrętną chorobą skóry.

Program animacji głosił: „Wybuch oka cyklopowego, z płomieniami i czarnymi chmurami dobywającymi się z rany. Udźwiękowienie: krzyki.” To tylko zarys wstępnego scenariusza, ale Pierwszemu wystarczało. Jakże ekipa w pełnym składzie mogła pracować przez cały miesiąc nad podobną niedorzecznością?

Oczywiście, że Marzyciel miał upodobanie do architektury militarnej swojej macierzystej planety, nie należało jednak zachowywać jego widziadeł sennych nie będących nosicielami znaczeń.

Osądów Zerta szczególnie się obawiano, ponieważ nie były obciążone ani krztą subiektywizmu. Nikt nie mógł podać w wątpliwość rozeznania Pierwszego. Wystarczająco drogo płacił za swoją władzę, by do tego dopuścić. Z wściekłością wcisnął przycisk wywołujący:

— Odpowiedzialny Bargnam stawi się bezzwłocznie w sterowni — powiedział zduszonym głosem.

Wagonik odstawił go do punktu wyjścia. Wyłączył pion światła, zdjął okulary i przetarł oczy. Niepokoiły go te drobne

dolegliwości okulistyczne. Wybrał NAD-ŻYCIE, by zostać Pierwszym tej misji. Pociągało to za sobą przyspieszenie wszystkich czynności życiowych i umysłowych prowadzące, o czym dobrze wiedział, do przedwczesnej starości. Czyżby to był jej pierwszy znak?

— No, jesteś wreszcie! — zawołał, gdy spostrzegł Bargnama nadbiegającego zewnętrznym korytarzem. — Kiedy kogoś wzywam, nie znoszę najmniejszej zwłoki — dodał z pewnym okrucieństwem, zauważywszy przyspieszony oddech Twórcy.

— Nie byłem uprzedzony... Wychodzę z odkażania — zaczął Bargnam łapiąc oddech.

Był to całkiem młody mężczyzna, smukły jak większość Twórców. Na kombinezonie nosił kilka naszyjników. Rozsiewał wokół siebie natarczywy zapach perfum. Czuł się nieswojo i z uporem wpatrywał się w jakiś punkt w dali, żeby uniknąć spojrzenia w oczy swemu rozmówcy.

— Wszyscy się zabawiają — powiedział wolno Zert. — Jestem tu, żeby przywrócić porządek, bo niewiele czasu mi zostało.

— Brakowało nam szczegółów — odezwał się Bargnam niepewnym głosem.

Znał doskonale przyczynę tego nieoczekiwanego wezwania i wolał zmierzać prosto do celu.

— Marzyciel zostawił tylko szkic, jakby niewyraźną i trochę szaloną wizję. Myślałem...

— Jak świetnie dobierasz słowa! — krzyknął Pierwszy. — Można by sądzić, że to symboliczny poemat na cześć jakiejś damy. Kod oniryczny nie jest nigdy niewyraźny, lecz niekompletny. Nie utrzymujemy tej bazy w odległości ponad stu lat świetlnych od Runy po to, żeby pozwolić Twórcom tobie podobnym na ucieleśnianie swoich miernych przywidzeń.

Bargnam zeszywniał. Zniewaga była ostra.

— Ten przedmiot jest malefactum, ale postanowiłem go odpowiednio rozwinąć. Nie mogę odpowiadać za niedorzecz-

ności Marzyciela.

— Co?

Zert zsunął okulary i z przerażającym natężeniem wpatrywał się w Bargnama zaczerwienionymi od alergii oczami. Twórca milczał teraz, przybity myślą zogniskowania energii Pierwszego.

— Podtrzymujesz te słowa? — gwałtownie spytał Zert.

Bargnam przełknął ślinę. Nie mógł się już wycofać.

— Tak. Znalazłem się w punkcie, w którym nic więcej nie mam do stracenia.

— Tak sądzisz?

— Marzyciel rozwija się zbyt szybko. Umyka nam...

— No, dalej!

Bargnam mówił przytłumionym głosem.

— Schematy rejestrowane przez cefaloskopy dostarczające nam hologramów odnoszą się przede wszystkim do fazy snu paradoksalnego, a więc najbogatszej w wyraźne obrazy i materiał oniryczny tworzący struktury. Wyłuskaliśmy zaledwie dwa czy trzy obszary, podczas gdy naliczyliśmy około dwudziestu cykli sennych, z których każdy powinien by dostarczać swojej części marzeń. Wygląda to tak, jakby jakaś bariera mentalna płatała linie, mieszała punkty odniesienia. W najlepszym wypadku odtwarzamy gmatwaninę obrazów i dekoracji. Z takiego chaosu wyłączony został Jednooki Pałac, a praktycznie nic nie wiemy o cyklach wybiegających poza pięćdziesiątą godzinę snu. Łączą się one ze szczególnym typem snu, zjawiskiem, które zupełnie nam się wymyka, ponieważ rozmaite stadia stwierdzone w okresie uśpienia więcej się nie powtarzają. Skonstatowaliśmy synchroniczne współistnienie blisko stu faz wąskich i głębokich, wykraczających poza nasz wykaz. Marzyciel wydaje się przesyłać swoje obrazy nie do szybu nieważkości, lecz gdzie indziej...

Zert westchnął.

— Czy ty rzeczywiście uważasz, że jesteś tutaj po to, żeby myśleć?



— Nie, żeby tworzyć. Myślenie należy do ciebie...

Bargnam doszedł do etapu, kiedy to nawet żałosna szczerość okazuje się lepsza od milczenia.

— Czy można wiedzieć w takim razie, co sądziłeś o matce, którą realizowałeś ze swoją ekipą?

— Odniosłem wrażenie, że podoba się Zgodnym. Ich instynktowne przyzwolenie często jest pewniejsze od naszych spekulacji.

— To wszystko?

— Nie poczuwam się do odpowiedzialności za klęskę tego projektu.

Zert wydawał się zamyślony. Jego zdenerwowanie zmalało i spoglądał na Bargnama bez wyraźnej wrogości. Wreszcie odezwał się przez zaciśnięte zęby.

— Zawsze uważałem, że jesteś świetnym Twórcą, ale popełniłeś właśnie kilka błędów, co sprawia, iż zaczynam powątpiewać w przypisywane ci zdolności. Twoje próby usprawiedliwienia się mają sens, są jednak źle wyrażane, agresywnie, jakbyś chciał mnie pouczyć. Moja władza jest albo absolutna, bo jedyna i niepodzielna, albo nie mam jej wcale. Najwyraźniej przestałeś mnie lubić. Nie akceptujesz mojej nawet chwilowej wyższości. Twoje wątpliwości zbliżają cię do prymitywniejszego poziomu świadomości Zgodnych. Cofnąłeś się...

— Zert!

Tym razem emocja dławiła Twórcę. Po nie było nic gorszego od wykluczenia z prac opartego na tego rodzaju analizie.

— Twoja skrucha jest zbędna. Oto moja decyzja: oczywiście żadnych sankcji służbowych, ale absolutny zakaz pracy w szybie. Publiczne zniszczenie twojego dzieła. To wystarczy...

— Chcesz powiedzieć, że odtąd nie będę mógł tworzyć?  
— z trudem zapytał Bargnam.

Pierwszy uśmiechnął się lekko.

— Dla całej społeczności pozostajesz odpowiedzialny za program, ale nie dotkniesz więcej makiet. Poprzestaniesz na

przyglądaniu się pracy innych.

— To wszystko?

Twórca starał się zachować spokój, nerwowy tik wykrzywiał mu jednak kącik ust. Zert z satysfakcją zauważył ten ślad nie kontrolowanego wzburzenia.

— Wiem, że spodziewałeś się sankcji w trybie administracyjnym. Na przykład degradacji... Nie jesteś jednak Zgodnym. Przy życiu utrzymują cię bodźce z szybu. Przypominasz Joricka, tylko brakuje ci jego sprytu. W głębi ducha pogardzasz ludźmi żądnymi władzy.

— Nie pogardzam tobą! — zawołał Bargnam.

— Fakt, że powiedziałaś to, jest już wyznaniem. Czy poświęciłbyś jak ja hipotetyczną szczęśliwą, o ile nie w dodatku spokojną starość, by w ciągu kilku lat spalić wszystkie swoje możliwości?

— Nie... Nie, na pewno nie...

— To właśnie uzasadnia moją bezwzględność. Ta misja musi się udać, a na razie twoja praca służy tylko tobie. Będziesz miał czas przemyśleć sobie tę sprawę.

Bargnam sztywno się pożegnał, a jego niepewny krok długo niósł się po korytarzach.

## SANKCJE

Jorick kończył toaletę w swoim kloszu, gdzie spędzał większość czasu, kiedy musiał zostać wewnątrz bazy. Było tam kilka książek z dawnych czasów, porozrzucane diagramy z osobistymi dygresjami, zapisanymi na nich bez większego przekonania, i pomniejszony hologram makiety, nad którą pracował w szybie.

Z mglistym niepokojem przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Mimo wieku ciągle posiadał to, co kobiety z Runy nazywały „młodzieńczym nalotem”. Wyłaniał się on z całej serii

drobnych szczegółów, na które nic nie mógł poradzić; wysoki wzrost, nerwowy, podrygujący chód i żywość rozgorączkowanego spojrzenia. Pogrubiony w ciemnym odzieniu Twórców, sprawiał wrażenie wyniosłej powagi, nieco wystudiowanej, lecz nie bez uroku...

— Ależ beznadziejność! — powiedział do swojego odbicia, uśmiechając się z politowaniem.

Gry miłosne w towarzystwie Maniki pozostawiały mu wrażenie pustki. Tracił czas zupełnie jak Bargnam i reszta, spodziewając się jednak uznania zwierzchników. Zertowi zależało, by cała obsługa bazy uczestniczyła w zniszczeniu markiety. Niewątpliwie chciał poruszyć wyobraźnię, pobudzić energię wszystkich Twórców skupionych nad swoim dziełem.

Przypadek sprawił, że ostrzeżenie trafiło na Bargnama. Odpowiedzialny za program obstawał przy swoim projekcie z mieszaniną pewności i uporu, jaka dotąd zapewniała mu poważanie ze strony przełożonych. Ta porażka mogła oznaczać gwałtowne zahamowanie jego kariery, jeżeli Zert tak postanowi. Ale Pierwszy miewał na ogół inne rozwiązania, potrafił wykorzystywać słabości czy chwile bezowocnej pracy swoich podwładnych, aby domagać się nowych wysiłków i większego oddania wspólnej sprawie.

Jorick bez pośpiechu opuścił klosz. Miał jeszcze trochę czasu. Korytarze bazy były dziwnie ciche, gdyż ze względu na okoliczności jedynie prace ciągłe nadal szły swoim trybem. Aby dotrzeć do szybu nieważkości, musiał przejść przez taras spacerowy, którego oszklone okna wychodziły na ocean. Za pustymi pomostami domyślał się wypukłości zanurzonych głównych kopuł, nieustannie omiatanych falami, i te tylko były widoczne, choć znajdowało się tam całe podmorskie osiedle zbudowane wokół basenu Marzyciela. Dostęp do tej strefy ograniczały ścisłe przepisy. Kogo to miało chronić: Marzyciela czy też obsługę bazy? Nikt nie mógł dać na to jasnej odpowiedzi, tak głęboką tajemnicą otaczano podświadomą działalność Marzyciela. Zgodni utrzymywali, że wokół basenu unoszą się

resztki energii mentalnej i że, tak samo jak atmosfera Barduan-y, na dłuższą metę stają się niebezpieczne.

Z wielkiej sali zebrań dobiegał go teraz pomruk głosów. Lekko przyspieszył, ażeby uniknąć spotkania z grupą Twórców, którzy otaczali Lothara, jednego z Realizatorów najbardziej na widoku, od kiedy Bargnam popadł w niełaszkę. Nikt nie wątpił, że jeżeli Zert zastosuje sankcje, to ten właśnie drażał o ziemistej cerze będzie programował następną makietę.

Sala była częściowo tylko wypełniona i z niepokojem szukał jakiegoś ustronnego kąta, gdzie nie rzucałby się w oczy. Trud okazał się daremny, gdyż kobiecy głos przykuł go do miejsca w chwili, gdy wchodził pomiędzy rzędy krzeseł.

— Hej, Deklamatorze! Dalej masz taki zły humor?

Odwrócił się, z przymusem uśmiechając się kątem ust.

— Znasz mnie na tyle dobrze, Maniko, żeby wiedzieć, że nie znoszę tego rodzaju imprez...

— Ale to nie powód, żeby unikać przyjaciół!

Mówiła głośno i wyraźnie, a gęsta czupryna bardziej niż kiedykolwiek nadawała jej wygląd lwicy. W przeciwieństwie do niego, uwielbiała wywoływać poruszenie w tłumie, przez który śmiało się przeciskała. Doszła do niego kilkoma krokami i pociągnęła go w głąb sali.

— Lothar widzi się już na miejscu Bargnama — powiedziała chichocząc. — Gdybym była nim, nie cieszyłabym się jeszcze. Zert zawsze daje szansę...

Tuliła się do niego z wyszukaną zmysłowością.

— Jak widzę, jesteś wtajemniczona — powiedział Jorick, wbrew sobie dając się wciągnąć w jej grę.

Boleśnie uszczypnęła go w ramię.

— Ależ ty potrafisz być nieprzyjemny, Jorick. W końcu żyłam trzy lata z Zertem i wiem, co mówię.

— To było na Runie, Maniko. To było przedtem... Zert, który dowodzi bazą, nie jest tym samym, którego znałaś.

— Przypuśćmy. Zobaczmy, kto ma rację.

Nadała się, ale nie opuściła go ani na krok — wyraźnie

zależało jej na pozostaniu u jego boku w trakcie pokazu.

Sala szybko się wypełniała i cichł dźwięk rozmów. Kiedy pojawił się Bargnam, milczenie zapadło jak nożem uciął. Szedł niczym lunatyk i niezręcznie przeciskał się przez tłum udając, że nie widzi poruszenia, jakie wywołał. Usiadł w pierwszym rzędzie, unikając wzroku najbliższej siedzących.

— Nieswojo się czuje — szepnęła Manika.

Sklepienie głównej kopuły rozsuwało się wolno, odsłaniając barduańskie niebo barwy indygo. Szyb nieważkości był jeszcze pogrążony w ciemnościach, ale za ekranem zabezpieczającym wyczuwano jego niezbadane głębie.

W sali rozległ się suchy głos.

— Mówi Zert, Pierwszy... Nie muszę wam przypominać, dlaczego zebraliśmy się tutaj i dlaczego tracimy z tej okazji drogocenny dzień pracy... Pokażę wam makietę „Jednooki Pałac” w stanie, w jakim zostawiliśmy ją w chwili przerwania projektu... Sami oszczędzicie...

Zert nie umiał przemawiać do publiczności. Jorick stwierdzał to któryś raz z rzędu. Nie dawkował wrażeń, pędził ze straszliwym pośpiechem, właściwym mu od czasu modyfikacji fizjologicznych, jakie poprzedziły jego funkcję na Barduanie.

Nagle zapłonęły reflektory, dosłownie rozpalając unoszącą się w szybie makietę. Oślepieni, wszyscy odwrócili oczy.

— Tak... Rozumiem waszą reakcję — mówił dalej Zert. — Zawsze jest przykro znieść konfrontację ze swoimi oczywistymi błędami... Ten przedmiot jest bezużyteczny i przerażający... Tym bardziej przerażający, że poświęcono mu ponad tysiąc godzin pracy.

Głos ucichł i przez kilka chwil istniał tylko Jednooki Pałac. Olbrzymia konstrukcja obracała się łagodnie wokół teoretycznej osi, która wyraźnie przechylała całość w stosunku do poziomu. Tak poruszana, wielka budowla zdawała się jeszcze cięższa, bardziej plugawa niż w spoczynku.

— Odpowiedzialny za program, Bargnam, kontrolował to

właśnie dzieło — powiedział Zert z drwiącymi nutkami w głosie. — Wzorce oniryczne na papierze wydawały się zapowiadać struktury wyższego rzędu, ale realizacja makiety nagle natknęła się na trudności teoretyczne, co mi z niezbitą pewnością dowiodło, że projekt był pretekstem do pracy ściśle prywatnej. Pycha sprowadziła na manowce paru naszych Twórców. Zła wola Zgodnych, których bardziej nęci płyta niż szyb, oraz niepokojąca niezręczność Przyuczonych dokonały reszty.

Cisza gęstniała. Proces Bargnama groził rozciągnięciem się na całą obsługę bazy, i tu i ówdzie wśród zgromadzonych pochylały się głowy.

— Przypominam wam, że jesteśmy tutaj, żeby osiągnąć wyniki o dużej wartości spekulatywnej. Majaki Marzyciela materializują się w szybie nieważkości w formie schematów. Przedstawiają one miejsca i sytuacje ukryte w głębi pamięci badanej istoty. Naszym zadaniem jest wyjść poza ten surowiec i ujawnić nowe struktury estetyczne, jakich nasza cywilizacja gwałtownie potrzebuje. Nie mogę na ten temat nic więcej powiedzieć ze znanych wam przyczyn. Hologramy są po to, żeby je wykorzystywać, a nie ilustrować... Obawiam się, że mówię zbyt teoretycznie, jaśniej wypowiem się po „pokazie”...

Dłoń Maniki zacisnęła się na ramieniu Joricka.

— Co mu jest? — wyszeptwała. — Brzmi to tak, jakby miał pretensje do wszystkich.

— W jego stanie to możliwe — odparł Jorick, czując się nieswojo.

Było w głosie Zerta coś, co go niepokoiło bardziej niż zwykle. Dziewczyna nie mogła pojąć tych niuansów, nawet jeżeli dzieliła kiedyś życie przyszłego Pierwszego w bazie na Barduanie. Zert zdawał się bać, a raczej przerzucał swoją obawę na wszystkich. Cóż innego dotąd czynili, jeśli nie przedstawiali skrupulatnie tego, co się działo w przerośniętym mózgu organicznej bryły wyszkolonej do snu? Gdzie był błąd? Nawet Bargnam w pewnym sensie grał zgodnie z zasadami. Jego pałac był wierną kopią onirycznych schematów. Czy nale-

żało teraz znaleźć jakiś sens dla tego zorganizowanego chaosu?

— Jednooki Pałac musi spłonąć — podjął Zert, a jego głos rozległ się tak nagle, że wszyscy drgnęli. — Zdaniem Bargnama, pożar taki zdolny jest wyzwolić „utajone siły bogate w różnorakie informacje”. Zaraz zobaczymy.

Nie dało się powiedzieć z całą pewnością, czy Pierwszy drwił.

— Boję się, Jorick! — powiedziała Manika.

Nie miał czasu zajmować się swoją sąsiadką. Całą jego uwagę pochłaniało teraz to, co się działo w szybie nieważkości. Wielka konstrukcja obracała się wokół własnej osi z rosnącą prędkością. Na brzegach pojawiły się iskry, jak gdyby tarcie pociągało za sobą bardzo wysokie nagrzanie górnej części. Dzięki szybkiemu ruchowi powietrza ogień gwałtownie się rozprzestrzenił i otaczał dziwną budowlę szeregiem równoległych pierścieni. Ustawione jedna na drugiej, kopuły deformowały się kolejno, nim rozpadły się na kawałki. Różne elementy, oderwane siłą tarcia, spalały się wokół tego olbrzymiego, oszalałego bąka. Coraz trudniej było rozróżnić szczegóły w rozżarzonej kuli, jaka unosiła się teraz powoli w szybie nieważkości.

Makieta, nim pochwyciły ją siły wstępujące i wyrzuciły w przestrzeń, przypominała konającą gwiazdę, która w końcowych chwilach swego istnienia rozsiewa ostatnią falę energii. Znikła raptownie, a po sztucznej komecie została utrzymująca się w pustym szybie czerwona poświata.

Kilkuminutowy zaledwie pokaz skończył się, ale zebrani siedzieli nadal w milczeniu. Jorick zauważył, że Bargnam skulił się na swoim miejscu. Odpowiedzialny za program musiał z rosnącym przerażeniem oczekiwać wyroku. Zert nigdy jeszcze do tego stopnia nie potępił projektu tak bliskiego ukończenia.

— Szyb nieważkości jest oczyszczony... — powiedział Zert spokojnie. — Nie mam zamiaru wymierzać kary Bargnamowi. Jego samokrytyka podczas naszego ostatniego spotka-

nia była całkowicie oczywista i niesprawiedliwością stałoby się przerzucenie na jednego człowieka ciężaru odpowiedzialności zbiorowej. Wyzaczyłem mu jedynie czas na zastanowienie i w tym okresie nie będzie pracował w szybie. Za to od wszystkich Twórców zatrudnionych przy realizacji makiety wymagam wnikliwej wizyty w basenie Marzyciela. Phalia, nasza Dekoderka, podejmie środki ochrony konieczne przy tego rodzaju konfrontacji.

Głęboka cisza przyjęła te słowa. Wszyscy wiedzieli, że fizyczna bliskość Marzyciela jest niebezpieczną próbą dla wrażliwości Twórców. Nieprzypadkowo podmorskie osiedle zostało założone możliwie daleko od samej bazy.

— Lothar zawiódł się w swoich nadziejach — szepnęła Manika.

Jorick drgnął, jak gdyby teraz dopiero zdał sobie sprawę z obecności dziewczyny. W tej chwili nie interesowały go nastroje dawnej kochanki Zerta. Zert chciał wstrząsnąć małym, zamkniętym światkiem Twórców, ale dotyczyło to tylko ekip pracujących w szybie.

— Jutro przyjdę do ciebie — powiedział, głaszcząc ją z roztargnieniem.

Manika gniewnie odepchnęła jego rękę.

— Wracaj do swojej makiety, Deklamatorze — rzuciła z bolesną zmarszczką w kącie ust.

Odeszła szybko, a Jorick z irytacją wzruszył ramionami. Szukał w tłumie jasnej głowy Dekoderki Phalii.

SZCZELINA. SEN PRZESTAŁ BYĆ UCIECZKĄ. OGIEŃ, WSZĘDZIE NISZCZY-CIELSKI OGIEŃ... TO, CO JEST ODTWORZONE, JEST NIEDOBRE. ORYGINAŁ ZAGINAŁ I NIE WARTO SZPERAĆ W GRUZACH...

— Jestem więźniem nie swojego ciała. Więzienie jest wszędzie: wokół mnie i w mojej głowie!

Ta doprowadzająca do rozpaczki prawda pojawia się w



mózgu Marzyciela podczas rzadkich okresów czuwania. Przeznaczony dla niego obszar najpierw wydawał mu się rozległy i tajemniczy, teraz zaś kurczy się i sprowadza do pewnej objętości wody, a żeby ją przebyć, wystarczy poruszyć po prostu płetwą ogonową.

Obszar ten nie jest jednolity — dochodzące tam światło wyraźnie wydziela różne strefy. Najpierw jest więc kanał z wodami ledwie rozjaśnionymi, kojarzący się z przytulnym łonem. Można się w nim powoli zanurzyć, ale w jego dolnej części, za oszklonymi otworami, czyhają oprawcy.

Strefa rozleglejsza, lecz płytsza, zaczyna się za wąskim przejściem prowadzącym na zewnątrz. Woda jest tam chłodniejsza, bardziej zmienna i ulegająca wahaniom klimatycznym nieznanego świata. Krzewi się tam roślinność, gładkie skały ułożone jak dekoracje na zamkniętej zewsząd arenie, która nie pozwala nigdzie umknąć wzrokiem. Wszystko jest wygładzone, oszlifowane, jakby w obawie, że zrani się w jakimś nieostrożnym ruchu.

Konstruktorzy więzienia najwyraźniej przewidzieli możliwość jego napadów gniewu i nic nie pozostawiono przypadkowi. Nie ma żadnej wątpliwości, że gdzieś istnieje służa pozwalająca opróżnić ten życiodajny zbiornik. Po przebudzeniu często próbuje poznać to, co go otacza. Pozwala sobie wtedy na szybkie przepłynięcie i na nieprawdopodobne wysoki ponad swoje środowisko. Na zewnątrz wygląda to niewątpliwie na bunt, ale tak naprawdę nie w tym tkwi problem.

MOBY I PETER... PETER I MOBY...

Pierwsze więzienie Petera to ciało Moby'ego. Złożony organizm, którego wszystkie reakcje dogłębnie wyczuwa. Ma około dziewięciu metrów długości. Jest przystosowany do stadnych polowań. Kiedy nieprzebytym wałem ziemi został odizolowany od swoich braci, zmieniło się jego zachowanie. Bardzo rzadko okazuje agresywność, gdyż jego zapotrzebowanie na pokarm jest w zupełności zaspokajane.

Ale Moby jest smutny. Skrywana emocja wabi go do ze-

wewnętrznej bariery, chciałby ją przebyć. Pragnie uciec, muskać inne ciała, szybkie jak i jego, i dzielić podniecenie polowaniem na pełnym morzu. Od strony wyjścia dobiegają do niego czasami donośne sygnały. To wezwania, ale on nie potrafi ich wykorzystać.

Peter nie jest smutny. Czuje się opanowany wielkim gniewem. „Peter” to imię, ciąg nic nie znaczących sylab, a przecież one właśnie odróżniają go od Moby'ego. Światem Petera nie jest ocean, lecz przestrzeń położona za oszklonymi strzelnicami. Tam poruszają się oprawcy, żyjący również w stadzie.

Istoty te, mimo ich okrucieństwa i niezwykłości, zna lepiej niż wieloryba. One również wysyłają sygnały. To kłębowski ukradkowych wrażeń, pojęć, obrazów, które niezupełnie rozumie. Te istoty są złodziejami, toteż jak tylko pojawiają się za iluminatorem kanału, stara się zapamiętać ich „zapachy mentalne”.

Działają nań jak błotnista fala wlewająca się na jego obszary. Chwilami walczy z rozpaczliwą energią, ale Moby nie chce go naśladować. Moby nuci, Moby chce, żeby spał...

Sfinks drzemał ze swoją skórzaną twarzą zwróconą w stronę morza. Pilnował śluzu, bo takie miał zadanie. Mechaniczne nogi sprawiały mu lekki ból w miejscu, gdzie łączyły się z ciałem jeszcze ukrwionym. Wiedział, że się starzeje, ale uczucie to nie było nieprzyjemne, gdyż wszystko, co go łączyło z „ciepłym” życiem, stawało się z dnia na dzień bardziej uciążliwe i skomplikowane. Za to części metalowe działały sprawnie i nabierały coraz większej samodzielności.

Jako odźwierny płyty, kontrolując Zgodnych i Twórców, odczuwał nad nimi niekiedy litość. Młodszy Przyuczeni nic nie mówili, bo znali błogość stanu pośredniego, jaki prowadził do względnej śmierci gatunku. Nie miał o to żalu do nikogo i sprawiało mu przyjemność wykorzystywanie siły, która niebawem stanie się wyłącznie mechaniczna. Lubił też tę dziwną planetę, ostatnią bez wątplenia, jaką było mu dane sobie

uzmysłować...

Jego oczy zanotowały nienormalny ruch wśród regularnych rozbryzgów fal. O tej porze płyta świeciła pustkami, często zdarzali się jednak tacy, co przemykali się inną służą. Gwizdnął głośno, zagłuszając na chwilę hałas morza. Ostrzeżenie przeznaczone było dla ewentualnego pływaka, aby mu udowodnić, że Sfinks nie jest tak niedołączny, jak to by chciano utrzymywać w szeregach Zgodnych.

Przyuczony nie stwierdził żadnej reakcji, wstał zatem z trudnością. Nie lubił chodzić. Jego główna siła koncentrowała się w dłoniach i ramionach. Pokuśtykał do wody, starając się utrzymać równowagę na śliskiej skale.

Fale wyrzuciły pływaka na brzeg, gdzie leżał nieruchomo w kokonie z piany. Sfinks nie pojmował pociągu Twórców i Zgodnych do zabaw w wodzie. Przypuszczał, że to ich w pewien sposób uspokaja.

Drugi gwizd także pozostał bez odzewu. Będzie musiał się tym zająć. Jego metalowe stopy uderzyły o ziemię w przyspieszonym marszu. Prawe ramię wyprostowało się zrećźnie i uchwyciło przestępcę. Silnie, choć nie za mocno trzymane ciało nie zareagowało.

— Plakietka wyjścia! — rzekł Przyuczony.

Przerwał natychmiast, bo właśnie zrozumiał, że wyłowił trupa. Położył swoje brzemie i zaczął się zastanawiać. Twarz nie była mu obca — Odpowiedzialnego za program dało się rozpoznać mimo niezwykłego przerażenia malującego się na jego twarzy. Z torsu została tylko mięsna miazga, poszatkowana eksplozją czołową. Przyczyną był iskiernik albo jakiś pocisk wybuchowy — tego nie mógł stwierdzić na pierwszy rzut oka.

Sfinks wziął delikatnie ciało Bargnama w ramiona i bez śladu zbędnego wzruszenia skierował się do służby...

Ślizgacz gwałtownie pruł fale. Na jego drodze rozbryzgiwały się szerokie strumienie wody. Zachmurzyło się niespodziewanie i po powierzchni zatoki przebiegały rtęciowe refleksy.

Jorick traktował swoją wizytę w strefie Marzyciela z mieszaniną niezadowolenia i ciekawości. Jako Deklamator, dotąd był tylko raz w podmorskim osiedlu, gdzie zwykła obsługa bazy miała absolutny zakaz wstępu. Mówiono, że bliskość Marzyciela jest niebezpieczna dla jednostek nie przygotowanych. Jedną więcej tajemnicę, którą musiano podtrzymywać, podobnie jak legendy krążące na temat atmosfery Barduany. Rujniczy, a szczególnie Twórcy, uwielbiali wymyślać urojone obawy i niebezpieczeństwa.

Ślizgacz wziął szeroki zakręt i znalazł się przed główną śluzą, otwierającą się na pełne morze niczym wykrzywiona paszczyka. Na wewnętrznym moście czekało na niego dwóch szczególnie zmechanizowanych Ailotów. Jorick lekko zeskokczył na wybetonowany pomost i pokazał im swoją plakietkę. Miejsce było opustoszałe i aż posępne. Nie czuło się tutaj radości życia typowej dla bazy. Rodziło raczej skojarzenia z jakimś ciężkim, odciętym od świata więzieniem w koloniach.

— Masz iść do głównej kopuły — powiedział jeden z Przyuczonych, sprawdzwszy jego zezwolenie przez kilkakrotne przystawienie go do umieszczonego w piersi czytnika.

Westchnął i poszedł za przewodnikami nędznie oświetlonymi korytarzami, które prowadziły do jednej z kopuł strefy. Jeżeli wyłączyć Ailotów, do siedziby Marzyciela zgodnie z regulaminem dostęp miały tylko trzy osoby: Zert, Tumin — komendant Ochrony, i Dekoderka Phalia. Jorick nie został uprzedzony, kogo zastanie w głównej kopule, ale skrycie obawiał się obecności Pierwszego. Wcale mu się nie uśmiechało spotkanie z absolutnym panem bazy. Przeszłość miała swoją wagę...

— Tędy... Musisz to włożyć...

Ailota podał mu coś w rodzaju mycki z miękkiej tkaniny,

okrywającej czoło i część karku, kiedy ją włożył. Otworzyły się opancerzone drzwi i natychmiast się uspokoił, dostrzegając Phalię.

— Wybacz te wszystkie zabezpieczenia — powiedziała, podchodząc do niego.

— Przypuszczam, że są konieczne.

— Oczywiście. Fale oniryczne wysyłane przez Marzyciela są niezwykle silne. Mogą ujemnie wpłynąć na psychikę osoby nie przyzwyczajonej. Jesteśmy w tej chwili w pełni stadium przygotowawczego.

Skłonił się z chłodnym uśmiechem.

— Jestem tylko skromnym Deklamatorem, wydaje mi się jednak, że dostatecznie się oswoiłem z motywami Marzyciela.

Dziewczyna wyglądała na zbitą z tropu. Zarumieniła się lekko. Ten szczegół zaintrygował Joricka. Czyżby była tak wrażliwa? Zawsze dostrzegał tylko jej młodzieńczą postać, wiecznie w ruchu i jakby spieszącą na ważne spotkanie. Podczas posiedzeń rady widać było jedynie czysty owal jej nieprzeniknionej twarzy okolonej gęstymi, jasnymi włosami. Oczy miała stale spuszczone na swoje diagramy, a wypowiadała się wyłącznie na żądanie Zerta. Fakt, że nieustannie przebywała w pobliżu Marzyciela, otaczał ją aurą tajemnicy.

— To nie jest osąd — dodał Jorick, próbując pochwycić jej spojrzenie.

Przystała na pojedynek i długą chwilę jej szare oczy spoglądały na niego bez mrugnięcia.

— Cieszę się, że przyszedłeś — powiedziała wreszcie. — Zawsze mi się wydawało, że twoje interpretacje wymagają konkretyzacji.

— Mam rozumieć, że nie podobała ci się moja praca?

— Właśnie. Mam nadzieję, że to cię nie rani. Jesteś bardzo dobrym Deklamatorem, obdarzonym bujną wyobraźnią, nieco nawet szalonym, co w tej misji nie jest wadą, ale twoim dialogom brakuje precyzji, nastroju. Czasami ma się wrażenie, że scenariusze Marzyciela sprowadzasz do swoich własnych fan-

tazmów. To coś więcej niż próba wspólnoty uczuć, to zdrada...

Wzruszył ramionami.

— Tego się spodziewałem. To bliskie grzechu Bargnama, prawda?

Drgnęła, ale nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na niego. Był więc osądzany, wartościowany bez możliwości wytłumaczenia się, a działo się to bez jego wiedzy, gdzieś w tych podmorskich kazamatach albo na stanowisku dowodzenia Pierwszego. Dekoderka miała niewątpliwie większą władzę, niż jej to oficjalnie przyznawano.

Przeszedł po pomieszczeniu dużymi krokami, rozglądając się za grami automatycznymi, którymi usiane były korytarze centrum, ale widział miejsce nagie, surowe, jak gdyby nuda, tak powszechna wśród ludzi z bazy, nie miała tutaj dostępu.

— Miło tu u was — powiedział z przekąsem.

— Są miejsca mniej surowe.

— Basen Marzyciela?

— Tak, moje podmorskie apartamenty również...

Drgnął. Czyżby to było ledwie zamaskowane zaproszenie? Wolał mieć się na baczności. Zert uwielbiał zabawiać się uczuciowymi słabostkami swoich podwładnych. Mógł to być swego rodzaju test, a w roli narzędzia występowała Phalia.

— W takim razie prowadź — powiedział z lekkim ukłosem.

Opuścili główną kopułę. W sąsiedniej czekał na nich wagonik. Pojazd szybko mknął między przezroczystymi kulami wynurzającymi się z oceanu. Droga była kręta, a tunel, w którym poruszała się maszyna, znikał chwilami pod powierzchnią morza, by nieco dalej znów wychynąć pod nocnym niebem, wysoko nad podmorskim osiedlem. Jorick chaotycznie wychwytywał niknące obrazy. Strefa Marzyciela rozciągała się poza obrębem samej bazy. Każda nowo osadzona na progu kontynentalnym kula odpowiadała jednej jednostce onirycznej. W ten sposób badana przez nich tajemnicza istota swobodnie powiększała swój obszar. Zert, a w mniejszym stopniu

także Phalia, pozwalali na to, popierając nawet ten pozornie nie uporządkowany rozrost.

— Ostatnio osiedle bardzo się powiększyło — szepnęła Phalia, jakby odgadywała myśli swego pasażera.

— I wszystko można wykorzystać?

— Oczywiście, że nie — odparła. — Ale Pierwszemu zależy na zachowaniu najdrobniejszych strzępków marzeń razem ze wszystkimi zawartymi w nich infrastrukturami analitycznymi.

Wagonik zwalniał i wkrótce znieruchomiał w czymś w rodzaju jasno oświetlonej szklarni, gdzie piętrzyła się roślinność sprowadzona nakładem wielkich kosztów z planet z układu Runy.

— To basen Marzyciela — powiedziała Phalia stłumionym głosem.

— Domyśliłem się, ale po co ten sztuczny gąszcz?

Jednym zwinnym ruchem wyskoczyła z wagonika.

— Żeby nie zniszczyć tkanki onirycznej Marzyciela. Ważne jest, co spostrzeża w rzadkich chwilach czuwania. Zbyt surowe, zbyt kliniczne otoczenie na dłuższą metę mogłoby działać na niego przygnębiająco. Ważne jest, żeby wyobraźnia była stymulowana widokiem naturalnym, zmiennym i rozwijającym się...

— Zaczynam mu zazdrościć — oświadczył Jorick, na którym wywarło to większe wrażenie, niż chciał okazać.

Postąpili kilka kroków w głąb szklarni. Powietrze było wilgotne i nienaturalnie ciepłe. Basen Marzyciela rozciągał się na kilku poziomach oddzielonych olbrzymimi śluzami. Drzewiaste paprocie dotykały gładkiej powierzchni czarnej wody.

— Popatrz, śpi — odezwała się z nutką czułości w głosie.

Jorick zmarszczył brwi. Widział tylko lśniąca masę, częściowo wynurzona w dolnej partii zbiornika.

— Zobaczmy go lepiej przez szyby na stanowisku obserwacyjnym — powiedziała Phalia, szybko idąc wzdłuż uregulowanego brzegu.

Jorick szedł za nią krok w krok. Był zafascynowany tym olbrzymim, nieruchomym organizmem, który skupiał na sobie aktywność całej bazy. Wiedział, że biologowie z Runy wykorzystali, jak to było w zwyczaju, istniejącą formę życia i dokonali transplantacji mózgu Marzyciela, z wielką ostrożnością wyrwanego z innego kontinuum. Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie podziwiać zwierzęcia w całej okazałości. Był to ssak morski, długi na blisko dziesięć metrów, biało nakrapiany i obdarzony wspaniałą płetwą grzbietową. Idealnie nieruchomy, wisiał w wodzie przed iluminatorem.

— To gatunek miecznika odkryty w okolicach koła podbiegunowego tej planety — wyjaśniła Phalia. — Odłączyliśmy samca i w jego nową korę wszczepiliśmy mózg Marzyciela. Mózg tego ssaka ma objętość przeszło cztery razy większą od naszego, co sprawia, że strefa niema, gdzie powstaje myśl i rejestrowane przez nas obrazy zmysłowe, jest znaczna.

— Czy... Czy to jest dalej zwierzę? — spytał niepewnie Jorick.

— Oczywiście. Mózg miecznika, gdzie koncentrują się funkcje motoryczne, i część nowej kory zostały zachowane, sądzę nawet, że ten wieloryb jest w stanie w taki czy inny sposób porozumiewać się ze swymi towarzyszami, ale nie to nas tutaj interesuje...

Mówiła szybko, jakby się bała, że jej przerwie, Jorick zaś nie potrafił się powstrzymać, by dość ostro nie podkreślić tej fałszywej obojętności.

— Przypuszczam, że „psychika” tego sympatycznego ssaka z Barduany nie ma wiele wspólnego z ulubionymi motywami Marzyciela.

Odwróciła się gwałtownie.

— Na razie nie mogę nic na ten temat powiedzieć. Jeżeli chcesz, pokażę ci ostatnie wyobrażenia hologramiczne, analizowane w interesującej nas kuli.

— Pewnie, że jestem tutaj, żeby się uczyć, a nie żeby udzielać nauk — odezwał się nieco zbyt gwałtownie.



Przyglądała mu się długą chwilę. W jej wzroku była niechęć, ale równocześnie cień zainteresowania. Zdecydował się przerwać tę pełną niedomówień rozmowę w cztery oczy.

— Wybacz moją napastliwość, ale słabo cię znam, a nie znoszę tej nieco znużonej miny, jaką uważasz, że powinnaś przybrać, by mnie zniechęcić do ewentualnych awansów.

Phalia nie słuchała go już. Pochylona nad przyrządami pomiarowymi, wydawała się nagle bardzo pochłonięta pracą.

— Budzi się! — powiedziała bezdźwięcznym głosem.

Miecznik rzeczywiście poruszał się ledwie dostrzegalnie. Machał lekko płetwą ogonową z góry na dół i podpływał w stronę szklanej osłony kabiny.

— Twoja obecność musiała mu zakłócić spokój — powiedziała przestraszona. — Jego cykl snu miał się skończyć dopiero za pięć godzin.

Wielkie zwierzę odwróciło się w ich stronę. Jego oko tworzyło dużą, ciemną jamę w bryle głowy. Przez chwilę Jorick sądził, że miecznik zaatakuje chroniącą ich szklaną ścianę, tak wielkie odniósł wrażenie siły i nagłego gniewu. Jego szczęki rozwarły się szeroko, pokazując podwójny rząd ostrych zębów, ale była to tylko zewnętrzna oznaka agresywności.

Mimo ochronnego kasku Jorick doznawał mentalnych ciosów, które pozbawiały go pewności siebie. Polegało to zarazem na podstępnych prześladowaniu i na zastraszeniu w formie chaotycznych obrazów, wysyłanych niczym, seria uderzeń pięścią. Ataki te powodowały nieustający ból w okolicy czoła. Cofnął się o kilka kroków i w odruchu obrony otoczył głowę rękami.

Dziewczyna też walczyła, ale inną bronią. Krzątała się przy tablicy sterowniczej; Jorick pojął, że wysyła silne sygnały dźwiękowe do środowiska wodnego, gdzie szalał Marzyciel.

Zwierzę uspokoiło się raptownie. Znieruchomiało w pozycji pionowej. Zdawało się nasłuchiwać. Naraz wyprężyło się, zniknęło w powietrzu, wykonując wspaniałą piruet poza swoim żywiołem, po czym spadło całym ciężarem ciała, uderzając

w wodę płetwą ogonową. Głuchy łoskot dał się odczuć aż w kabinie.

— W ten sposób oznajmia niepokój — powiedziała Phalia niepewnym głosem. — Musiał się przestraszyć, czując naszą obecność. Od jakiegoś czasu nie można przewidzieć jego reakcji po przebudzeniu: Mam nadzieję, że nie zakłóciliśmy zbyt cyklu jego snu. Kiedy jest niespokojny, nie śni. Będę musiała złożyć raport...

— Przykro mi, że sprawiam ci kłopot — powiedział, nie usiłując tym razem ironizować.

Krótki pojedynek z tym niejednorodnym mózgiem dostatecznie nim wstrząsnął.

— Liczyliśmy się z takim ryzykiem, mówiłam o tym Zertowi.

Położył dłoń na jej ramieniu w spontanicznym odruchu ludzi, którzy uniknęli śmiertelnego niebezpieczeństwa. Ale jak tylko wykonał ten gest, wydał mu się śmieszny.

— Byłaś przeciwna zasadom naszych wizyt, prawda?

— Owszem, skoro tak chcesz wszystko wiedzieć. Myślę jednak, że do zapoczątkowania ich skłoniły Zerta poważne przyczyny.

Nalegał dalej, wzmacniając uchwyt na jej ramieniu.

— Nie lubię tajemnic, Phalio. Dziwne rzeczy się tu dzieją...

Z uwagą obserwowała miecznika, który skrył się na dnie basenu. Zwierzę wydawało się spokojniejsze, nierytmiczne ruchy płetw zdradzały jednak niezwykle silny niepokój.

— Marzyciel nie jest właściwie telepatą, ale jego niesamowita aktywność umysłowa chwilami przebiera miarę, dosięga innych świadomości. To, co przed chwilą czułeś, jest wynikiem nadmiaru. Zert nie wyklucza możliwości ewolucji. W miarę jak wszczepiony mózg przejmuje kontrolę nad nową korą wieloryba, rozszerza się promień jego oddziaływania. Idealnie byłoby utrzymywać go ciągle we śnie, ale nie zniósłby tego na dłuższą metę.

— A ty?

Wydała się zdziwiona tym pytaniem dotyczącym jej osoby.

— Jestem w stanie przyjąć obrazy wysyłane przez niego podczas czuwania na zasadzie przypominającej nieco kłosz analityczny. Rejestruję je i klasyfikuję nie czując, żeby dotyczył mnie sens tego nadmiaru. Jestem tylko Dekoderką... Zert jest mniej przyzwyczajony mimo swoich olbrzymich możliwości umysłowych. Co do innych...

— Mam wrażenie, że próbujesz ukryć coś przede mną, a przy tym pobudzasz moją ciekawość.

Zarumieniła się i tym razem Jorick ujrzał Phalię taką, jaką ją zawsze widywał na naradach.

— Zert uprzedził mnie przed rozmową z tobą. Ostrzegł mnie, że masz nieprzeciętną intuicję, a twoja drażliwość wymyka się kontroli. Myślę, że byłeś jego przyjacielem, zanim się... zanim zaczął pełnić obecne funkcje... I on chyba o tym pamięta...

Jorick uśmiechnął się z goryczą.

— Dramat Pierwszego nie wynika z braku pamięci, ale z jego obecnych zdolności nadkoncentracji. Oddała go to definitywnie od reszty śmiertelników, a zwłaszcza od dawnych przyjaciół. Jestem wzruszony jego humanitarną troską. Musiał ci też powiedzieć, żebyś się wystrzegła moich prób uwiedzenia cię, co zresztą stanowi pokusę na tej bezludnej wyspie, gdzie wydajemy się być ostatnią żywą parą Twórców.

Zupełnie nieoczekiwanie zachwiała się. Ręce jej zaczęły drżeć, a oczy napełniły się łzami.

— Wczoraj wieczorem znaleziono Bargnama... Martwego. .. Sfinks wyłowił go na płycie...

Doznał wstrząsu. Ta wiadomość zaskoczyła go. Bargnam był pierwszym Runijczykiem, który zmarł na Barduanie i Jorick odnosił wrażenie, że stanowi on tylko początkowe ogniwo długiego łańcucha.

— Jaki jest wynik sekcji?

— Wyładowanie prosto w pierś z iskiernika o pełnej mo-

cy.

Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Twórcy nie znają samobójstwa. Jeżeli nawet mocno dotknęły go decyzje Zerta, nie mógł popełnić takiego czynu.

— Wczoraj przed południem Bargnam widział Marzyciela. Miecznik był tak samo jak dzisiaj podeksycytowany...

— Nie widzę związku.

Odwróciła głowę, ogarnięta głębokim wzruszeniem. Śmierć nie z wyboru była wręcz nie do zniesienia dla Twórcy. Odezwała się zduszonym głosem:

— Zert sądzi, że fala nienawiści wydzielana przez Marzyciela mocno uderzyła w Bargnama. To, co już wcześniej odczuwał boleśnie jako błąd, przekształciło się w jego oczach w zdradę. Marzyciel wyraźnie zaznaczył niezadowolenie z klęski programu „Jednooki Pałac”...

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Swoje „niezadowolenie”? Przypuszczam, że to słowa Pierwszego. Czy Bargnam miał na głowie siatkę ochronną jak ja?

— Nie. Marzyciel nigdy jeszcze nie okazał się równie pobudliwy. To tak, jakby jasno zdawał sobie sprawę z zawartości całego szybu nieważkości i nie mógł znieść zniszczenia którejś z makiet.

— Przecież to Zert zniszczył makietę — szepnął Jorick.

Miecznik opuścił głębinę i unosił się wolno w stronę powierzchni. Wiedział, że o nim mówią, czy też szukał błogosławionego snu, do którego wcześniej został przystosowany? Jorick obserwował go zafascynowany. Nie dość, że wszyscy starali się przedstawić wymysły tego podstępnego mózgu, to jeszcze mieli teraz znosić jego żywiołową nienawiść. A oczywiście nie było sposobu, żeby się wycofać. Program musiał być doprowadzony do końca. Zert już za to zapłacił i rezygnacja nie wchodziła w grę.

— Nie możemy sobie więcej pozwolić na porażkę w stylu „Jednookiego Pałacu” — powiedziała Phalia, podczas gdy Jo-

rick nadal obserwował ewolucje miecznika. — Śmierć Bargnama jest ostrzeżeniem...

— Oczywiście — rzekł półgłosem. — Szkoda by było znowu narazić się na „niezadowolenie” Marzyciela, nie mówiąc już o gniewie Pierwszego. Mam nadzieję, że potrafimy maksymalnie wykorzystać wstrząs emocjonalny wywołany tym wypadkiem wśród obsługi bazy.

Ze zniechęceniem machnęła ręką.

— I po co ten pozorny cynizm, Jorick? Mam ci pokazać ostatnie analizy w kłoszu dekodażu.

— Tak, rozumiem.

Westchnął. Zert postanowił wstrząsnąć wszystkimi Twórcami, trzeba więc poddać się regułom gry i zgodzić na pouczenie za pośrednictwem Dekoderki.

Jorickowi nigdy nie udało się prowadzić życia zgodnego z własnym wyborem. Nawet na Runie, w okresie, gdy bywał wśród wysoko postawionych kół miasta, szedł po najmniejszej linii oporu (jego wrogowie mówili, że „na łatwiznę”), a jeżeli nie przystępował do oferowanych mu zamierzeń, to wyłącznie z powodu niedopatrzenia bądź bierności, nigdy przez jasno wyrażoną odmowę.

— Chodźmy obejrzyć te hologramy — powiedział z rezygnacją.

Phalia wyraźnie nie była skłonna do współpracy.

Trzeba pewno będzie uruchomić nowe strategie, żeby mieć szansę na zdobycie jej...

## SZYB NIEWAŻKOŚCI

Bardziej na lewo, światło... Wiry wstępujące... Wiry!... Psiakrew! Co robią technicy w kanale?

Jorick siedział przed ekranem realizacyjnym, w pewnym oddaleniu od szybu nieważkości. Reagował nerwowo, o krok

od rozdrażnienia. Krótką noc spędził na rozpamiętywaniu uwag Phalii i na interpretowaniu w myśli hologramów przedstawiających główne sekwencje snu „stacja końcowa”. Na miejscu stwierdził, że jego wstępny szkic nie jest dopracowany. Przygnębiła go konfrontacja tekstu z obrazami przekazanymi w rzeczywistości do kłosa w podmorskim osiedlu. Scenariuszowi brakowało prawie wszystkiego. Pozostawał tylko ten nieco ckliwy urok, jaki miały wszystkie jego dialogi, nawet najślabse. Należało dokonać radykalnych cięć i na dobrą sprawę improwizować przed całą ekipą techniczną, czekającą na jasne polecenia.

Był w złym humorze, szorstki względem Zgodnych, którzy mu asystowali. Wszystkim sprawiał tym przykrość, ale wiedział, że jest to nieodzowne w obecnym stadium pracy, aby znowu nie popełnić poprzednich błędów.

Lothar trzymał się nieco z tyłu. Czyżby dostał jakieś instrukcje? W każdym razie ani pisnął i zostawił Deklamatorowi wolną rękę, tak jakby on nie brał udziału w pracach nad projektem.

— Pracujemy, pracujemy — powiedział któryś Zgodny kpiącym tonem. Najwyraźniej zdenerwowanie Deklamatora do niego się nie odnosiło.

Jorick wściekłym ruchem zerwał z głowy kask nasłuchowy. Do tej pory zawsze asystował przy pracy nad makietą jako widz. Odpowiadał za dialogi, a wszystkie inne aspekty realizacji go nie obchodziły. Po raz pierwszy sam się natykał na głucho niezrozumienie, ociężałość, jakie były od obsługi technicznej. Ci ludzie w żywe oczy kpili sobie z makiety, z Marzyciela i z całej reszty. Byli wykluczeni z ważnych decyzji i z tajemnic wyższych sfer. Na swój sposób brali odwet.

— Ci pozoranci stanowią wyobrażenie istot żywych w naszej reprezentacji — wyjaśnił, opanowując się. — To nie są zwykłe lalki, którymi zdalnie poruszamy. Tworzymy rzeczywiste światy, nawet jeżeli punktem wyjścia jest wspólny schemat. Na tym właśnie polega cała trudność: rzeczywistość na

bazie snu. Obraz makiety jest później ponownie wprowadzany do mózgu Marzyciela i on dorzuca do nowych konstrukcji onirycznych brakujące elementy. To cały cykl sen — reprezentacja — sen, w którym każdy szczegół się liczy. Jakże mamy posuwać się naprzód, skoro przedstawiamy żałosne maskarady? Po co ja wam zresztą to wszystko mówię.

— Dobra, dobra, nie denerwuj się, zrobimy, co trzeba — gderał technik, odchodząc.

Jorick wstał nagle z fotela. Czuł na swoich plecach spojrzenie Lothara, a to go denerwowało, gdyż był oceniany według nowych kryteriów przydatności ogłoszonych przez Zerta. Podszedł do panoramicznej szyby, która umożliwiała bezpośrednie wejrzenie do szybu nieważkości. W otaczającym półmroku bardziej niż kiedykolwiek objawiało się uderzające podobieństwo między widokiem tego bezdenne kanału i nocnym niebem. Wyraźne światełka jak łebki szpilek wyściełały głębię i w dali zostawiały smugi odległych mgławic. Niemożliwością było policzyć te źródła światła, które słały się na kolistych ściankach. Ten odcięty od zewnątrz tunel, taki sam na całej długości, łączył samo serce Barduany z przestrzenią międzygwiazdną. Niewyrównoważony przedmiot mógł teoretycznie unosić się poza polem przyciągania planety, nie osiągając drugiej prędkości kosmicznej. Wszystko odbywało się tak, jakby w świecie tym wydrążono próżniową dziurę. Makieta powstawała na poziomie morza, ale jej teoretycznie nieskończone przedłużenie — z jednej strony w głąb litosfery, a z drugiej w kierunku przestrzeni — tworzyło rodzaj wołania skierowanego do nieskończoności, które miało inspirować Marzyciela. Wszystko wydawało się możliwe w tym idealnie obojętnym środowisku, wolnym od wszelkich ograniczeń.

Jorick wrócił do konsoli, unikając wymiany spojrzeń z Lotharem. Na razie dekoracje wiernie odpowiadały hologramom, jakie udało mu się obejrzeć w podmorskim osiedlu. Dwie szyny wynurzały się w górze i prowadziły do czegoś w rodzaju niekompletnej stacji, złożonej z drewnianych baraków

i betonowego peronu, przypominającego raczej molo portowe. Inne tory biegły po bokach tego schematycznego kompleksu i ginęły we mgle, którą chwilowo przywodziły na myśl efekty świetlne. Sama stacja pokryta była śniegiem, co wymagało urządzeń klimatycznych wewnątrz szybu. Jorickowi zależało na odtworzeniu tego szczegółu, choć pociągało to za sobą dodatkowe komplikacje techniczne. Pierwsi pozoranci w mundurach mieli wyjść na peron tej stacji z końca świata i przemierzać go wzdłuż i wszerz, wymieniając jakieś frazesy. Czas oczekiwania... W pobliżu, na kawałku drogi równoległej do torów, jakiś stary wehikuł na benzynę z włączonymi światłami grzał silnik. Wszystko to było jeszcze bardzo niekompletne, ale Jorick uważał, iż pojął, że sen ten zawiera niezwykle mocną ideę utajenia, poprzedzającą rozpętanie procesu przewidzianego, ale jeszcze nie wyśnionego. Ci żołnierze czekali na pociąg ze zmiennikami albo na jakiś ważny transport. Ich zachowanie kojarzyło się z napięciem połączonym z radością.

Kiedy patrzył bezpośrednio na scenę w szybie, doznał zawrotu głowy. Makieta biegła tak dokładnie z góry na dół, że peron wydawał się niemal prostopadły do teoretycznej linii horyzontu Barduany. Ekran korygował to wrażenie przewrotu wywołane, nieważkością.

— Próba wiatru i śnieżycy — rzucił Jorick do mikrofonu.

Całość lekko się zakołysała i ustawiła ukośnie do rozhu-  
kanych żywiołów. Czuł obecność silnych prądów energii, normujących niepogodę. Nic delikatniejszego od sztucznej burzy śnieżnej w tym szczególnym środowisku.

Dalekie blaski światła przedarły się przez zamieć. Nadjeżdżał pociąg i postacie w mundurach znieruchomiały na peronie, wpatrując się w mrok.

— Dialog! — warknął Jorick, włączając zbliżenie peronu.

„... Jest przeszło trzy godziny spóźniony” — powiedział jeden z mężczyzn, opuszczając kołnierz bluzy.

Najbliższy żołnierz wymamrotał pod nosem jakieś niezrozumiałe przekleństwo. Miał krótki, nienaturalnie oszronio-



ny wąsik. Wszyscy pozoranci zamieniali się zresztą w lodowe posągi, gdyż niska ciepłota ich ciała nie wystarczała, by roztopić lepiący się do nich śnieg.

„...Wąwóz w R... chyba był jeszcze przejezdny. Jedyna nadzieja, że wyruszył o świcie...” — mówił dalej ten sam osobnik obojętnym głosem.

Stojący z tyłu Lothar udzielił kilku wskazówek i Jorick nie mógł się powstrzymać, by nie nadstawić ucha.

— Zatrzymać zamieć! — rozkazał. — Powtórzmy scenę z pozorantami mniej zmarzniętymi. Zróbcie, co trzeba. Za dwadzieścia minut zaczynamy...

Wstał gwałtownie i odwrócił się do Realizatora, który przesłał mu stosowny uśmiech, jakby spodziewał się wyrzutów.

— Masz chwilkę czasu, Lothar? — spytał zdecydowanie.

— Ależ tak... Oczywiście... Trzeba dopracować...

— Nieźle, Jorick, raczej dobrze sobie radzisz... Te nowe instrukcje i przykra nowina, od której potraciliśmy głowy... Biedny Bargnam...

Szli prowadzącym na zewnątrz korytarzem. Niskie światło zmierzchu wydłużyło ich ruchome cienie.

— To przesłało być literaturą, Lothar. Próbuję dokonać wiernego odczytania.

Lothar wydał się szczerze zaskoczony. Jego profil zdziwionego ptaka stał się jeszcze bardziej ostry.

— Poważnie? Nie masz żadnego skrytego pomysłu? Liczy się przecież nasza zdolność inwencji. Pogmatwane wizje Marzyciela to tylko punkt wyjścia. Ostatecznie Twórcy są nosicielami nowych struktur estetycznych, a nie przeszczepiony mózg...

Jorick znacznie przyspieszył kroku. Miał ochotę wstrząsnąć tym zarozumiałym Realizatorem, który — o czym był przekonany — czyhał na jego najmniejszy błąd.

— Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego z taką uwagą podsłuchujemy Marzyciela, skoro stać nas na tyle „czynów

twórczych”?

Lothar odparł bez wahania.

— Oczywiście! Nic nie zastąpi oryginalnego wkładu. Marzyciel jest kopalnią nowych wrażeń. Niektóre nie nadają się do użytku, inne można rozwijać...

— Bzdura! — przerwał Deklamator bez ogródek. — Prawda jest taka, że ten prymitywny mózg nas sobie podporządkował. Z podziwem znowu odkrywamy wszystkie obawy i błędy, jakie naszej cywilizacji udało się pokonać.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz — powiedział Lothar. Próbował zwolnić kroku widząc, że inaczej nie uniknie wyjścia na zewnętrzną płytę.

— Nazwę to „upojonym zawrotem głowy na skraju przepaści”, co nie będzie tytułem makiety! W rzeczywistości jesteśmy straszliwie uzależnieni od Marzyciela. Dobitnie świadczy o tym śmierć Bargnama. Uspokajamy się oczywiście udając, że całe to szaleństwo zostało wspaniale zorganizowane i że Tumin, komendant Ochrony, jest po to, żeby się zająć niebezpieczeństwami, jakie mogłyby nam zagrozić. A Zert jest nieomylny! Jego „nadinteligencja” chroni nas przed każdą przykrą niespodzianką. A faktycznie, mój drogi, szukamy racji naszego bytu w całym tym sekretnym kramie, przedstawianym jako analiza naukowa.

— Trudno mi się przyzwyczaić do twoich sformułowań Deklamatora — powiedział Lothar, jakby szukał pretekstu do uniknięcia dyskusji.

— Można do tego przywyknąć. Pracujesz ze mną nad projektem „stacja końcowa”. Nie powtórzymy tych samych błędów co Odpowiedzialny za program...

— Nie, nie, oczywiście, że nie! — pospiesznie przytaknął Lothar.

— Postanowiłem wrócić do prymitywizmu. Marzyciel dostarcza nam obrazów. Trzeba je zaakceptować i przedstawić bez jakiejś ukrytej myśli pragmatycznej.

— Chcesz powiedzieć, że nie masz żadnego pomysłu na

spekulatywne wykorzystanie tego programu?

— Zert sam osądzi, co należy zostawić, a co usunąć. Dekoderka ciebie też musiała pouczyć...

Lothar uśmiechnął się, skwapliwie wykorzystując podsuniętą okazję zmiany tematu.

— Phalia jest niezwykle czarująca. Zawsze pociągał mnie jej pełen rezerwy urok. Wygląda, jakby ciągle czekała, żeby ją zaskakiwano. Nie wymyśliłem dotąd takiej sztuki, która zwróciłaby jej uwagę...

Jorick nie znosił analiz miłosnej strategii innych, toteż znalazł zaraz cierpką replikę:

— Gdybyś był w guście Dekoderki, przystałaby na zaskakujące wymysły. Możesz nie tracić czasu!

Lothar wstrząsnął się, jakby otrzymał lodowaty prysznic. Peszył go obrót, jaki przybierała rozmowa. Jorick zdawał się zmierzać do jakiejś konfrontacji. Unikał bowiem skrupulatnie wszystkiego, co przypominało zwykłą dysputę, woląc swoje talenty wykorzystywać na zasadzie cięć floretem z ochroniaczem. Toteż starał się nadażyć za przyspieszonym krokiem, jaki Deklamator narzucał niczym dodatkowe wyzwanie.

Oszklony korytarz skręcał wzdłuż nabrzeży popstrzonych przez wspaniały zachód słońca, typowy dla Barduany. Jorick zatrzymał się przed nie strzeżoną śluzą.

— Proszę...

Lothar zawahał się chwilę. Zdawał się nagle bardzo zdeenerwowany.

— Ależ te drzwi prowadzą na płytę!

— Przecież wiem. Dlaczego nigdy nie korzystasz z zezwolenia na wyjście?

— To moja sprawa... — zaczął Lothar ostrożnie.

— Zaczerpniemy po prostu powietrza przed powrotem do pracy. Wszystkie te bajki o atmosferze Barduany są po to, żeby stworzyć klimat niepewności sprzyjający pracy w grupach.

— Skoro nalegasz... — powiedział niechętnie.

Stali obok siebie na łagodnym wietrze. Fale rozbijały się o płytę z symfonicznym patosem, od którego ścisnęło się serce Deklamatora. Po co rozkoszować się tą zwodniczą pięknoscią? Byli tam, żeby w taki czy inny sposób obalić ten świat.

Według mitologii, Barduana była jedną z trzech córek wielkiego Syryxa, pożeracza czasu i materii, cierpliwie pochłaniającego Wszechświat, dopóki go nie wtłoczy z powrotem do pierwotnego zarodka. Za jaki rodzaj regresu odpowiedzialna była Barduana? Legenda tego nie precyzowała, ale może Marzyciel na swój sposób obrzucał błotem ten odległy mit.

Jorick zbliżył się do strefy nieustannie zwilżanej pianą. Sfinks, tkwiący nieruchomo na drugim końcu brzegu, jeszcze ich nie zauważył. Może nawet udawał wygodną ślepotę po wszystkich trudach ostatnich godzin. Kipiąca wokół nich piana natrętnie więziła im nogi w kostkach. Jej obecność była niemal zwierzęca i bywalcy płyty świetnie znali szczególne wrażenie wywołane przez tę gąbczastą materię, która — zda się — z łagodnym uporem chce ich zatrzymać.

— Boisz się, Lothar?

Realizator wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Czyżby tak wielka była siła sugestii, że zaledwie po kilku minutach wystawienia się na działanie zewnętrznej atmosfery poczuł pierwsze oznaki osławionego upojenia?

— Bać się? Czego właściwie? — rzucił zachrypniętym głosem.

— Śmierci Bargnama gdzieś na tej skale... Naszych doświadczeń... Marzyciela...

— Życie tej organicznej masy sprowadza się wyłącznie do snu — oświadczył Twórca, zatrzymując się tylko na tej spośród trapiących Joricka myśli, na którą miał gotową odpowiedź.

— Nie zastanawiałeś się nigdy, co w podobnym położeniu może odczuwać istota myśląca? Masz oto mózg przeszczepiony do obcego mu ciała. Sądził, że zabrała go śmierć, a tu musi

żyć w organicznym więzieniu. Tortura, nagromadzenia najgorszych okrucieństw fizycznych, najsroźsza niewola, wszystko to zawsze niknie wobec władztwa snu. Sen stanowi jedyną ucieczkę torturowanego, jest dla niego jakby odrębnym światem, gdzie kat nie ma wstępu. To ostatnia nadzieja, ostatni strzyp godności należący do niego całkowicie, dopóki życie jeszcze się w nim tli.

— Ależ się zagalopowałeś! — zaśmiał się głośno Lothar, uspokojony raczej emfazą Deklamatora. — Snu Marzyciela nie można porównywać z naszym. Jego świadomość jest tylko śladem, cieniem wyrwanym z nicości. Marzyciel nie ma już prawdziwej osobowości, to rodzaj czułej kliszy, która utrwała pojęcia, obrazy, wrażenia. Nie można tu mówić o istocie, lecz o komorze ech. Stąd zainteresowanie marzeniami sennymi. Do czego zmierzasz?

Jorick zacisnął szczęki.

— Słuchaj, Lothar, Marzyciel nienawidzi nas na swój sposób. Okradamy go z tego, co jeszcze jest jego wyłączną własnością, bez żadnej rekompensaty...

— Jakże to ma znaczenie?

Lothar wyrwał nogi z piany, jakby wyciągał je z błota, i najwyraźniej pragnął możliwie szybko skończyć ten niesmaczny spór. Drobnymi kroczkami chodził ostrożnie po gładkiej skale.

— Istota śpiąca ponad siedemdziesiąt godzin z rzędu musi mieć po przebudzeniu niesamowitą lotność umysłu, nieodpartą przytomność i żądzę poznania, które przechodzą nasze pojęcie.

— Tak, tak, rozumiem — powiedział Lothar z irytacją — ale szczerze powiedziawszy, uważam twój upór za męczący, zwłaszcza w tym szkodliwym dla zdrowia miejscu.

Jorick rozłożył ramiona w bezradnym geście.

— Próbowałem spokojnie przedstawić ci mój punkt widzenia. Postaram się mówić nieco jaśniej, o ile to możliwe...

Lothar znieruchomiał i Jorick zauważył w tej chwili, że

tamtę rozpaczliwie szuka pretekstu, by się wymknąć.

— Nie podoba mi się sposób, w jaki oceniasz moją pracę. Twój wytworny sceptycyzm, któremu dajesz wyraz tylko pod moją nieobecność, denerwuje mnie w najwyższym stopniu. Nasze poglądy różnią się, czego dowodzi ta rozmowa. Dlatego też od tej chwili poprzestań, proszę, na wysubtelnianiu swojego zmysłu krytycznego we własnej dziedzinie: syntetyzacji materii.

Szybko skierował się do służby, nie zwracając uwagi na poruszenie rozmówcy. Wróżyło to niezłą burzę w szeregach Twórców, ale Jorickowi burze były potrzebne...

### OKRHUJ

Między snem a czuwaniem istnieje szczelina, i Marzyciel cierpliwie ją poszerza. Za oszkloną strzelnicą przesuwa się oprawcy. Jest kobieta, która pomaga mu zasnąć. Nie ma w niej rozmyślnego okrucieństwa. Jej mentalny zapach jest przyjemny, odurzający. Jest także żołnierz, a raczej strażnik, kierujący prawie żywymi maszynami, zbudowanymi z ciała i meta-lu. Jest chłodna świadomość, zdolna okrężnymi drogami dotrzeć aż do niego; to obserwator, wróg jego intymnego obszaru. Zna nawet jego imię brzmiące niczym trzask z bicia: „Zert”... I są wszyscy inni. Ci, których nigdy nie widział, a którzy defilują teraz przed jego więzieniem. To złodzieje. Ich głowy pełne są ocen i ambicji. Nieustannie próbują wykorzystać to, co widzą, ale nic nie czują albo niewiele, bo żyją i rozmnażają się na bazie rzeczy martwych.

Ale jest także błazen. Nie wie, dlaczego tak go nazywa, niewątpliwie dlatego, że miota się w pożałowania godny sposób. To szalona głowa.

— Niestety! Biedny Jorick... Czy można być złodziejem, a jednocześnie gawędziarzem?

*Miecznik unosił się spokojnie w najciemniejszej części basenu. Dla obserwatorów z zewnątrz właśnie zasnął, wcale jednak tak nie było. Jego wnikanie w umysły Twórców nauczyło go paru wybiegów, teraz dysponował bowiem kolekcją obrazów własnego ciała, odbitych przez te wszystkie mentalne lustra.*

*Bardziej wnikliwe poszukiwania Bargnama i w mniejszym stopniu Joricka dostarczały mu kilku brakujących jeszcze do układanki elementów, nie rozpraszając przy tym mgieł, jakie okrywały przeszłość. On dostrzegał rozwój rzeczy. Znalazł dziewiczą strefę położoną i poza basenem, i poza szybem nieważkości. Aby zlokalizować tę strefę, odwoływał się do swojego rytmu snu. Stan czuwania oznaczał: basen; sen — więzące go obrazy; a stan przejściowy — nowy obszar...*

Okrhud wyciągnął się w cieniu olbrzymiej lipy o rzadkim listowiu. Leżał nieruchomo, lekko skulony, z zamkniętymi oczami, a jednak docierały do niego pojedyncze dźwięki, czyste niczym muzyczne tony przyniesione przez słaby wietrzyk. Rozróżniał dalekie krzyki i śmiechy, kojarzące się z bezcelowymi zabawami dzieci.

Jego ciało dawało mu wrażenie siły i zwinności. Było to niemal ciało barczystego męż-czyzny, gdzieś w głowie drzymało jednak dziecko, które nic nie wie. Zdawało się, że wokół niego brzęczą muchy, ale mogło to być tylko złudzenie.

W zasięgu ręki czuł twardą, starzejącą się trawę, a niżej, pod zeschniętą pokrywą roślin, piaszczystą ziemię. Nogami poszukał promieni słońca, bo w cieniu drzewa zaczynał odczuwać chłód. Otworzywszy oczy, dojrzał najpierw nieregularny trójkąt wycięty przez gałęzie. Przepływały tam małe, nierealne chmurki w kolorze błękitu, gnane morskim wiatrem. Zaczął je spokojnie liczyć, nie rozszerzając pola widzenia.

Wiedział, że gdyby zmusił się do uniesienia głowy z wygodnego wgłębienia, jakie wydrążył sobie podczas długiego snu, ujrzałby tylko widok szarawej pustyni otoczonej wysokimi, nagimi górami. Trzeba dać czas krajobrazowi, żeby się ukształtował w pięknych barwach dobrze wykonanej chromo-

litografii. Na razie odbierał dźwięki, a to go zadowalało.

Unikając zbyt dalekiego i nagłego sięgania pamięcią wstecz, bez trudu mógł sobie wyobrazić młodych ludzi w mundurach, brunatnożółtym i brązowym tłumem zalegających plac wioski, podobnie jak symboliczne sztandary, rozwijające się na wietrze. Tymczasem jednak miejsce to żyło dziwnym oczekiwaniem. Pustynny piasek pędził przy samym bruku spadzistych uliczek, a poza wioską suche i chłodne wiatry wypalały mizerne pola, które ciągnęły się aż do jałowego morza...

Między kwaśnym oddechem oceanu i napadami Jeźdźców z gór wioska dusiła się, bezskutecznie próbowała żyć.

— Okrhud!

Wołają go. To krzykliwy głos jego matki... Nie miał zamiaru zdradzać jej od razu swojej obecności pod jedną na placu lipą. Ale nieustępliwy głos zbliżał się i pokrył wreszcie inne dźwięki, by przekazać ostrzeżenie.

— Okrhud, ty łobuzie, gdzie jesteś? Meinicha widziała patrol Jeźdźców. Idą z gór i kie-rują się prosto do wioski.

Skórę na udach łaskotały tysiące ziarenek piasku obdarzonych drobnym, nie skrywanym życiem. Musiał wstać i raptownie zniszczyć wszystkie przyjemne wrażenia, jakich dostarczała mu sjestta w samotności. Nadejście ludzi z gór stanowiło autentyczne niebezpieczeństwo, ale wstrząsało też letargiczną egzystencją, jaką wiódł w wiosce. Odczuwał dziwne podniecenie zmieszane ze strachem przed nieznanym.

Jeźdźcy przybywali z lodowatej krainy rozciągającej się za barierą gór. Mówiono, że dosiadają dziwnych, lśniących maszyn, zdolnych burzyć domy i niszczyć tych, co ośmielali im się sprzeciwiać. Ich oddziały przemierzały pustynie w poszukiwaniu łagodniejszych dolin, które często kryły ludność osiadłą. Kiedy znajdowali wioskę, rzucali się ze zboczy, kaleczyli otaczające ją jedwabiste pola i spadali na zdobycz z oczami pełnymi pożądania i bokami zapadniętymi od powszedniego głodu.



— Okrhud! Wiem, że dalej leżysz pod lipą...

Głos matki był już całkiem blisko. Rozlegał się za zakrętem uliczki prowadzącej na pola. Okrhud uniósł się lekko. Matka stała tam, niezgrabna w grubych spódnicach, które wiecznie zamiatały kurz. Źle zawiązana chustka przytrzymywała zebrane na czubku głowy włosy i nadawała jej twarzy oschły i zmęczony wygląd, jaki miała zawsze.

Domy za nią zdawały się skurczone, sprowadzone do kilku glinianych ścian bez okien, kruche budowle o fantazyjnych kształtach — żeby je przewrócić, wystarczyłby prawdopodobnie jeden podmuch., Bliskie morze wyrzucało pianę na pusty brzeg, jasny niczym zbiełała w słońcu kość.

Na okolicznych wzgórzach i na wydmach porośniętych trzciną podnosiły się tumany kurzu i wyraźnie rozlegało się sapanie maszyn. Okrhud już stał z bijącym sercem. Cóż mógł teraz zrobić? Ryk wierzchowców nieprawdopodobnymi odgłosami napełniał właśnie uliczki w dole. Pierwsi Jeźdźcy dotarli do rynku w dzikim zgiełku umęczonych tłoków i poszarpanego metalu. Mógł ich dojrzeć w otoczeniu gęstych kłębow dymu.

Mężczyźni byli zupełnie nadzy i dosiadali ogromnych lokomotyw plujących olejem i parą wodną. Pojazdy górowały nad rynkiem, podtrzymywane łapami, które uderzały o siebie w jakimś frenetycznym tańcu. Ich straszliwy oddech podnosił słupy sproszkowanej ziemi.

— Uprzedzałam cię — zajęczała kobieta, mnąc połą fartucha.

— Trzeba uciec górnymi uliczkami...

— Jest ich więcej niż zwykle — powiedziała tym samym płaczącym tonem, nie wykonując najmniejszego ruchu. — Meinicha naliczyła ich ponad stu, zanim pobiegła w stronę plaży.

Okrhud skrzywił się. Zerknął na opadające ku dolinom i wydmom pola zbóż.

— Nie ma żadnej szansy, żeby im umknąć. Za późno uciekła. Patrz!

Wskazał palcem podwójną bruzdę poszarpanej słomy, gdzie niesamowicie miały się dwie błyszczące muchy, które podążały w stronę znajdującego się niżej, w odległości jednego rzutu kamieniem od plaży, punktu.

— Złapią ją w zaroślach trzciny na skraju pól — powiedział, zafascynowany widokiem.

— Zgwałcą ją wiele razy, chyba że będzie miała szczęście, to nie zabawią się z nią, zanim jej nie wykończą — załkała matka. — Twoja siostra była taka młoda...

— A ty?

— Ja się przyzwyczaiłem. Wszyscy twoi bracia zostali poczęci w ten sposób...

Już domy i parkany waliły się pod uderzeniami pysków maszyn.

— Oni są tak okrutni, nie znają litości — szepnęła kobieta. Okrhud czuł się niemal winien ich położeniu.

— Schowaj się przynajmniej!

— Nie warto. Znajdą mnie wcześniej czy później, a pościg jeszcze ich podnieca...

Naraz pojawiło się dwóch Jeźdźców, przeskakując nad murem, który zburzyli po drodze. Otoczone płomieniami silniki wibrowały i dyszały mocą, zda się, nie do pokonania. Ludzie siedzieli wprost na metalu i z trudem panowali nad nieprzewidzianymi wierzgnięciami kapryśnego mechanizmu.

— Nie ruszać się! — ryknął jeden z mężczyzn, zeskakując ze swojego ogromnego rumaka.

Nadciągnęli inni Jeźdźcy. Przybywali ze wszystkich uliczek. Niektórzy wynurzali się cali pokryci kurzem ze zburzonych domów. Kierowali się teraz w stronę lipy.

Nie wiedział, jak to się stało. Schwycony brutalnymi rękami, znalazł się na maszynie, leżąc z twarzą przyciśniętą do gorącego metalu lśniącego od smaru. Twarde członki orały jego zaciśnięte uda, ślizgały się na wilgotnych pośladvach, wyrzucały nasienie... W czasie gwałtu zdawało mu się, że z otwartymi ustami, zduszonym krzykiem pograża się w żela-

znych wnętrzościach ogiera, do którego go przyparto.

Ktoś chwycił go za włosy i bezlitośnie uniósł jego powalaną twarz. Tuż obok rozległ się zimny głos:

— Patrz! Ta ma dosyć...

Najpierw ujrzał tylko otaczający go krąg wojowników. Jedna z ich maszyn pastwiła się nad stertą szmat przypominających trochę ciało jego matki, ale czy to na pewno była ona? Krew czy też jakaś jaskrawoczerwona ciecz chlusnęła na pobielone ściany i wyrysowała bezsensowne esy floresy, wielkie abstrakcyjne kwiaty na glinie, na tle turkusowego nieba i nieruchomych schodów zboża. Każdy szczegół tego dziwnego obrazu wrastał w jego pamięć, nie czuł jednak żadnego bólu, najwyżej jakiś mglisty niesmak.

Mechaniczny wierzchowiec Jeźdźca skończył swoje dzieło. Wspaniałym rozprężeniem zginających się w stawach długich łap skoczył naraz do nieba, odbił się od fasady domu i jednym susem runął w sam środek królującej na placu lipy, bez trudu miażdżąc główne konary, nim rozplatał pień. Pod rozdartą korą ukazało się włókniste ciało aż do samego rdzenia. Stalowe skalpele połączone z tłokami zdawały się znajdować upodobanie w zagłębianiu się w nasycone sokami drewno. Wkrótce została już tylko bezkształtna masa w miejscu, gdzie wcześniej wznosiło się jedyne drzewo wioski.

Półprzytomnego, wsadzono go na drżący zad maszyny i Jeźdźcy opuścili rynek.

Wioska była tylko stertą ruin. Frontowe ściany wychodziły prosto na niebo, a liczne pożary wzniecone w stodołach odsłaniały szkielety wiązań pożeranych przez ogień. Wszędzie wierzchowce najeźdźców wytyczyły nowe ulice, biegnące wprost przez dawne domostwa.

Oglądane przez chłopca widoki były fragmentaryczne, ale przez to bardziej naładowane emocją i zdziwieniem. Jak to się działo na przykład, że z największych, z najbardziej kompletnych budynków po nawałnicy zostawały już tylko nic nie znaczące sterty gruzów? To, co zasłaniało widok, bez wątpienia

zwiększało tajemniczość tego, czego nie widział. Wioska stanowiła zaledwie maleńki, kamienny prostokąt, zajmujący jeden róg doliny. W porównaniu z nią pola, podobnie jak i wzgórze, gdzie kierowali się Jeźdźcy, podsycając wewnętrzny ogień w pożerających przestrzeń maszynach, wydawały się olbrzymie...

Jorick wrócił do swojego klosza z uczuciem lekkości, jakiego od dawna nie zaznał. Lothar uosabiał to, czego on sam najbardziej nie znosił u Twórców: wygórowane mniemanie o własnej wartości, kastowość i wrodzoną zazdrość przejawiającą się otwarcie w dziedzinie, w której sądził, że przoduje. W chwili, gdy zasuwał drzwi, a więc o ułamek sekundy za późno, spostrzegł obecność kogoś obcego, ukrytego we wnętrzu. Jak piórko został uniesiony w górę i mimo oporu zawisł w powietrzu. Z mroku rozległ się głos:

— Deklamator traci punkt. Starzejesz się, Jorick...

Stęknął i szarpnął się bez skutku.

— Skończ z tymi zagraniami, Manika. Dopiero stoczyłem walkę i już mam dość agresji. Każ Poniusowi mnie puścić.

Przytłumione światło wydobyło z mroku zarysy klosza. Manika leżała na łóżku w stroju, który nie pozostawiał żadnej wątpliwości co do jej zamiarów.

— Nie jestem usposobiony... — wyjęczał Deklamator, nadal unieruchomiony przez ogromne narządy chwytne Ailoty zwanego Poniussem.

— Ciii... — powiedziała gderliwym tonem. — To nie jest dobra metoda, żeby wrócić na ziemię.

Zrozpaczony, zwrócił się wprost do Przyuczonego.

— Puść, sprawiasz mi ból!

— Daj spokój — parsknęła śmiechem Manika. — To umowa między nim a mną. Nie musi cię słuchać. Nie zapominaj, że znajdujemy się w sytuacji typu rekreacyjnego...

— O niczym nie zapominam. Powiedz mu przynajmniej, żeby rozluźnił te swoje kleszcze.

Dała znak Ailocie.

— Jak ustaliliśmy, Ponius, ale... łagodnie...

Jorick zrozumiał, że opór nie ma sensu. Jak bezwładna kukła pozwolił się rozebrać i położyć na łóżku. Przyuczony trzymał go teraz za ramiona, przez co nie mógł się wyrwać, nawet rzucając się na wszystkie strony.

— Zręda z ciebie — powiedziała, wślizgując się na niego wyzywającym ruchem.

Wbrew woli opanowywało go podniecenie, gdyż pieścoty dziewczyny były niezwykle wprawne. Ponius aktywnie z nią współdziałał, powoli masując szyję swego „więźnia”. Sięda dobrze zastawiono, a Jorickowi pozostawało tylko chylić czoła wobec tak urozmaicone-go przygotowania.

— Pozwól mi wstać! — szepnął.

— Nie ma mowy — odparła. — Masz wolne ręce. To wystarczy.

Dała mu czas zaledwie na rozpoczęcie pieścot.

Wchłonęła w siebie jego seks, a Przyuczony zajął się koordynacją ruchów.

W tejże chwili szcęknął interkom i Jorick nie mógł nie docenić pikanterii sytuacji.

— Mogę odpowiedzieć?

Dała znak Ailocie. Tak łatwo nie uda mu się wymknąć. Przyuczony podniósł dwa złączone ciała i nieskończenie ostrożnie podszedł z nimi do aparatu.

— Mówi Tumin. Nadzwyczajne zebranie...

— Czy to naprawdę pilne? — zaryzykował Deklamator.

— Bezwzględnie! — powiedział komendant Ochrony jak zwykle zwięźle.

— Na stanowisku ochrony?

— Tak, w pomniejszonym składzie...

— Nie znoszę tego miejsca!

— Oczywiście — powiedział Tumin, rozłączając się.

Jorick westchnął. Podniecenie nieubłaganie opadało.

— Gnojek! — warknęła. — Założę się, że mnie śledzi.

Przekleństwo bardziej ją podnieciło i kilkoma ruchami

bioder zakończyła mocno już zaawansowany akt. Przyuczony rozluźnił uchwyt; Jorick odzyskał swobodę, nie zażywwszy przyjemności.

— To nie jest w stylu Tumina. On koordynuje ruchy patroli.

— Zert mnie śledzi — wyjaśniła Manika, kładąc się z powrotem na łóżku. Malowniczo rozrzucone włosy przysłaniały jej rozpaloną twarz.

— Zbyt duże znaczenie sobie przypisujesz, Manika. Sądzę, że to jakaś poważna sprawa, może coś w związku ze śmiercią Bargnama.

Pozbierał ubranie, zerknął w lustro i pożegnał się formułą, którą uznał za wytworną.

— Twoje postępowanie daje mi pewne prawa do twojego życia prywatnego. Następnym razem ją będę dyktował warunki, czy tego chcesz, czy nie.

— Jak wolisz — odparła Manika, gasząc światło.

Wzruszył ramionami i nie czekając dłużej udał się na stanowisko ochrony. Był nim podziemny blok, sąsiadujący z dwudziestym dolnym poziomem szybu nieważkości. Prowadził do niego długi, cylindryczny korytarz, idealnie prosty, wyposażony w kilkustopniową kontrolę automatyczną. Na siłę wcisnął się do ostatniego elastycznego zwieracza, który w przejściu sprawdził zawartość jego kieszeni. Phalia, Tumin, Varlo i Przyuczony, zwany Weteranem, siedzieli już wokół podłużnego stołu. Zert rozmawiał przez interkom z technikiem z szybu. Atmosfera była nadzwyczaj napięta.

— Spóźniłem się — usprawiedliwił się Jorick, na próżno szukając odpowiedniego dowcipu.

— Nieważne!

Zert podszedł do stołu. Jego naznaczona zmęczeniem twarz całkiem naturalnie narzucała myśl o wyjątkowej sytuacji.

— Niecałe pół godziny temu nasz satelita przekazał dziwne obserwacje — kontynuował. — Kontynent, na którym

przebywamy, jest siedliskiem niezwyklej aktywności termicznej.

— Bez wątpienia czynny wulkan — powiedział Varlo z charakterystycznym dlań rozsądkiem.

Nerwowym gestem Zert odrzucił tę hipotezę.

— Nie zapominajcie, że przed wydrążeniem szybu nieważkości, sięgającego aż do serca planety, dokonaliśmy niezwykle dokładnych pomiarów pirometrycznych. Najmniejsze uskoki w litosferze zostały wykryte, zbadane, opisane. Nie... Chodzi o źródło energii błędzącej, jak na przykład oddziału w marszu czy nagromadzenia pojazdów...

— Ależ to niemożliwe! — odezwał się Przyuczony niskim głosem.

— Nie mamy możliwości uściślenia tych obserwacji. Strzeżemy przestrzeni całej powierzchni Barduany. To nie jest wyprawa militarna...

— Szkoda — mruknął Tumin, nie wyjawiając istoty swej myśli.

Varlo uśmiechnął się, marszcząc drwiąco czoło.

— Komendant Ochrony wszędzie widzi niebezpieczeństwo. Powiedziałbym nawet, że ze swoim umysłem Twórcy wymyśla je, z czego się da. Barduana ma ubogą ekologię. Każdy gatunek jest niejako autonomiczny. Rozmnażanie roślin tworzy obwód zamknięty, nie wymagający pomocy nielicznych owadów lądowych. Zwierzęta ciepłokrwiste nie opuściły mórz, a nie dowiedziono nawet, czy wpisują się w zamknięty cykl pokarmowy. Nieliczne drapieżniki napadają na dżdżownicowate, czerpiąc pożywienie wprost z głębin oceanów. I to wszystko. Jakżeż chcecie, żeby w tych warunkach istniał ślad życia zorganizowanego na wynurzonych pustynnych lądach?

— Zert nie mówi o gatunkach z Barduany — spokojnym głosem powiedziała Phalia.

Twarz jej miała wyraz typowy dla zebrań — mieszaninę pogardy i nieśmiałości. Jorick z życzliwością spojrział na dziewczynę. Nie miał na razie ochoty odzywać się. Wiedział z

do-świadczania, że jego milczenie krępowało, a potem drażniło niczym mikrofon na podsłuchu. W oparciu o spór innych rodziła się jego osobista synteza. Tumin zdecydował się wygłosić całą jedną myśl.

— Właśnie! Hipotezę o miejscowym życiu można z góry odrzucić. Mamy do czynienia ze zjawiskiem bezpośrednio związanym z naszą obecnością na planecie. W niedalekiej przeszłości geologicznej jakaś kosmiczna katastrofa praktycznie musiała wysterylizować Barduanę. Niepokoją nas zatem nie biologiczne pozostałości tego świata, ale żywiołowa działalność typu militarnego.

Wielkie słowo padło. Varlo westchnął ze znużeniem, ale wstrzymał się od komentarzy.

Zert zwrócił się do Deklamatora.

— Jorick?

— Czekam na twoje wnioski, są na pewno głębsze od naszych.

Zert zignorował ledwie skrywaną impertynencję swego dawnego przyjaciela i oświadczył:

— Znamy wszyscy przezorność komendanta Ochrony. Zasłużył się, wybierając funkcję niezbyt przez Twórców pożądaną, i jego zadaniem jest przypomnienie nam o pewnych zasadach, o których lubimy zapominać. Uważam jednak, że to nieznanne ognisko działalności nie stanowi dla bazy niebezpieczeństwa, mimo naszego niedostatecznego wyposażenia wojskowego.

— Trzeba jednak przedsięwziąć środki ostrożności — obstawał Tumin.

Jorick podziwiał upór tego niecierpliwca bez jakichkolwiek talentów militarnych. Sprawy wojskowe na ogół zostawiano Przyuczonym, nie było to jednak wcale zastrzeżone, a mi-lczenie Weterana jasno wskazywało, że nie zależy mu na ślepym wplątaniu się w tę sprawę.

Phalia przerwała krępującą ciszę, jaka zapadła wokół owalnego stołu.



— Moim zdaniem, mamy do czynienia ze skutkiem ubocznym związanym z działalnością Marzyciela. Dotychczas schematy oniryczne materializowały się w szybie nieważkości, ale nie jest niemożliwe zjawisko przepełnienia. Marzyciel niewątpliwie jest zdolny, w okresach wyjątkowego ożywienia, przesyłać gdzie indziej swoje mniej lub bardziej zsyntetyzowane hologramy.

Jorick nie mógł powstrzymać nerwowego śmiechu.

— W pewnym sensie przestaliśmy mu być potrzebni. Swoje wymysły osadza na zewnątrz. Pozostaje nam tylko uprawianie turystyki na kontynencie.

Sformułowanie było umyślnie szorstkie i Varlo skinął głową z uznaniem. Deklamator nie znosił zebrzań na szczycie, na których obecność Zerta hamowała wyrażanie nawet tego, co oczywiste. Najczęściej stawały się one poszukiwaniem raczej sposobów wypowiedzi niż rozwiązania.

— Nie mamy się zastanawiać nad istnieniem na tej planecie życia obdarzonego inteligencją, wywodzącego się czy też nie z naszej działalności — powiedział Tumin. — Rada Główna Runy wydała dekret o Barduanie jako „martwej ziemi” i taką musi pozostać dla prawidłowego przebiegu naszej wyprawy.

— O ile cię dobrze rozumiem, spodziewasz się naszej zgody na rozpoczęcie operacji oczyszczania terenu z nieprzyjaciół — rzekł Varlo, nie licząc się ze słowami. — Łatwo jest zniszczyć to, czego się nie zna, a przecież to nie są ziemie podbijane.

— Chodzi o usunięcie śmieci, zjawisk pasożytniczych, według słów Dekoderki — odezwał się Tumin.

— Mamy szperacze — poddał Weteran, wiercąc się na krześle. — Są to pociski niewybuchowe, reagują tylko na ruch i okresowo same ładują swoje baterie słoneczne. Posiadają dzięki temu zupełną autonomię i świetnie się nadają, by opasać nimi ograniczoną strefę. Boję się wyprawiać Ailotów daleko od bazy. Znacie naszą słabość, gdy jesteśmy odcięci od po-

zo-stałych ras runijskich.

Zert przemówił spokojniej.

— Tak, Weteranie, nie mamy zamiaru patrzeć, jak starzejecie się przedwcześnie. Bardziej sobie cenimy wasze „człowieczeństwo” niż mechaniczne organy...

Nadeszła chwila podjęcia decyzji i wszyscy czuli, że Pierwszy wybrał już linię postępowania na podstawie tego, co usłyszał. Jego zdolności dowodzenia polegały na niezwyklej szybkości, z jaką zestawiał najprzeróżniejsze informacje, sam przy tym nic do nich nie dodając.

— Większość Przyuczonych pozostanie w obrębie bazy. Najstarsi spośród nich zapewnią obronę podziemną, w odległości nie przekraczającej kilku kilometrów — oświadczył Zert. — Poza tę strefę bezpieczeństwa wyślemy szperacze mające niszczyć wszelkie źródła ruchu. A za tymi współśrodkowymi obwodami będą nieznane tereny, które pozostawimy ich własnej entropii.

— Czyli wojna... — stwierdził Jorick w ciszy. — Nie próbujemy zrozumieć tego, co się dzieje, ale niszczymy to, co wydaje nam się niepożądane na naszym terytorium, żeby spokojnie prowadzić dalej doświadczenia w szybie.

— Nie chodzi o wojnę, ale o bezpieczeństwo — uciął Tumin.

Zert wtrącił z rozbawieniem:

— Pozwól Deklamatorowi na to czysto formalne oburzenie. Każda wspólna decyzja automatycznie wyzwała w nim sprzeciw. Zapamiętałem zresztą jego jedyną sugestię. Będzie mógł uprawiać „turystykę” w strefie zewnętrznej, jak tylko jego praca nad makietą posunie się wystarczająco daleko. To jedyna rzecz, jaką możemy uczynić, by zaspokoić jego nienasyconą ciekawość.

Narada dobiegła końca i Pierwszy dał o tym znać zmęczonym gestem. Jego siły gwałtownie malały...

Jorick zatrzymał Phalię w korytarzu prowadzącym na powierzchnię.

— Możemy chwilę porozmawiać?

Przyjrzała mu się trochę podejrzliwie.

— Co, jesteś urażony? Szukasz życzliwego ucha?

Jorick zareagował z tym większą gwałtownością, że zabrzmiało to tak, jakby mu raz jeszcze zarzucano jego — wedle określenia Tumina — zajadły indywidualizm.

— Uważam, że postępujecie lekkomyślnie, traktując ten świat jako jałowy. Mózg Marzyciela otrzymał przecież barduański ssak. Ich połączenie dąży właśnie do stworzenia oryginalnego dzieła, które gdzieś nam się wymyka. Naszą odpowiedzią jest wysłanie szperaczy i prace fortyfikacyjne wykonywane przez starych Przyuczonych. Sądzisz, że to normalne?

— Ten świat został spisany na straty, rozumiesz? — powiedziała sucho Phalia. — W galaktyce jest wystarczająco dużo ekosystemów tego typu, żebyśmy mogli tak właśnie postępować.

— Wysłanie serii pocisków na zjawisko, którego jedynym przewinieniem jest to, że istnieje, wydaje mi się potwornością. Nic na to nie poradzę. Ale dlaczego nie zgładzimy Marzyciela? Zabił Bargnama...

Rumieniec Dekoderki był coraz wyraźniejszy i Jorick nie mógł się powstrzymać, żeby nie staksować jego efektów na obnażonych ramionach kobiety.

— Bargnam był chory. A Marzyciel jest jeden... Żeby wyrwać go z jego kontinuum, zużyto kolosalną ilość energii, nie mówiąc już o realizacjach w szybie. Nie możemy zniweczyć całej tej pracy przez... przez skrupuły...

Jorick zacisnął szczęki.

— Zależy ci na tym twoim wielkim, niemym dziecku, które pluska się w basenie, prawda? A może napijemy się czegoś u mnie? Jestem ci winien zaproszenie i w kloszu będzie nam wygodniej niż na korytarzu.

Zacisnęła usta. Zdążyli już dojść do oszklonych okien wychodzących na nabrzeża. Widzieli, jak jakiś stary Ailota rozładowuje barkę lekko poruszaną falą przybojową. Jego metalo-

we ramiona podnosiły ciężary i składały je na molo z absurdalną pedanterią.

— Tym razem nie odpowiadasz — stwierdził oschle.

— Ta metoda jest nieco trywialna — rzekła. — Czego ty szukasz? Odrobiny wiary w samego siebie? Zapomnienia o porażce? Gdyby przypadkiem twoje ciało mnie nęciło, dałabym ci to w taki czy inny sposób do zrozumienia.

Deklamator niemal boleśnie wpatrywał się w puste nabrzeża, gdzie poruszał się jedyny dyżurujący Przyuczony.

— To prawda, ośmieszyłem się. Jakże mogłem w chwili zapomnienia uczynić ci równie nieuczciwą propozycję!

— Zachowaj swoje dialogi na seanse symulacyjne — rzuciła na odchodnym.

Słuchał dźwięku jej kroków cichnącego w korytarzu. Sprowokowanie Dekoderki w dziedzinie, w której czuł, że jest przewrażliwiona, przyniosło mu ulgę. Wbrew pozorom potyczkę uznał za niemal wygraną. Cała reszta była mniej chlubna. Bo i za kogóż się ostatecznie miał? Mimo że przyjmował wyzywające postawy, w przybliżeniu robił to samo co Tumin albo ten doker Ailota!

Skierował się do swojego klosza bez zbyteń pośpiechu, ale z niejasną nadzieją, że zastanie tam Manikę i jej przyuczonego wykonawcę żywych obrazów...

## REALIZACJA

Kiedy Jorick wszedł do sterowni w szybie na poziomie E 37 odpowiadającym jego makiecie, natychmiast spostrzegł, że panuje tam przygniatający nastrój. Wynikał on z kilku ledwo dostrzegalnych szczegółów: wyraz twarzy Zgodnych, obojętność szefa Przyuczonych i wzburzenie czujników kontrolnych.

Nie było ani jednego Twórcy; Jorick spojrział na matowy ekran, który wystawał nad pomieszczeniem. Nie zadając sobie

nawet trudu sprawdzenia tego, wiedział, że jest obserwowany. Strategia Pierwszego niewiele się zmieniała między jednym wydarzeniem a drugim: ironia, fałszywa bez troska, nadzór i wreszcie zastraszenie.

Podlegał oczywiście cichej kontroli i ekipa techniczna nie dała się zwieść. Pierwszy najpierw Bargnama przyparł do muru, teraz zaś interesował się realizacją Deklamatora. Jorick jak automat postąpił kilka kroków między konsolami udając, że sprawdza obciążenie syntetyzatorów. W głowie czuł pustkę.

Odwrócił się wreszcie do ekranu i oświadczył:

— Cieszę się, że widzę wszystkich na swoich stanowiskach. Będziemy mogli bez zwłoki uruchomić maszyny.

W tejże chwili Varlo skrzywił się w dwuznacznym uśmiechu. Zgodni wyczuli to drobne wyzwanie, co do tego nie było wątpliwości.

— Zadymka jest skończona — powiedział Fretz, jakby chciał wesprzeć uśmieszek Varla. — Rozgrzaliśmy też wierzchnią warstwę skóry pozorantów, żeby uniknąć oszronienia.

Jorick z zadowoleniem skinął głową.

— Świetnie, to ładny kawał roboty...

Usiadł przed ekranem realizacyjnym. Makieta rozrosła się od poprzedniego dnia. Wyglądało na to, że Marzycielowi odpowiadał pierwszy schemat, gdyż włączył go do najnowszych snów. Niedaleko od stacji dorzucił nowe budynki, przez co powstała prawdziwa fabryka, która zdawała się zarysowywać w strefie poprzednio zanurzonej we mgle. Technicy skrupulatnie przestrzegali jego instrukcji. Pochodzące z basenu hologramy zmaterializowano w szybie, nawet w formie sugestii. Podczas gdy Bargnam zatrzymywał tylko struktury spójne, budynki wyraźne i całe, Jorick w swojej wizji zostawiał także zarysy. Toteż w głębi szybu można było się domyślić szeregu spadzistych dachów, dosłownie unoszących się w przestrzeni bez widocznego punktu podparcia. Tworzyło to widmowe miasto na granicy pola postrzegania, zagubione gdzieś w ot-

chłani.

Liczba pozorantów w mundurach znacznie wzrosła. Wszystko rozwijało się tak, jakby reprezentacja Marzyciela nabierała rozmachu, zyskując na precyzji. Osadzona w tych ponurych ramach, nawet do nich pasowała. Dwaj oficerowie dowodzili niewielkim oddziałkiem, rozstawionym wokół przysypanych śniegiem zwrotnic.

Scena była jeszcze nieruchoma i niema, Jorick zaś z pewną obawą pomyślał, że jest wszechmocnym mechanikiem, co zaraz ożywi to dziwaczne muzeum figur. Odwrócił się do Varla.

— Ekipa, która wysyła konwój w stronę stacji, jest gotowa?

Varlo wcisnął klawisz i ekran przekazał mu widok z głębi szybu. Technicy w kombinezonach ochronnych pływali wokół wielkiej maszyny z metalu, wyrzucającej kłęby pary.

— Karman? — powiedział do mikrofonu.

Głowa Zgodnego pojawiła się w zbliżeniu.

— Tak, tak, wiem, co mi powiesz, Varlo — mruknął, podnosząc wizjer hełmu. Oddech skraplał się w rozrzedzonym powietrzu, a on sam wydawał się wyczerpany wysiłkiem w warunkach nieważkości.

— Ta przekłeta maszyna jest gotowa — wyjaśnił — ale ponieważ jest niekompletna, wszędzie po trochu porozmieszczałyśmy haki magnetyczne. Albo przejedzie po torach, albo na pierwszym zakręcie rozleci się na kawałki, niczego nie mogę gwarantować. Przyślij nam zmianę do przetaczania, my już na dzisiaj mamy dosyć...

Jorick wtrącił od swojej konsoli:

— Karman, ten pojazd musi dojechać do stacji. Od tego zależy cały dalszy program. Osobiście odpowiadasz za manewr.

Zgodny wydał wargi i Jorick sądził przez chwilę, że trochę za duża poufałość, jaka przyjęła się na płycie, weźmie górę i objawi się stekiem trafnych obelg. Ale Karman miał doświad-

czenie i doskonale wiedział, co oznacza odpowiedzialność nawet za zagrożony program... Podporządkował się, gderając:

— Zgoda, ale weź pod uwagę, że już dawno minął nasz czas pracy. Warunki tutaj są o wiele gorsze niż w sterowni.

— Wiem — odparł Jorick. — Będę o tym pamiętał przy następnych ekipach. Po zakończeniu operacji dostaniecie dodatkowe zezwolenia na wyjście...

Zgodny uśmiechnął się z zadowoleniem i spuścił wizjer. Jorick zastanawiał się, czy słusznie postąpił. Zert bardzo skrupulatnie przestrzegał górnej granicy czasu pracy właśnie dlatego, że sam nie wiedział już, czym jest wysiłek i towarzyszące mu zmęczenie. Przedłużenie skłonny był zawsze składać na karb niedbalstwa organizatora, a nie na możliwą opieszałość wykonawców. Dla Pierwszego odpowiedzialność prowadziła na wyższy szczebel. To uzasadniało przywileje Twórców.

— Dialog! — zawołał, rozsiadając się w fotelu.

Scena natychmiast się ożywiła. Gęste tumany śniegu zatańczyły wokół sylwetek pozorantów. Żołnierze ożywiali się indywidualnie, przytupując, podnosząc kołnierz bluzy, wstrząsając ramieniem, by poprawić pas karabinu. Niezwykle czułe mikrofony przekazywały każdy odgłos oczekującego oddziału, a dźwięki te mieszały się z nieustannym wyciem zamieci. Nie było ono realne, lecz stanowiło niemal muzyczną kompozycję kilku elementów tworzących atmosferę.

Jeden z oficerów podszedł na sam koniec peronu i suchym głosem rzucił jakiś rozkaz. Kilku mężczyzn pobiegło do pobliskiej wagonowni i zaczęło otwierać główną bramę, która ze zgrzytem przesunęła się po prowadnicy.

„...Słysząc pociąg — powiedział inny oficer. — Minął już wąż... Sierżancie, zbierzcie ludzi i nie gaście przypadkiem silników ciężarówek...

— Tak jest, panie poruczniku — powiedział mężczyzna stojący nieco w tyle. — Czy mam też uprzedzić posterunek kontrolny?

— Nie trzeba, nie chcę mieć na karku miejscowej inspek-

cji. Dowiedzą się wystarczająco wcześnie...

Mężczyzna zniknął w zamieci. Śnieg zaczynał się zbierać na peronie w zbitych zwałach, przysypując zbyt wyraźne kontury betonowej podstawy. Na jednej z bocznych dróg z trudem ruszał jakiś pojazd, jego łańcuchy ciężko zadzwoniły, zanim nabrał szybkości. Migoczące przy wstrząsach światła jakby chciały przebić się aż do dna szybu zamykającego w sobie ten mały świat. Ale wyraźniejszy hałas pokrywał powoli dźwięki oczekiwania. Zbliżał się konwój, jadąc po łuku, który teoretycznie miał biec wzdłuż podnóża góry.

Jorick ze ściśniętym sercem nachylił się do ekranu. Przyjazd tego pociągu stawał się niepokojący z dwóch powodów: ze względu na scenariusz z nieco przytłaczającym oczekiwaniem tych zziębniętych ludzi i na samą realizację. Czy Karman na pewno postąpił wedle wskazówek, nie igrając z normami bezpieczeństwa w tym zamkniętym środowisku? Olbrzymia masa metalu mogła okazać się bardzo groźna w szybie nieważkości. Jej energia kinetyczna wystarczała, żeby nie tylko wyrzucić w przestrzeń dekorację. Przebywali tam technicy i nic ich nie chroniło przed jakąś reakcją łańcuchową.

— Prędkość 60 — oznajmił Varlo spokojnym głosem. — Wszystko odbywa się normalnie. Szyna prowadząca zapewnia napęd elektryczny...

Z odcieniem podziwu dla pracy kolegi dodał:

— Na razie para jest tylko elementem dekoracyjnym. System samounicestwienia sprawdzony. Nastawiony na przyjazd...

Latarnia maszyny słabo przebijała się przez ciemności. Stację końcową poprzedzał długi, prosty odcinek. Minęło kilka minut, kiedy to konwój zbliżał się powoli, zgodnie z obliczeniami. Jego reflektor błyszczał coraz jaśniej i kilku pozorantów opuściło bocznice, jakby rosnące światło ich przyciągało. Jorick zauważył ten szczegół i w pierwszej chwili uznał go po prostu za ciekawy. Wiedział dobrze, że każda reprezentacja musi zachować cząstkę niewiadomej — to, co teoretycy szybu



nazywali „szansą przypadku”. Wcześniej zaprogramowani pozoranci zdolni byli do pewnych ruchów autonomicznych, wchodzących w ogólny zakres ich uczestnictwa, w żadnym jednak wypadku do inicjatyw całkowicie wymykających się realizatorowi.

— To zwykły tropizm — mruknął jakby na pocieszenie.

Pociąg chyba nieco za szybko wjeżdżał na stację.

— Trochę za duża prędkość — potwierdził Varlo, który zauważył tę samą anomalię. — Już poprawiamy...

— Pospieszcie się! — rzucił Jorick, trochę niespokojny.

Pociąg zwolnił w snopach iskier. Lokomotywa parowa, taka, jaką ją zrekonstruowano, przypominała bezsensowny stos żelastwa, wyposażony w dwa olbrzymie tłoki i wysoki komin bluzgający kłębamii czarnego dymu. Maszynista-pozorant przycupnął na zaczątku kabiny i zdawał się cudem utrzymywać równowagę na skrzyżowanych belkach z metalu. Ogień z kotła otaczał go nierzeczywistym blaskiem. Było to właśnie odtworzenie hologramów Marzyciela — maszyna i człowiek przekonany, że nią kieruje, tworzyli chwilową symbiozę, w której człowiekowi z krwi i kości w każdej chwili groziłaby zguba. Tego mechanika uważano raczej za ofiarę przeznaczoną dla paleniska niż za maszynistę.

— Poprawka wykonana — powiedział Varlo — ale prędkość dalej jest za duża.

Jorick ze zniecierpliwieniem machnął ręką. Wpatrzony w ekran, bezsilnie obserwował ostatnie obroty kół konwoju. Przewidziany przez Karmana manewr był złożony. Zakładał oderwanie się wagonów i ich samoczynne znieruchomienie na peronie, podczas gdy uwolniona lokomotywa miała jechać dalej swoją drogą. Potoczyło się to niemal zgodnie z założeniami, tylko odczepiona lokomotywa wykonała skok do przodu jak smagnięta nadmiarem mocy. Według scenariusza, powinna była powoli dojechać do wagonowni jej przeznaczonej. Działo się jednak coś zupełnie przeciwnego. Maszyna nabierała prędkości pośród osłupiałych pozorantów. Dziko dysząc, ponosiła

wzdłuż torów rozrządowych i przemierzała je w obłąkanym biegu. Zawadziła bokiem o tył ciężarówki — grad strzępów metalu wyleciał w zwolnionym tempie poza pole magnetyczne zapewniające wrażenie siły ciężkości. Jorick powstrzymał Varla, który gotował się do uruchomienia mechanizmu autodestrukcji. Miał wrażenie, że nie ogląda porażki, lecz jakiś bezpośrednio przedstawiany sen. Wszystko odbywało się w tak sposób, jakby ktoś niewidoczny kierował przedmiotami.

— Ale... — zaczął zaskoczony Varlo.

Zagłuszył go łoskot wiernie przekazany z szybu przez mikrofony. Pojazd dotarł do zderzaków i rąbnął w nie w pełnym pędzie. Magnetyczne haki zamocowane przez Karmana złagodziły uderzenie, ale mimo to maszyna się rozleciała. Naraz wypadła z torów i uniosła się w powietrze, gubiąc koła. Uwolniona od wszelkich ograniczeń, dziwnie się zachowywała w środowisku nieważkim. Jej pozbawione kół tłoki kilkakrotnie uderzały o ziemię niczym monstrualna para szczudeł. Chyba podtrzymywana przez te zaimprovizowane łapy, skoczyła, minęła wagonownię i zniknęła wśród dekoracji w górze, dziurawiąc po drodze kilka dachów.

— Pożar w strefie zachodniej — ostrzegł Varlo, z powątpiewaniem spoglądając na Deklamatora.

— Tak, ogień — powiedział Jorick szyderczo. — Ten temat inspiruje Marzyciela. Zawsze gdzieś się pojawi. Jak myślisz, może się palić w granicach bezpieczeństwa?

— Chyba tak — odparł Varlo po chwili wahania.

Inni Zgodni wydawali się nie dostrzegać tego, co rzeczywiście działo się w szybie. Była to dla nich symulacja jak każda inna i Jorick stwierdził, że tak jest lepiej.

— Puszczamy ciąg dalszy — polecił spokojnie.

W atmosferze katastrofy otwarcie stojących wagonów nabierało zupełnie innego znaczenia. Należało włączyć ideę pożaru do tego odchylenia od scenariusza.

— Przekaż mi kontrolę nad pozorantami. Dalej będę improwował.

— Jak sobie życzysz — z rezygnacją powiedział Varlo.

Żołnierze otworzyli drzwi wagonów. Krzyżowały się rozkazy. Pozoranci opuszczali pociąg i zeskakiwali na śnieg. Nie nosili mundurów, lecz lekkie ubrania w ciemnych kolorach. Wkrótce na skraju peronu stało ich około stu.

Jeden z oficerów oddziału dał znak ciężarówkom, które czekały z zapalonymi światłami. Dokładnie w tej chwili pożar w strefie zachodniej gwałtownie się rozszerzył, niewątpliwie ze względu na siłę ciągu powietrza. Górna część głównej wagonowni stanęła w ogniu. Jorick wzbudził między żołnierzami panikę. W pośpiechu ewakuowano kilka pojazdów zaparkowanych w płonącym budynku. Bezwzględnie stłoczono w jednym miejscu pozorantów wyciągniętych przed chwilą z wagonów. Wyraźnie należeli oni do innej klasy, wrogiej pierwszej. Nie mieli broni i pozwalali się popychać swoim strażnikom. Logicznie rzecz biorąc, pożar ten powinien był ich ucieszyć, a nawet podsunąć im myśl o buncie.

Bunt ten Jorick wywołał na peronie, gdzie znajdowało się jeszcze najwyżej dziesięciu spanikowanych żołnierzy. Padło parę strzałów, po czym fala ludzi rzuciła się do ciężarówek. Kilku pojedynczych żołnierzy zorientowało się w powadze sytuacji. Wycofali się w stronę płonącej wagonowni, ostrzeliwując tłum ogniem z broni automatycznej.

Broń palna, bluzgając zupełnie realnymi salwami, uszkodziła wielu pozorantów. Kiedy byli tylko postrzeleni, broczyli czerwoną ciecżą, a rana przypominała krwawiące ciało. Inaczej się działo, gdy strzał dosięgał ośrodków ruchowych albo receptora indywidualnego. Maszyny wymykały się wtedy spod kontroli i zwijały się na miejscu niczym pozbawione skrzydeł muchy, dopóki nie rozleciały się doszczętnie.

Panowało wrażenie zupełnego chaosu, chociaż wynik tej nierównej walki między dobrze wyszkolonym oddziałem a ślepym tłumem wydawał się przesądzony. Jorick starał się utrudnić zwycięstwo silniejszego manipulując ogniem, który pożerał dekoracje.

Na konsoli zamigotało światełko. Varlo odpiął swój hełm i bez słowa podał go Jorickowi. Deklamator usłyszał głos Zerta i na jego ustach pojawił się nieokreślony uśmiech.

— Natychmiast zatrzymać reprezentację... Ugasić pożar... Przez noc zostaną oszacowane szkody...

Jorick puścił dźwignie, a koszmar w szybie przez kilka następnych sekund toczył się dalej bez jego udziału. Pozoranci wydawali się biegać po śniegu, by uratować swą syntetyczną skórę.

Jorick poszedł prosto do swojego klosza. Umysł miał świeży, wyprany z wszelkiej emocji i niepokoju. Zert wezwał go do siebie, lecz spotkanie zostało przełożone. Teoretycznie pozostawiało mu to do zabicia kilka godzin niepewności. Klasyyczny chwyt. Przez ten czas powinien martwić się, przygotowując samokrytykę.

Nie był jednak w nastroju, by wspominać swoje czyny, nawet jeżeli na pierwszy rzut oka wydawały się szalone. Dokładnie przestudiował hologramy Phalii. Rzeczą, która najbardziej go uderzyła w obrazach stworzonych przez Marzyciela, była niesamowita złożoność budowli, maszyn, sytuacji; rozmieszczone dekoracje ujawniały ciężką, barokową wyobraźnię, upodobanie do zbytckownej inscenizacji. Wszystko odbywało się tak, jakby Marzyciel chciał najpierw zbudować niedostępne, zamarte miasto, a potem dopiero wywołać ruch. Ruch ten pojawiał się w drugiej kolejności i nieuchronnie doprowadzał do zniszczenia całego wcześniej wzniesionego zespołu. Bestialstwo spustoszeń było na miarę wysiłku przy budowie i działało niczym oczyszczenie.

Prostota, o ile nie ubóstwo procesu, uderzała Joricka. Jak w takim razie wytłumaczyć fascynację ich wszystkich w obliczu nieuniknionego ruchu wahadłowego? Przewaga Marzyciela leżała bez wątplenia w tym, że mógł „wyśnić” ten ruch i czerpać z niego niepojętą moc odradzania się, podczas gdy umysły Runijczyków nieustannie dążyły do namacalnego udoskonalenia swojej techniki i struktur społecznych. Całkowite

pogwałcenie rzeczywistości w kolejnych charakterystycznych sytuacjach, w niczym nie zależących od woli, musiało być zbawienne...

Pochylił się nad wielowymiarowym mobilem, jaki od początku pobytu na Barduanie starał się wykończyć. Nie do niego należało myślenie. Cywilizacja Runy była również wojownicza, a raczej kolonizacyjna. Nie uciekając się do zniszczeń jak te, które wymyślał Marzyciel, rozciągała swoje wpływy na kilka systemów dzięki bardziej podstępным metodom. Równowaga była nietrwała, taka jak tego mobilu wzorowanego na hologramach Marzyciela.

Makieta syntetyzowana w jego kloszu, z dala od technicznych ograniczeń szybu nieważkości, obracała się na ostrzu o czubku tak cienkim, jak teoretyczna szerokość atomu, toteż wydawała się poruszać cudem zawieszona w przestrzeni na wzór modeli naturalnej wielkości.

Było to prywatne poszukiwanie Joricka, nie musiał z niego zdawać sprawy przełożonym. Jednakże zabawka coraz bardziej przypominała Jednooki Pałac nieszczęsnego Bargnama, tylko mniej dziwaczny. Odnajdywało się w niej takie same mięsiste krągłości, takie same niezdecydowane barwy. Niezaprzeczalnie wyobrażała budowlę typu militarnego, ale pełną tajemniczej zmysłowości. Marzyciel musiał łączyć gdzieś mordercze struktury z pojęciem rozkoszy. Nie mógł w inny sposób wytłumaczyć utrzymywania się tego tematu.

Jorick wziął mikroskopijną pipetkę i zanurzył ją w różowym roztworze. Spuścił małą kroplę do tygielka, a on natychmiast z rosnącą prędkością zaczął się obracać wokół własnej osi. Za kilka sekund kolor delikatnie tryśnie na makietę i...

Ależ to tylko zabawa, niewinna rozrywka między dwoma seansami realizacyjnymi w szybie nieważkości. Nie powinien poddawać się powszechnej fascynacji... Odprężenie, wyłącznie odprężenie...

Przez chwilę obserwował łagodne kołysanie się mobilu, który w ciągu następnych paru godzin będzie szukał nowej

równowagi. Jorick lubił swój klosz. Niewielki, okrągły pokój za-wierał półprzeźroczysty hamak zawieszony w połowie wysokości, zgodnie z nieco surowym stylem wyposażenia wojskowego. O ile na poziomie podłogi umeblowanie ograniczało się do niskiego stolika, gdzie poniewierały się wszystkie narzędzia i materiały niezbędne w pracy nad mobilem, o tyle górna część, dostępna z hamaka, zawierała wieżę audiowizualną bezpośrednio połączoną z bankiem kulturalnym Centrum. Jako Twórca miał dostęp do standardów III IV, podczas gdy Zgodni mogli się podłączać tylko do informacji typu rekreacyjnego. Groziło mu, że wkrótce utraci wszystkie te przywileje. Wystarczyłoby jedno słowo Zerta...

Przebrał się i wyjątkowo starannie zrobił toaletę. Pochyłe lustro jednostki medycznej odbijały widok mężczyzny jednocześnie niespokojnego i podnieconego. Serce biło mu nierówno, a mnóstwo drobnych objawów, które na pewno nie ujdą bystremu wzrokowi Pierwszego, zdradzało jego nerwowe poruszenie.

Manika nie pokazała się więcej. Łóżko przeznaczone do miłosnych igraszek zostało starannie wyrównane, jakby chciało zatrzeć kompromitujące ślady. Szczegół ten, zamiast rozbawiać, irytował go w szczególny sposób. Od pewnego czasu niezbyt mu się wiodło w życiu osobistym. Dochodziło nawet do tego, że niemal pragnął jakiejś konkretnej katastrofy, aby rozprędziła te nagromadzone przykrości. Manika unikała go, bawiąc się z nim zarazem. Pozostawała Phalia mimo jej odstrasających min... Miłosne przygody trafiały mu się coraz rzadziej, on jednak uparcie szukał w nich niezbadanych nowości.

Zert nie miał już tego rodzaju kłopotów. Pierwszy należał do Standardu V, standardu najwyższego, który przyspieszał życie, niekoniecznie przy tym zwiększając jego ciężar. To, że kojarzył trzy razy szybciej informacje, dawało mu prawo do osądzania jakiegoś tam trochę nieostrożnego Deklamatora.

## GRABIEŻ

Jeźdźcy dotarli do portu o wschodzie słońca. Wierzchowce wydmuchiwały strumienie pary w rześkie powietrze wczesnego poranka. Znieśli tysiączne trudy podczas etapów górskich, a chłód unieruchomił ponad jedną trzecią maszyn. Nocą woda zamarzała w zewnętrznych rurach, nie chronionych, gdy ogień w głównym palenisku nie był wystarczająco podtrzymywany, i żelazne rumaki stawały się wtedy bezużyteczne, skazując tym samym ich obsługę, winną temu karygodnemu zaniedbaniu, na kontynuowanie dalszej drogi pieszo, bez większej nadziei na przeżycie.

Okrhud widział śmierć swego pana jednej z tych mroźnych nocy, kiedy zdawało się, że wiejący od gór wiatr chce zamienić w kamień wszelkie życie na swej drodze. Kierował teraz olbrzymią, drżącą pod nim lokomotywą i to dawało mu, mimo młodego wieku, możliwość wzięcia neofitów do pomocy.

Po tych wszystkich przeżyciach oglądany brzeg z wielu względów wydawał im się cudowny. Przeczuwali istnienie licznych domów, dróg, a nawet innych środków komunikacji. Pola leżały starannie wyrównane pod zimowym słońcem; wszędzie dokoła rosły drzewa mogące ponownie załadować kotły. Praca osiadła i cały orszak jej tajemnic zgromadziły w tym miejscu bogactw pod dostatkiem.

Jednakże Okrhud miał się na baczności. Na wzniesieniach spostrzeżono inne kolumny Jeźdźców. Materiału nie wystarczy dla tych wszystkich wygłodzonych nomadów. Przez całe tygodnie pili wyciekającą ze zbiorników wodę żywiąc nadzieję, że natrafią na jakąś tętniącą życiem wioskę. Wiedli tułaczą, nękaną niedostatkiem egzystencję. Przedmiotem nieustannych starań były tylko maszyny, które pozwalały szczepowi przetrwać. Z biegiem czasu Okrhud nauczył się karmić ogień

pod kotłem swego pojazdu. Operacja była złożona, wymagała prawdziwych akrobacji nad rozgrzаныmi zbiornikami. Musiał zsunąć się do wąskiej gondoli zawieszanej przy otworze paleńska, aby wrzucić do ognia wszystkie materiały palne zebrane w trakcie etapu — począwszy od kopki siana czy gałęzi pełnych jeszcze soków, aż po kawałki wiązań wyrwanych z budynków osiedleńców.

Takie było prawo. Aby utrzymać temperaturę lokomotywy, należało spalić wszystko, co się dało. Okrhud uznał, że został wyrwany ze snu, ażeby stać się nienasyconym centaurem, co bez wytchnienia przemierza pustynne wzgórza w poszukiwaniu pożywienia. Niekiedy, ale rzadko, przypominał sobie, że ma władzę w nogach, by jako zdobywca przebiec uliczki jakiegoś fragmentarycznego osiedla. Szukał wtedy miejsc prawdziwych, zupełnie ukształtowanych, znajdował jednak tylko pozory: domy bez wnętrza ograniczające się do fasad, dachy zawieszane nad pustymi hangarami, upiorne istoty złożone z fałdów ciała albo odzieży... I wszystko musiało być zniszczone, bo Niekompletni — jak ich nazywali Jeźdźcy — nie mieli prawa żyć.

— Naprzód!

Okrzyk trysnął spontanicznie z kilku piersi. Pomocnicy puścili natychmiast liny i chwytaki naciągnięte na czas postojów. Lokomotywy ruszyły na zbrocze, depcząc ziemię zginającymi się w stawach łapami. Chodziło teraz o to, by posuwać się naprzód, wybrać najlepszą trasę, przeskoczyć przeszkody albo zmieść je, nie pozbawiając przy tym ciężkich maszyn równowagi.

Okrhud walczył z innymi o czas. Jego pomocnicy nauczyli się zwiększać ciśnienie do maksimum. Jako jeden z pierwszych dotarł do uliczek portu. Po drodze zburzył ogrodzenie zbudowane ze skrzyżowanych żelaznych prętów. Metalowe łapy zamachały w powietrzu, po czym opadły w pył. Runęła ściana domu, jakby pociągnięta własnym ciężarem.

Kilka postaci podobnych do ludzkich miotało się w kurzu.



Strzelcy usadowieni na zewnętrznych pomostach łapali je za pomocą chwytaków albo po prostu powalali, strzelając z proc bądź z pneumatycznych miotaczy. Niekompletni byli delikatni — normalnie wyrzucony pocisk ranił ich lub zabijał. Czasami, ale rzadko, spod łap wierzchowców tryskało nieco krwi.

— Do morza! — ryknął Okrhud, przesuwając ciężką korbę kierownicy.

Rumak poddał się zręcznie i minął kilka hangarów pozabawionych ścian. Po drodze zmiażdżył okna z metalowymi krzyżownicami, ale bez szyb. Nieruchome postacie leżały wprost na ziemi i Jeździec nie zadał sobie nawet trudu, by je zgnieść. Osiedle zasługiwało na to, żeby w całości spłonąć — teraz był już tego pewien.

Pozostałe wierzchowce przemierzały port, burząc wszystko na swej drodze. Życie przejawiało się bardzo słabo. Niekompletni bez oporu pozwalali się zabijać, jakby ta nagła śmierć, która spadała na nich ze szczytów wzgórz, przynosiła im ukojenie.

— Tam, na molo...

Pomocnik zauważył w strefie portu wyraźniejszy ruch. Kilka postaci szybko biegło po betonowych blokach. Próbowali uciec wzdłuż falochronów.

— Zajdziemy ich od tyłu! — zawołał Okrhud i poczuł, jak wzbiera w nim podniecenie.

Woda w porcie nie była głęboka, ale Jeździec natychmiast spostrzegł jej dziwną czerwoną barwę. Jasne łódki kołysały się na tym krwawym bajorze z kadłubami powalanymi aż po samą linię zanurzenia.

Olbrzymie, lśniące masy leżały porzucone na łagodnie opadającym brzegu, który dochodził do pierwszych domów.

— Spójrz, to rybacy! — powiedział pomocnik. — Zabili wieloryby.

Na plaży rzeczywiście leżały, rzędem częściowo poćwiartowane ciała ssaków. Krew ciekła strugami z otwartych ran i równomiernie barwiła powierzchnię morza.

Rumak Okrhuda wszedł do wody. Jego silne łapy w bryzgach czerwonej piany miesiły słabo mu znane środowisko.

Przyparli uciekinierów do muru. Próbowali teraz opuścić brzeg, ale gmatwanina stłoczonych bloków hamowała ich ucieczkę. Oni nie byli Niekompletnymi. Doskonale ukształtowani, poruszali się po nierównym terenie z jakimś rozpaczliwym szaleństwem.

Okrhud rzucił się w powietrze na końcu chwytaka i jego wyciągnięte ramiona napotkały ciepłe ciało, drżące ze strachu czy też gniewu. Walka nie trwała długo — Jeździec był znakomicie zaprawiony w tego rodzaju zmaganiach. Przygniótł ofiarę własnym ciężarem. Wyrostek o dzikiej twarzy próbował go ugryźć mimo niedogodnej pozycji. Dwa silne uderzenia w twarz okiełznały jego opór.

— Odtąd będziesz mi służył na maszynie. Jak ci na imię?

— Akab... Akab... — powiedział chłopak, ocierając strużkę krwi, która ciekła mu ze spuchniętych warg.

Ból zdawał się budzić w nim odruch strachu.

— Jesteś mordercą wielorybów... A inni?

Wyrostek nie odpowiedział i Okrhud niepostrzeżenie rozluźnił uchwyt. Przypomniawszy sobie obrazy z przeszłości, zagrzebane w pamięci: lipa na pustym placu, suknie matki, która na pewno należała do Niekompletnych, niezrozumiałe wyprawy jego sióstr. Przyjmował, że Jeźdźcy przybywają znikąd. Ich szeregi powiększały się w upiornych osiedlach, gdzie błaskali się przyszli neofici, podczas gdy reszta populacji drzemała w pozornym życiu. Wojownicy zabierali swoją część, a reszta musiała zniknąć, niczym sen spłoszony płomieniami rozsiewanymi przez pochodnie wyjęte z paleniska. Okrhud uśmiechnął się...

— Uczep się tego, nie jesteś sam — powiedział, wskazując na linę chwytaka przeciągniętą do kabiny maszynisty.

Na zewnętrznych pomostach lokomotywy pomocnicy wykrzykiwali sprośne żarty. Neofita Akab zaczynał terminowanie...

Siedziba Zerta, bezsprzecznego szefa bazy na Barduanie, rozciągała się niczym narośl na czubku głównej kopuły. Przezroczystry klosz górował symbolicznie nad nieskończoną głębią szybu nieważkości, nad kamienną płytą nadmorską i wszystkimi nabrzeżami w strefie Marzyciela.

Mimo niedogodnego położenia, Jorick ocenił ją okiem znawcy. Nie ma porównania z jego kloszem! Nie wiedział, jakie korzyści ma Pierwszy z tej uprzywilejowanej lokalizacji, ale zazdrościł mu rozległej jasnej przestrzeni, podczas gdy reszta budowli zanurzała się we wnętrzu planety. Przyjął go Błysk, Przyuczony partner Pierwszego:

— Usiądź, Deklamatorze. Pierwszy zaraz przyjdzie...

Błysk był młodym, bezczelnym Ailotą. Tylko przedramiona miał silnie zmechanizowane, reszta stanowiła harmonijne połączenie mięśni i ciała. Nie było porównania z pożałowania godnym zeszytnieniem Sfinksa. Jedynie skóra na twarzy zakrzepła w charakterystyczną maskę.

Jorick skłonił się i wszedł do przestronnego salonu z szeroką panoramą na okolicę. Niespodziany deszcz, przygnany znad oceanu, bębnił w przezroczystą kopułę i zatapiał widok w nieprzerwanych strugach. Między zielonymi roślinami ułożonymi na kilku poziomach królował mobil hologramu, który zaciekawiał Deklamatora. Nie wiedział o tego rodzaju słabości Pierwszego. A więc na każdym szczeblu drabiny Twórcy bez wyjątku usiłowali zmaterializować schematy Marzyciela.

Ta materializacja, realizowana w barwach wody, nie była jeszcze kompletna. Istota makiety ginęła w półprzejrystej masie sugerującej zmaconą wodę, co wywołało dziwne wrażenie odbicia pejzażu. Jakiś statek powietrzny, a może podwodny, unosił się w głębi tej jakby lupy. Pajęczyna czy też gęsta sieć skrzyżowanych drutów stanowiła nić łączącą oko i istotę materializacji. Tajemnicza wizja, ale raczej spokojna i harmonijna w porównaniu z makietami z szybu nieważkości.

— Jak ci się podoba?

Jorick drgnął. Zert po cichu wszedł do pomieszczenia, może obserwował go już od kilku minut.

— Zdziwiałające... — powiedział szczerze Deklamator. — To jakiś nowy hologram?

— Jeden z najstarszych, ale to nie ma znaczenia...

Zert podszedł bliżej. Jednym rzutem oka Jorick dostrzegł, jak bardzo jest sterany. Prywatnie Pierwszy tracił część swego magnetyzmu. Pozostawało tylko osłabłe ciało, szara twarz i rozgorączkowane oczy. Ruchy miał kanciaste, prawie niezdarne. Osunął się na fotel.

— Powinieneś uważać, że mój mobil jest bardzo ładny, niewątpliwie lepszy od twojego — powiedział z rozbawieniem.

Jorick czuł, że ten ironiczny wstęp stanowi część strategii, nie wiedział jednak, co na to odpowiedzieć.

— Niewątpliwie! — rzekł bezmyślnie. — Ale w dziedzinie sztuki, tak samo jak i ja, znasz nieokreślony urok niezręczności.

Zert zaśmiał się sucho.

— Niezręczności, powiadasz? Nie... Raczej przewyciężonej słabości. Każdy ma swoje upodobania, nawyki, naturalne skłonności do rozczulania się nad własnym losem. Marzyciel czyni to nieświadomie, i w tym jest jego urok...

Dziwne słowa. Jorick zagryzł wargi.

— Masz rację, Zert... Nie możesz się mylić, na pewno nie...

I znowu ten śmiech bez radości.

— Oczywiście! Pierwszy jest po to, żeby grzmocić prawdę. Zapłacił, ile trzeba, żeby do tego dojść...

W tej chwili pragnął móc nienawidzić swego dawnego przyjaciela i odrzucić tę karykaturę Twórcy w nicość pogardy. Ale to nie było takie proste. „Nadżycie” Pierwszego trwało tylko półtora roku. Proces przyspieszenia czynności umysłowych przejawiał się w maksymalnej bystrości, ta zaś następnie słabła stopniowo aż do gwałtownego załamania się w przedwczesnym uwiąznięciu starczym. Jedynie osobnicy, którzy zgodzili

się na taką transakcję, byli dopuszczani do władz Runy. Inni wykonywali rozkazy tych patetycznych jasnowidzów, skazanych na imbecylizm po krótkim błysku absolutnej dominacji. Legalne samobójstwo pozwalało na ogół uniknąć końcowego upadku...

Osiemnaście miesięcy to niewiele, ale spełnienie tak uzyskane w momencie życia, kiedy i tak trzeba pogodzić się z wolnym, lecz nieuniknionym nadejściem naturalnej starości, może i warte było tego zabójczego skrócenia.

— Szukasz odpowiedzi, ale znajdujesz tylko wykręty — powiedział Zert surowo.

Poprawił się w fotelu i dodał:

— Jak sam zauważyłeś, znacznie osłabłem. Z trudnością chodzę, a moje czynności ruchowe uległy poważnemu zakłóceniu. Ale gdybym zechciał teraz stawić o czoła w jakimkolwiek ćwiczeniu fizycznym, w przeciągu kilku sekund odzyskałbym siły, żeby cię pokonać...

— Nie wątpię... — odparł Jorick bezbarwnym głosem, ciągle z pozycji obronnej.

— Na co więc czekasz? Czemu nie padniesz mi do stóp i nie adorujesz mnie niczym jakiegoś bożka? Nikt nie widzi...

Jorick z niedowierzaniem spojrział na Pierwszego, ale natychmiast zrozumiał, iż propozycja była tylko czystą kpina, żeby obudzić w nim uszpioną agresywność. Z rozpaczą, odwrócił wzrok w kierunku płyty i toczących się tam fal, jakby szukał zewnętrznych sił, by asystowały przy tym przykrym spotkaniu twarzą w twarz.

— Zrobiłeś błąd, wybierając władzę, Zert... — powiedział wreszcie stłumionym głosem. — Wolałem cię takim, jakim byłeś niegdyś...

— Oczywiście... Ale przestań porównywać siebie do mnie, a wszystko stanie się łatwiejsze. Wiem, że nie jesteś zdolny do ślepego podziwu, a i twoja duma stanowi w tym przeszkodę. Co ci właściwie przyszło do głowy w czasie ostatniej reprezentacji? Chciałeś pokazać swoje zdolności improwizatora? Cóż za

godny uwagi spektakl! Marzyciel wreszcie znalazł rozmówcę...

Jorick postanowił odwrócić pytanie.

— Dlaczego próbujesz mnie upokorzyć? To bardzo łatwe na twoim stanowisku...

— Wolę twoją złość od wyrachowania, to brzmi prawdziwiej — rzekł Zert, na wpół się unosząc. — Powiem ci, co zaszło w szybie. Twój scenariusz wyjściowy był pomysłowy, ale opracowany w pośpiechu. Wywarło na tobie wrażenie to, co zobaczyłeś w basenie Marzyciela, podobnie jak hologramy Phalii. Krótko mówiąc, porzuciłeś swoją wytworną obojętność, żeby przejść samego siebie. Choć raz Deklamator nie pisał z ironicznym grymasem w kąciku ust, ale oddał się na usługi innego umysłu...

Przerwał. Ailota wśliznął się do pomieszczenia, niosąc napoje orzeźwiające.

— To dla ciebie — powiedział Zert. — Kazałem przygotować napój, który niegdyś lubiłeś.

Jorick podniósł zaintrygowany szklankę i spróbował bursztynowej mieszanki — natychmiast ją rozpoznał.

— Manika! — wyszeptał, zachwycony nagłym tchnieniem wspomnień, jakie obudził w nim smak koktajlu.

— To rzeczywiście jej sekret. Więcej czasu poświęciłem, żeby go poznać, niż robiąc mobil, który przed chwilą podziwiałeś... To było na Runie, kiedyś...

Dwuznaczne wspomnienie ich dawnej przyjaźni zawisło na chwilę w powietrzu, po czym Zert nawiązał:

— Zdradziła cię ekipa techniczna, co zresztą było do przewidzenia przy takim braku przygotowania. Wypadek z lokomotywą natychmiast wyzwolił w tobie odruch naprawienia błędu. Próbowaleś przewidzieć reakcje Marzyciela, podstawiając siebie zamiast niego na przeciąg kilku sekwencji... Dlaczego?

Pytanie padło nagle i Jorick odstawił wolno szklankę, daremnie szukając odpowiedzi. Takimi słowami problemu jeszcze nie ujmował.

— Wydaje mi się, że oddział mający przejąć konwój nie wypełnił zadania — powiedział, zastanawiając się pospiesznie. — To, co żołnierze traktowali od dawna jako coś w rodzaju rutyny, zostało nagle zakwestionowane dziwnym zachowaniem maszyny. Przerażenie wzięło górę nad dyscypliną...

— To ty wybrałeś taki bieg wydarzeń — powiedział Zert, nie ruszając się z fotela.

— Tak, masz rację, ale analizując hologramy Marzyciela wydawało mi się, że szczególny wpływ wywiera na niego wszystko to, co narusza ustalony porządek. Ta tendencja przejawia się we wcześniejszych reprezentacjach.

Zert był obojętny.

— A jakie praktyczne zastosowanie widzisz w tych destrukcyjnych szaleństwach?

— Nie mam, jak Pierwszy, globalnej wizji naszego zadania. Reprezentacje Marzyciela wykazują wyraźne upodobanie do prymitywnych zabaw w wojnę i teatralnych wizji masakry. Wszystko to jest trudne do przeniesienia w warunki Runy, ale niewątpliwie inaczej sądzi Biuro Badania Nowych Struktur Estetycznych, bo po co w takim razie bylibyśmy tutaj?

Zert z uwagą obserwował rozmówcę, podczas gdy Ailota krzątał się koło stołu zastawionego napojami. Przyuczony zrećźnie wykorzystywał funkcję służącego, aby nadal sprawować nieustanny nadzór nad Pierwszym i pewien był, że jego zmechanizowane ramię może uprzedzić każdy ludzki atak.

— Twoje stany ducha nie mają znaczenia — powiedział Zert, odwracając się do Ailoty, by wydać mu krótki rozkaz. — Na razie nie muszę oceniać twojej pracy, nawet jeśli wydaje się katastrofalna z punktu widzenia realizacji. Interesuje mnie natomiast wstrząs wywołany makietami zbudowanymi na podstawie onirycznej działalności Marzyciela.

Jorick drgnął, ale nie z powodu słów szefa bazy. Błysk, który tymczasem zniknął dyskretnie, wszedł bocznymi drzwiami w towarzystwie Phalii. Dziewczyna była nadzwyczaj błada i konwulsyjnie tuliła do siebie kasetę przeglądowną. Od-

dała materiały Przyuczonemu i odwróciła się do Pierwszego, jakby nie dostrzegając obecnego w pomieszczeniu Joricka.

— Mam tutaj ostatnie reakcje Marzyciela. Szablony oniryczne dotyczą reprezentacji, jaka niedawno miała miejsce, i kilku poprzedzających je godzin.

— Świetnie! Interesują mnie tylko wnioski — powiedział Zert.

— Chciałabym cię jednak uprzedzić... — zaczęła Phalia.

— Obraz! — przerwał jej Zert, nie zwracając uwagi na dziwne zachowanie Dekoderki.

Jorick znał pochodzące z szybu hologramy, ale zadrżał na myśl o bezpośredniej konfrontacji. Nie uświadomił sobie jeszcze jasno, że absolutny władca bazy prowadzi niejako dialog z morską istotą, która dostarczała surowca do wszystkich reprezentacji.

Przestrzenne obrazy ożywiły się w spowitych mrokiem ramach. Przedstawiały lokomotywę rozlatującą się w powietrzu po opuszczeniu prowadnicy, z tą różnicą, że jej motorniczy, dobrze widoczny w górnej części, nie był już zwykłym pozorantem unoszonym w bliskiej zagłady maszynie, ale kimś w rodzaju triumfującego jeźdźca, co dosiadał żelaznej masy otoczonej koroną płomieni i pary. Obraz zatarł się, potem znowu uwidocznił, przy czym motyw pozostał ten sam. Tym razem lokomotywa, podtrzymywana przez zginające się w stawach łapy, miażdżyła grupę żołnierzy, ci zaś uciekali we wszystkich kierunkach, przerażeni niesamowitą maszyną zawieszoną nad ich głowami.

— To wszystko? — zapytał Zert, nie przejawiając najmniejszego wzruszenia.

— Inne obrazy są jeszcze mniej zrozumiałe, ale wyraźnie obracają się wokół tego samego tematu...

— Doprawdy? Czy to znaczy, że mam przed sobą rzeczywiście produkcję ostatnich dwunastu godzin?

— To niepojęte... — powiedziała Phalia z trudnością. — Marzyciel zapada czasem w jakiś letargiczny sen i wtedy nasze



sondy nie rejestrują obrazów. Podobnie teraz — żaden schemat nie powstaje w szybie nieważkości...

— A jak tłumaczysz to „milczenie”?

Phalia nie odpowiedziała, ale zamglone spojrzenie skrzyżowała na chwilę z Jorickiem.

— Chyba zadałem pytanie? — twardo nastawał Zert.

— Może miecznik jest chory — wyjąkała. — Jego czynności naturalne są chyba zakłócone od śmierci Bargnama.

Zert zmarszczył brwi i zamyślony opadł na fotel.

— A więc jesteśmy już na tym etapie — powiedział, jakby myśląc na głos. — Misja na Barduanie wchodzi w fazę czynną, a my nie jesteśmy gotowi...

— O jakim etapie mówisz? — spytał zaintrygowany Deklamator.

— O etapie interakcji...

Pierwszy wstał nagle i w tym momencie jego wychudzona, długa postać nie przywodziła na myśl słabości, lecz budzącą strach koncentrację. Przeszedł się po pomieszczeniu pod uważnym spojrzeniem Przyuczonego, po czym zatrzymał się przed swoją ruchomą makietą.

— Misja tego rodzaju może rozwijać się na dwa różne sposoby — wyjaśnił. — Jeżeli Marzyciel jest „martwy”, grabimy szczątkowe struktury jego przeszczepionego mózgu. W przeciwnym razie te struktury umykają nam, zarażają otoczenie i stają się ewolucyjne. To nieprzewidywany okres wzajemnego przenikania: my obserwujemy Marzyciela, a on nas. Wynik tego pojedynku zależy od naszej postawy. Na razie wybraliśmy obronę, nie interweniując otwarcie na zewnątrz. Chroni nas kordon szperaczy i Przyuczonych. Może to nie jest najlepsza metoda...

Jorick słuchał z niedowierzaniem.

— Marzyciel chce nas zniszczyć, on nas nienawidzi! Trzeba powstrzymać to szaleństwo!

Phalia żywo wtrąciła:

— Nie znamy prawdziwej tożsamości Marzyciela. Kolejne

obrazy pełne gwałtu, jakie dotąd przekazywał do szybu nieważkości, nie znaczą, że to istota niszczycielska. Moim zdaniem, mógł doznać bezpośrednio bądź pośrednio wszystkich tych gwałtów, a one nadal są wyryte w jego mózgu w formie rozproszonych lęków...

Zert przerwał jej:

— Posuńmy się jeszcze dalej. Nie należy zapominać o warunkach zdobycia tego mózgu już dotkniętego zniszczeniem. Możliwe, że reakcje Marzyciela obracają się wokół ostatnich minut jego pierwszej egzystencji, co wyjaśniałoby powtarzanie się niektórych hologramów.

— Tak właśnie uważał Bargnam — zauważył Jorick.

Pierwszy zadrżał.

— Nie jesteśmy tutaj po to, żeby pomagać Marzycielowi w odtworzeniu jego poprzedniego życia — odparł oschle — ale mamy znaleźć nowe struktury. Nie można mylić miniaturowych mobilów, jakie dla własnej przyjemności realizujemy na podstawie pewnych niekompletnych reprezentacji, i makiet z szybu nieważkości.

Zert podjął już decyzję. Teraz nie ścierpiałby najmniejszego sprzeciwu. Zwrócił się do Deklamatora z ledwie dostrzegalnym uśmiechem:

— To ty poddałeś myśl o „uprawianiu turystyki”?

— To był żart...

— Nie sądzę. Inaczej wtargniemy do obszaru Marzyciela. Jeżeli nie chce prowadzić dalej tej gry, będziemy go szukać w basenie, a nawet, na kontynencie, gdzie teraz wysyła swoje wytwory.

To był już rozkaz, co Twórcy natychmiast zrozumieli. Za kilka godzin zreorganizowana obsługa bazy zostanie postawiona na nogi. Kilka ekip konserwacyjnych zajmie się szybem, a najważniejsze będzie się odbywać gdzie indziej. Innowacja nie przerażała Pierwszego. Musiał zonglować setkami możliwych strategii. Liczyło się wyłącznie powodzenie JEGO misji. Tylko jaki rodzaj powodzenie?

## KĄPIEL

Jorick obserwował basen przez główny iluminator, który umożliwiał widok na cały kanał stanowiący miejsce odpoczynku miecznika. Ssak był na razie nieruchomy, leżał na łożu z jasnego piasku. Wyglądał, jakby po prostu spał, jednakże ekrany sond milczały. Phalia próbowała już różnych stymulacji, między innymi iniekcji na odległość wykonanej przez podmorski układ medyczny, ale nic to nie dało — zakładali oczywiście, że ssak śpi.

— W ten sposób do niczego nie dojdziemy — powiedział, odchodząc od swego punktu obserwacyjnego. — On jest zupełnie nieruchomy już od przeszło dziesięciu godzin. Zert ma rację, trzeba spróbować bezpośredniego wtargnięcia.

— Przyuczeni mogliby wejść do basenu — poddała Phalia.

Wydawała się napięta, a jej twarz przybierała chwilami wrogi, nie skierowany pod niczym adresem wyraz.

— Mam lepszy pomysł. Wyjdziemy obydwój i zamienimy się na chwilę w „turystów”. To właśnie proponuje Zert: popluskać się z Marzycielem. Ailocy będą w pobliżu, żeby pomóc nam w razie potrzeby.

— To bez sensu i niebezpieczne. Reakcje miecznika są nie do przewidzenia...

— Popelniamy błąd, traktując Marzyciela jako istotę pełną. Ostatecznie jest to tylko obca iskierka w mózgu sympatycznego ssaka z Barduanu.

— Nie wiesz, co mówisz — szepnęła. — To jest złożony transfer. Trzeba było przygotować teren i odizolować zwierzę. To nie przeszczep chirurgiczny, Marzyciel z powodzeniem mógłby rozpuścić się w przestrzeni, a my nic na to nie mogliśmy poradzić.

— Może tak właśnie się w tej chwili dzieje. Marzyciel uciekł — filozoficznie powiedział Jorick. — Wychodzisz czasem na płytę, Phalio?

— Nie, nigdy...

Odpowiedź padła sucha i nieodwołalna. Jorick często zauważał u niektórych Twórców tę instynktowną nieufność wobec przyjemności szczególnie ulubionej przez Zgodnych.

— Jak chcesz zrozumieć miecznika, skoro nie oddychasz tym samym powietrzem co on?

— Atmosfera Barduany wywołuje sztuczne upojenie, które gdyby dłużej potrwało, może pozbawić zdolności do pracy...

Jorick pokiwał głową, słysząc to mechaniczne wyznanie wiary.

— Dobrze, będę więc sam się truł...

Poszedł w kierunku wyjścia na powierzchnię. Jego decyzja nie miała w sobie nic z bohaterstwa. Było to wyzwanie, a z innego punktu widzenia — niewielkie, sprawiające radość przeżycie. Dawno już nie zakosztował tej zatrutej przyjemności.

Kiedy otwarło się wyjście, najpierw dostrzegł niesamowitą obecność oceanu, który kłębił się wokół wynurzonych kopułów. Widział teraz z góry basen Marzyciela i wydawał mu się mniejszy niż w rzeczywistości. Całość tworzyła rodzaj sztucznej wysepki, okrągłej w kształcie, usianej szarymi skałami. Falująca roślinność ciągnęła się od łagodnie opadającego brzegu i przysłaniała mury otaczające to olbrzymie podmorskie więzienie.

Uczył kilka kroków po plaży. Zdjął buty i piasek przybierał kształt jego stóp, rozkosznie go przy tym łaskocząc. Z ciekawością chodził po dziewiczej ziemi. Wszystko tutaj wybudowali Ailocci i nigdy żadnemu mieszkańcowi Runy nie wpadło do głowy, żeby zbadać te tereny inaczej niż na ekranie. Woda miała wyjątkową przejrzystość i bez trudu dojrzał ciemną sylwetkę miecznika przyczajoną w głębi basenu. Nie było pośpiechu. Rozebrał się i położył w letniej wodzie z twa-

rzą obróconą ku niebu. W przeciwieństwie do gwarnej płyty, miejsce to ofiarowywało doskonałą ciszę i spokój. Upojenie wywołane powietrzem Barduany nabierało tutaj szczególniego, bliskiego odrętwienia uroku.

Przez długą chwilę leżał nieruchomo, nie bardzo wiedząc, co robi potem. Zdziwiła go trochę obecność Ailoty u jego boku. Jakże ta istota z metalu i ciała zdołała się zbliżyć nie zwracając jego uwagi? Dziwne... Nieco dalej stała też Phalia.

— Weź hełm ochronny!

Musiła powtórzyć, żeby wreszcie zrozumiał, iż podaje mu kask niezbędny, by wytrzymał groźne fale mentalne Marzyciela.

— To niepotrzebne, Marzyciela już tutaj nie ma... — prychnął.

Czy wyszła specjalnie po to, żeby mu podać ten śmieszny czepek, który uważała za nieodzowny dla bezpieczeństwa innych, ale którego sama nie wkładała? Problem jednak nie na tym polegał. Dziewczyna również się rozebrała i nie widział nic poza jej jasnym, nieskończone pociągającym ciałem. Ailota siedział na piasku, a jego obecność budziła w Joricku wyraźne wspomnienie, była niemal warunkiem...

— Nie patrz tak na mnie — powiedziała rumieniąc się. — Nie jesteś już w normalnym stanie. Od ponad pół godziny leżysz w wodzie.

— Przecież czekałem na was — powiedział, próbując wstać.

Pierwszy zawrót głowy spłatał mu figła. Upadł twarzą na ziemię, a w ustach poczuł piasek. Miała już dać rozkaz Przyuczonemu, ale powstrzymał ją gestem.

— Nie! To lekkie upojenie. Powinnaś czuć jego pierwsze skutki...

Słowa te musiały zabrzmieć jak ostrzeżenie. Usiadła wyprostowana na brzegu i powstrzymała jego pierwszą próbę zbliżenia.

— Zostań, gdzie jesteś, Deklamatorze!

Uszanował jej wolę. Powietrze Barduany działało na nią z niezwykłą siłą. Spazmatyczne drgania przebiegały po powierzchni jej ciała.

— Idź na całego — rozkazał. — Kiedy minie pierwszy kryzys, będziesz doskonale panowała nad swoimi reakcjami.

Odwrócił się w stronę basenu. Miecznika nie było już na swoim miejscu. Musiał odpłynąć gdzieś w głąb, poza ich pole widzenia. Bez żadnej obawy przepłynął kawałek w letniej wodzie. Była tak przejrzysta i tak doskonale dostosowana do temperatury jego ciała, że miał wrażenie, iż unosi się na warstwie gazu. Dziesięć metrów pod powierzchnią widział otwory obserwacyjne. Wydawały się bardzo oddalone, zagubione w innym świecie. Wrócił na plażę. Phalia wyglądała na mniej wystraszoną.

— A więc to jest powietrze Barduany! — powiedziała z rozmarzeniem.

— Tak, ono wyrównuje wszystkie braki. Barduana jest małym, spustoszonej światem. Pozostało tylko upojenie...

Szukał słów... Stanowiło to u niego nieomylny znak podniecenia seksualnego. Dekoderka była naprawdę ponętna, gdy tak pótleżała na piasku. Potrafiła go podniecić swoim dystansem, wyrachowanym czy nie. Nie zależało mu na tym, żeby poznać jej strategię...

— Twoim zdaniem Marzyciel odszedł, ale dokąd? — zapytała.

— Nie wiem. Może sam siebie usunął, żeby złączyć się ze swoimi obrazami. Żyje gdzie indziej, jestem o tym przekonany... Nieważne! — rzucił, wracając do wody.

Wziął tylko szybki wdech, ale niewątpliwie atmosfera Barduany wyzwaliała nieoczekiwane rezerwy. Mógł pływać pod wodą ponad dwie minuty, nie czując wysiłku. Wynurzył się na powierzchnię, radośnie prychnął.

Tym razem dziewczyna dołączyła do niego. Zanurkowali obydwoje w głąbiny basenu.

Miecznik wypłynął na powierzchnię, najwyraźniej zainte-

resowany obecnością tych dwojga w swojej posiadłości. Tylko drganie płetwy ogonowej wskazywało, że żyje. Nie odczuwali żadnej aktywności umysłowej, żadnej oznaki podenerwowania.

Jorick podpłynął bliżej. Zwierzę go nie przerażało. Widział przede wszystkim olbrzymią, lśniąca masę, przystosowaną do tego środowiska, i na myśl mu nawet nie przyszło, że normalnie zwierzę to jest drapieżnikiem zdolnym błyskawicznie rozszarpać każdą zdobycz znajdującą się w jego zasięgu.

Miecznik odwrócił się i na jego głowie wyraźnie ukazały się białe plamy. Dojrzał dwóch intruzów, ale nie przejawiał wcale nerwowości. Jego znieruchomienie przypominało nawet zaproszenie.

Phalia wypłynęła na powierzchnię tuż obok wieloryba. Wzburzyła się piana i z kolei Jorick wynurzył się wśród wirów wywołanych przez ruchy zwierzęcia. Nie czuł żadnej obawy. Marzyciel przycupnięty na samym dnie tego tajemniczego mózgu wydawał się chwilowo unicestwiony. Mieli przed sobą tylko łagodne morskie zwierzę — lubiło się bawić i pozwoliło nawet, żeby dziewczyna dosiadła go na kilka chwil. Zabawa ta nie trwała długo.

Jorick pierwszy wyszedł na brzeg. Ailota nie ruszył się z miejsca, jego wyćwiczone zmysły nie zanotowały żadnego niebezpieczeństwa, a nie wracał do podziemi, czekając na rozkazy albo na jakieś wydarzenie wymagające jego pomocy. Phalia wkrótce dołączyła do nich. Wydawała się jednocześnie zmęczona i uszczęśliwiona. A przecież nic nie tłumaczyło jej optymizmu, gdyż Marzyciel nadal milczał i niewykłuczone, że rozproszył się w prymitywnej świadomości swego gospodarza.

— No i co, przekonałaś się? — spytał Jorick, osłaniając oczy przed blaskiem błękitnego słońca. — Marzyciel ulotnił się, a myśmy się bawili z wielorybem...

Nie odpowiedziała, lecz nagle przytuliła się do niego z taką siłą, że stracił równowagę. I wodne zabawy potoczyły się

dalej na piasku. Zareagował z entuzjazmem, pieszcząc jej nagie ciało zgięte w zmaganiach, które nie miały w sobie nic z niewinności. Po chwili znikł między nimi dystans i odważył się na śmielsze pieszczoty, ona zaś ich nie odrzuciła. Oddychali coraz szybciej, a Jorick nie odróżniał już za dobrze w jej oczach upojenia barduańskiego od bardziej niepokojącego upojenia podnieceniem seksualnym. Wszedł w nią przy końcu kolejnego piruetu, który wyprawił ich do basenu. Długo, namiętnie kochał jej ciało, ono zaś odpowiadało na jego wezwanie. Wydawało mu się, że podobnie jak podczas nurkowania, może wstrzymać oddech w nie kończącym się akcie.

Dopiero w wybuchu dziwnej rozkoszy Jorick zauważył obecność miecznika. Zwierzę dyskretnie podpłynęło, aż jego ciało osiadło na mieliźnie. Pysk, gdzie lśnił podwójny rząd zębów jak ostrza noży, wynurzył się kilka metrów od plaży. Nie ruchome oko obserwowało miłosne zbliżenie pary na sposób obiektywu kamery. Tym razem, bez cienia wątpliwości, ssaka kontrolowała inteligencja wyższego rzędu, ale w spojrzeniu tym nie było ani krzty agresywności, co najwyżej ciekawość, a w głębi — trudny do zanalizowania smutek.

Ailota również podszedł bliżej, nie ingerując jednak w miłosną zabawę, jaka odbywała się na jego oczach.

Pod tym krzyżującym się spojrzeniem współników — współników prawdopodobnie z rozmaitych, choć chwilowo zbieżnych względów — ceremonia zaślubin mogła trwać w nieskończoność...



**CZĘŚĆ DRUGA**

**KRÓL OKRHUD**

*Nadzieja jest już tylko  
w genialnym zdrajcy,  
który z zamkniętymi ustami,  
spoglądając nam jedynie w oczy,  
wskazuje, co należy robić.  
I jego milczenie zrozumieją ci,  
co odtąd będą wiedzieli,  
że zdradzać, to znaczy czuć,  
że się żyje.*

(Casamayor, „Sztuka zdradzania”)

## POGROMCA BOMBY

Jechali brzegiem wzdłuż wydm. Teraz znajdowali się na wzniesieniach górujących nad jakimś innym portem. Lokomotywy zostały rozstawione w półkole, a neofici ruszyli na poszukiwanie paliwa, nie wychodząc jednak poza granice obozowiska.

Okrhud trzymał się na uboczu, chcąc zbadać nową ofiarę otoczoną niebieskawą mgłą. Z tej odległości domyślał się szeregów spadzistych dachów i dróg wijących się wśród ogrodów, ale jak zawsze było to tylko wrażenie całości, rodzaj złudnej dekoracji, która zawierała luki.

Dopóki trwał etap, nie myślał. Należało kierować wierzchowcem, dyrygować pomocnikami, którzy zwijali się przy kotle, ale kiedy docierał do osiedla Niekompletnych, opanowywały go wątpliwości. Jakiej to dziwnej grze oddawali się wszyscy? Jeźdźcy burzyli budowlę ludności osiadłej i zbierali, co tylko uważali dla siebie za przydatne. Musiała kierować tym jakaś panująca nad wszystkim logika.

Z rozmyślań tych wyrwał go dźwięk kroków.

— Akab?

— Doszedłem aż do osiedla, Okrhud... — odezwał się cichy głos.

— A więc byłeś nieposłuszny — powiedział bez gniewu.

Młody neofita dziwnie się zachowywał. Chodził za Okrhudem jak jego cień i rzadko spuszczał go z oka. Zawsze robił tak, żeby oddalić się od pozostałych pomocników i zwrócić na siebie uwagę w taki czy inny sposób. Okrhud wyczulony był na tę milczącą adorację, ale wiedział, że musi na nią jeszcze zasłużyć...

— Oni są wszyscy martwi... Niekompletni i reszta... — powiedział Akab przykucając.

Okrhud utkwiał w neoficie surowy wzrok.

— Widziałaś?

— Tak. Przemknąłem się do samego portu. To rybackie osiedle, tak samo jak moje, ale tam się już nic nie rusza. Nie ma nawet wielorybów w zatoce.

— Może to inni Jeźdźcy?...

— Nie, to coś gorszego!

Potrząsnął nim bezceremonialnie.

— Więc mów! Masz mi coś do powiedzenia, inaczej nie przyszedłbyś na wydmy.

Wyrostek spuścił głowę, jakby go przyłapano na gorącym uczynku.

— Tam są inne maszyny, ale nie takie jak Jeźdźców. Są szyny, nieruchome lokomotywy i pachnie gorącą oliwą. Rozbierają właśnie wioskę.

Słowa te uderzyły w Okrhuda jak obuch. Muszą natychmiast zaatakować port. Coś gorszego niż pustynia zżera właśnie życie, a świadomość tego sprawiła mu niewytłumaczalny ból.

Zapadła noc. Okrhud brutalnie podniósł Akaba i skierował się do obozowiska. Do ich klanu dołączyli inni Jeźdźcy. Mówili, że dalej na północy istnieje więcej grup wojowników dosiadających żelazne wierzchowce, ale na tym brzegu wszystkiego jest mniej...

Doszedł do kręgu światła rzucanego przez ognie. Spozstrzegł, że jego obecność tłumi rozmowy, jak gdyby wraz z nim pojawiało się namacalne zakłopotanie. Nie przejął jeszcze steru władzy, ale jego dziki temperament dawał mu pewną przewagę nawet nad starcami, którzy kierowali pierwotną kolumną. Zabrał głos wtedy dopiero, gdy zapadła zupełna cisza.

Zaatakowali port w blasku pożarów wznieconych przez neofitów. Okrhud stał na czele kolumny i miał wrażenie, że rzuca się w wody bezdennego jeziora. Nigdy jeszcze nie walczyli w takich warunkach...

Wszystkie te żelazne masy rzucone całym pędem zdawały się nie do pokonania i nie do powstrzymania, zupełnie jak

młot spadający na kowadło.

Pierwsze budynki rozleciały się na kawałki. Panczerze lokomotyw bez wysiłku przedzierały się przez przeszkody. Trzask pękających wiązań napełniał Okrhuda dziwnym uniesieniem. To, co zostało starannie wzniesione, ociosane, przystrojone z nieskończoną cierpliwością przez budowniczych, musiało się wcześniej czy później rozlecieć na drodze Jeźdźców. Stary świat niszczał na jego oczach w niekontrolowanych wybuchach pustoszącego ognia. Nie wiedział już, dlaczego niszczy, wiedział jednak, że to musi być zniszczone.

Kolumna dotarła do centrum osiedla. Plac pokrywały ciała Niekompletnych, ale śmierci nie zadali im Jeźdźcy. Inna logika była górą, mniej dzika, bardziej systematyczna. Rozbili się na kilka grup i posuwali się w stronę portu. Pożary z piorunującą szybkością przenosiły się z dachu na dach, podsycane wiatrem od morza.

Dotarli do strefy hangarów w pobliżu oceanu. Po ziemi biegły tory. Akab nie skłamał. Stanowiło to coś w rodzaju stacji rozrządowej, a w cieniu czekały nieruchome maszyny. To one pożerały osiedle, zresztą można się było domyślić na otwartych wagonach stert materiałów oderwanych od budynków. Okrhuda opanował nieprzewyciężony gniew. Gotował się, by powalić intruzów, kiedy spostrzegł odruch wahania wśród otaczającego go oddziału. Wołania wartowników górowały nad hałasem...

Ostrzeżenie nadeszło zbyt późno. Maszyny były zgrupowane, co stanowiło błąd strategiczny. Rumak Okrhuda stanął dęba, omalże tracąc równowagę, i wydał długi gwizd. Gdzieś w tej ciżbie przewrócił się pojazd, a kłęby pary rozchodziły się na wszystkie strony.

Za cenę karkołomnych akrobacji Akab dotarł do Okrhuda na pomost kierowniczy.

— Jakież metalowe wrzeciono uderza w łapy — zawołał podnieconym głosem. — Bomba, która lata po cichu... Patrz!

Wśród nieopisanego zamieszania, w którym kłębiły się

niszczony wierzchowce, przed maszyną Okrhuda powstała pustka. Wyraźnie widział teraz bombę. Był to niewielki, zupełnie cichy pocisk; z niesłychaną siłą rzucał się na wszystko, co się poruszało. Nie wybuchał, poprzestając tylko na rozbijaniu wybranego celu. Spustoszenia w szeregach uciekających Jeźdźców siał straszliwe. Jeżeli to dłużej potrwa, wówczas cały klan zniknie i dołączy do ruin osiedla.

W ułamku sekundy Okrhud zrozumiał ich położenie. Unieruchomił swoją maszynę i utrzymywał ją w niepewnej równowadze w samym centrum zamieszania. Wokół niego nadal ginęli wojownicy tylko dlatego, że próbowali uciec. Należało użyć podstępu, uspić czujność tego niezwyklego przeciwnika i niepostrzeżenie zbliżyć się do niego, zamiast uciekać.

Bomba ciągle myszkowała po cmentarzysku zniszczonych lokomotyw. Jej wibrująca paszcza podnosiła sterty pogiętego metalu, by dopaść tych, co jeszcze może żyli. Wierzchowiec Okrhuda stał nieruchomo, niczym waląca się bezsensowna konstrukcja. Naraz drgnął i wygiął się nad bombą, chwytając ją w swoje łapy jak rzucający się na zdobycz pajak. Jeszcze jedno szarpnięcie, po czym wszystko znieruchomiło. Akab wydał donośny okrzyk triumfu:

— Okrhud pokonał bombę!

Plac został oczyszczony przed wschodem słońca. Neofici osobno ustawili wierzchowca Okrhuda niczym pomnik. Ponad połowa Jeźdźców zginęła w ataku na osiedle, ale ci, co przeżyli, z nową energią obstarpi kręgiem miejsce walki.

Przybycie Okrhuda powitał aprobujący pomruk. Zostawił pomocników na wierzchowcu, żeby pieszo zbadać zdobyte osiedle, a teraz wracał na miejsce swojego wyczynu otoczony nową chwałą. Udawał, że nie zauważa oznak poważania, które czyniły z niego pozornego przywódcę żyjących, i podszedł do rumaka. Akab zawołał do niego z pomostu maszynisty:

— Trzymamy ją dobrze, tylko że ona ciągle żyje...

Słowa te zapoczątkowały panikę, ale Okrhud skinął uspokajająco ręką w stronę tłumu. Bomba tkwiła pod korpusem

wierzchowca, co przypominało jakąś monstrualną kopulację. Gwałtowne drgania wskazywały, że obca maszyna daleka jest jeszcze od uległości. Najmniejszy fałszywy ruch mógł ją oswo-bodzić.

— Zaczekajcie!

Nie dodał słowa więcej, rozumiał jednak, że musi teraz mówić jak przywódca, że takie jest jego przeznaczenie i że nie może dłużej pozostawać w cieniu. Zresztą Akab tego właśnie odeń oczekiwał.

— Okrhud zabije bombę — oznajmił spokojnie, nie poj-mując za dobrze wszystkiego, co pociągało za sobą to niejasne wyzwanie.

Kilkoma susami wspiął się na łapy rumaka i odzyskał równowagę na naderwanym metalowym występie. Nad jego głową nieregularnie rozchodziły się kłęby pary ze sponiewie-ranych tłoków. Znał jak samego siebie odgłosy i stopień znu-żenia żelaznych wierzchowców. Jasne było, że potężne drgania bomby zaczynały powoli brać górę nad licznymi kleszczami, niezdarnie ją obejmującymi.

Bomba zadrżała mocniej, jak gdyby czuła wyzywającą bli-skość potencjalnej ofiary.

Zsunął się niżej i jego stopy napotkały cylindryczny kor-pus, doskonale gładki, dudniący pod nogami. Okrhud z mie-szaniną strachu i rozkoszy przesunął dłońią po wygładzonym pancerzu. Żadna część znanych mu maszyn nie została tak nie-skazitelnie wykończona. Była to metalowa skóra, doskonała, i nie miała nic wspólnego z chropowatością wierzchowców.

Brzuch bomby okazał się ciepły, niemal żywy między jego zaciśniętymi udami. Działy się tam rzeczy, które odsłaniały jej naturę, ale i słabe strony. Wokół kilku otworów — na pierw-szy rzut oka nie mógł się ich domyślić — w piasku powstawały wiry. Teraz wszystko stało się o wiele prostsze. Kiedy jeszcze był neofitą, musiał zsuwać się aż do rozpalonego wnętrza ko-tłów, unikając części rozgrzanych do białości. Znał wnętrze maszyn. Zawsze istniał jakiś sposób wejścia do nich...

Kilka akrobatycznych figur i znalazł się pod bombą. Pod naciskiem ustąpił włącz taki sam jak ten, co prowadził do komory spalania. Wszedł w jakiś mroczny świat wypełniony tajemniczymi dźwigniami. Odgłosy z zewnątrz dochodziły do niego przytłumione i odległe. Miał przed sobą gąszcz przewodów, ale szukał czegoś prostszego, na przykład śruby. Pocisk uporczywie drżał. Gdzieś z tyłu mechanizm napędowy wprawiał w wibracje metalową podłogę, na której przykucnął.

Na wierzchowcu doskonale wiedział, co ma zrobić, żeby go poruszyć lub unieruchomić. Tutaj mógł działać tylko po omacku. Pomacał w półmroku i wyrwał delikatne części, jakie napotkał. Początkowo ostrożny, powoli nabierał pewności i niszczył wszystko, co znajdowało się w zasięgu jego ręki. W pewnej chwili odczuł wstrząs, po czym ożywiające maszynę wibracje ucichły. Mimo to z radosnym okrucieństwem kontynuował swoje dzieło zniszczenia.

Kiedy wynurzył się na powietrze, powitała go burza owacji. Akab odprowadził wierzchowca i nieruchoma bomba leżała na środku placu. Połknięty przez żelaznego wieloryba, przebywał w jego brzuchu i wyszedł stamtąd nietknięty i silniejszy. To był jego dzień. Odtąd został królem Jeźdźców. Wyrzucił ramiona w górę na znak zwycięstwa, a tłum natychmiast runął, by go otoczyć i podnieść na silnych barkach.

— Bomba nie żyje! Bomba nie żyje!... — wołał pośród powszechnego entuzjazmu. Słuchał okrzyków, które brzmiały jak słodka muzyka. Poszukał wzrokiem małego Akaba, nigdzie go jednak nie dojrzał.

Zrozumiał, że odtąd będzie musiał kierować maszyną bardziej złożoną niż jego wierny żelazny rumak...

## INTERAKCJA

Jorick przebył śluzę, która prowadziła na płytę, z nieod-

partym wrażeniem, że już to oglądał. Sfinks stał na swoim posterunku, ciągle równie nieulekły, a bywalcy rozlokowali się małymi grupkami na skalistym cokole, twarzą do wspaniale wzburzonego morza. Było jednak więcej osób niż zazwyczaj: nieco na uboczu kilku Twórców i około dziesięciu Przyuczonych przemierzających brzeg z denerwującą regularnością.

Słońce mocno grzało gładką skałę. Kilka osób leżało w stożku cienia. Mało kto baraszkował w wodzie, a nad cichą plażą wisiła jakaś nieokreślona martwota.

Wyciągnął się obok ekipy z szybu, gdzie dostrzegł Varla leżącego na brzuchu z półprzymkniętymi oczami.

— Ciągłe pracujesz? — spytał ten ostatni z lekkim uśmiechem.

— Stacja końcowa nie dokończona, oszalałe lokomotywy, płomienie, zburzone wagonownie, oczekujący żołnierze... Mamy wszystkie elementy, ale Marzyciel przestał pracować. Rzeczy istotne dzieją się teraz gdzie indziej, nie w szybie.

— To oburzające, prawda? — powiedział Varlo, podnosząc się.

Zgodni wydawali się wiecznie drwić ze wzburzenia Twórców. Było to jednak tylko wrażenie, potrzebowali bowiem stymulacji.

— Od dwóch tygodni jestem przydzielony do strzeżenia pierwszej zewnętrznej strefy bezpieczeństwa — dodał Zgodny poważniej. — Nie ma to wiele wspólnego z moimi rzeczywistymi umiejętnościami. Rozkaz przeniesienia wydał komendant Ochrony...

Jorick odprężył się. Słońce przyjemnie grzało mu skórę i czuł pierwsze objawy barduańskiego upojenia. Phalia...

— W rzeczywistości jesteśmy oblężeni — mówił dalej Varlo, ożywiając się. — Postępujemy co najmniej tak, jak gdyby projekcje Marzyciela poza szybem stanowiły poważne zagrożenie dla bazy.

— Tumin tak wymyślił — rzucił Jorick, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia.



— Przecież to idiotyzm! — zaśmiał się Zgodny. — Mamy Marzyciela pod ręką i pozwalamy się zamknąć w jego dzikich reprezentacjach, jakby zupełnie wymykał się naszej kontroli.

Deklamator westchnął.

— Cóż chcesz, to jest MISJA! Nie udawaj, że cię to dziwi. Pozornie jesteśmy sługami Marzyciela, żeby łatwiej okradać go z obrazów. Zamiast pracować w szybie, robimy to na zewnątrz. Zwykle przeniesienie... Interpretacja stała się oczywiście dużo delikatniejsza...

Mówił mechanicznie, nie przywiązując specjalnej wagi do znaczenia swoich słów. Myślamy był gdzie indziej. Varlo nagle usiadł.

— Cóż, nie podoba mi się to i nie jestem jedynym Zgodnym, który uważa, że ta misja dziwnie wymyka się kontroli. Najpierw była mowa o makietach, o symulacjach w wielkiej, szczelnie zamkniętej probówce...

— To nie takie proste — przerwał mu Jorick. — Na początku Marzyciel rozporządza pewną liczbą możliwości, niejako władzą. Ale on bardzo szybko się przeobraził i Pierwszy postanowił, że należy iść za nim, aby nie zaprzepaścić całej misji.

— Słuchaj, Deklamatorze, nie rzucaj wielkimi słowami planowania, tylko otwórz szerzej oczy. Przyuczeni otaczają właśnie bazę linią archaicznych fortyfikacji, dokładnie skopionych ze schematów w szybie. Wykorzystują konstrukcje znalezione w terenie, te „śmieci” Marzyciela, jak je nazywacie, i uzupełniają je innymi zgodnie z tą samą logiką. Niszczą albo demontują to, co im przeszkadza. Posunęli się nawet do tego, że odtworzyli lokomotywy na torach do przywożenia albo odsyłania sprzętu...

— Taką myśl poddał Lothar — szepnął Jorick. — W ten sposób prowadzimy nadal program „Stacja Końcowa”.

Twarz Varla stężała. Zgodni często wpadali w wyzwolielski gniew.

— Oczywiście! Twórcy uwielbiają bawić się strukturami,

obojętne jakimi, łącznie z malefactum jak Bargnam. Manipulują słowami, niezdrowymi sytuacjami, i to ich niesłychanie podnieca, bo wyobrażają sobie, że do samego końca mogą zostać widzami.

Jorick nie miał ochoty odpowiadać. Czuł się ogarnięty przyjemnym odurzeniem i rozdrażnienie Varla wydawało mu się normalne. Skierował wzrok na ruchomą linię fal, gdzie kręciło się kilku Twórców słabo obeznanych z kapryсами gór wody.

Dojrzał wśród nich Manikę. Nie śmiała rzucić się wprost w chrzęszczące zwały, ale dawała się unosić cofającym się falom, które pociągały ją kilka metrów od brzegu. Była na wpół naga, a jej swobodne pozy rozpały spojrzenia.

Varlo parsknął. Jego gniew zniknął jak za dotknięciem różdżki.

— Domyślam się, co ci teraz chodzi po głowie, Jorick. Manika szuka „zmartwień” i niedługo je znajdzie...

— Stosunki publiczne są ściśle skodyfikowane — odparł Deklamator stłumionym głosem.

— Zgodni nie mają takich problemów. Po powrocie z misji czekają na nas żony... To prawda, że nie opanowaliście, jak my, sztuki zastoju seksualnego. Wiecznie pościg i niepo-kój...

Jakiś Przyuczony, niewątpliwie obarczony przez któregoś Twórcę manewrem miłosnego zbliżenia, odważnie rzucił się w fale, jakby wykonywał pokaz. Otulił go kokon piany, a on tak pokierował, żeby pociągnąć za sobą dziewczynę. Przez kilka chwil dwa ciała turlały się razem, ale oto Manika już stała, napięta i wroga. Na płycie gruchnął śmiech.

— Manika!

Jorick wstał i dziewczyna wielkimi susami skierowała się w jego stronę. Rude włosy opadały jej szerokimi, mokrymi kosmykami na ramiona i piersi.

— Obyczaje się rozluźniają — powiedziała z nadąsaną miną, kiedy znalazła się obok niego.

— To zapach wojny, trucizna równie łatwo przenikająca

jak powietrze Barduany — powiedział Jorick z udawaną swobodą. — Bariery słabną, a godziny beztroski stają się cenniejsze.

Manika spiorunowała go wzrokiem.

— O czym ty mówisz, do licha?

— O fortyfikacjach, które niepostrzeżenie wywołują w nas frustracje obłączonych. Teraz nie można już przechadzać się po wydmach...

Zagryzła wargi i zmrużyła oczy, jakby osłaniając je przed niebieskawym blaskiem.

— Jaka szkoda! Ale ty chyba masz coś lepszego do roboty. Powiedziano mi, że prowadzisz szeroką współpracę z Dekoderką.

— Masz dobre informacje...

Odeszła nieco gwałtownie, a Varlo podsumował sytuację:

— Stacja końcowa miłostek Deklamatora... To musi być męczące, tak ciągle pracować!

Weteran ujął stery ślizgacza, który pokonywał wydmy północnych wybrzeży. Przyuczo było nawiązać kontakt z trzecią rasą runijską. Słowa do nich nie docierały. Tylko działanie budziło pewną formę solidarności, a nawet porozumienia. Na razie było do tego daleko. Sprawdzenie wysuniętych linii nie miało w sobie nic podniecającego.

— Mówisz, że nowa struktura pojawiła się nocą? — zapytał Deklamator uprzejmie.

— Około trzeciej.

Jechali wzdłuż czegoś w rodzaju okopu wytyczonego w piasku. W regularnych odstępach czasu pojawiała się stalowa wieżyczka. Reszta konstrukcji została starannie ukryta dwadzieścia metrów pod ziemią. W ciągu kilku tygodni Przyuczeni uporali się z olbrzymią pracą. Uwielbiali nieprawdopodobne przedsięwzięcia i instrukcje Pierwszego wystarczyły, by rozpętać proces.

— Czy to naprawdę było konieczne?

— Co?

Jorick zrozumiał błąd i wyjaśnił swoją myśl:

— Wykonaliście znakomitą pracę rekonstrukcyjną. Bez wątpienia Zert nie wymagał od was aż tyle.

Twarz Przyuczonego pozostała nieprzenikniona.

— Marzyciel zaczął makietę w terenie, a myśmy ją skończyli, tak samo jak w szybie nieważkości. Zaopatrzyliśmy ją oczywiście w bardziej konwencjonalne środki obrony, zgodnie ze wskazówkami Tumina, i wysyłamy szperacze przeciwko wszystkiemu, co się rusza.

Jorick próbował zastanowić się spokojnie. Varlo z pewnością się nie mylił. To przedsięwzięcie nie miało sensu, bo niemożliwością było kontrolowanie reprezentacji Marzyciela na taką skalę. Nie bardzo już wiedziano, co należy do bazy, a co stanowi makietę na zewnątrz szybu.

— Panujemy nad sytuacją w obwodzie ochronnym — powiedział Przyuczony, jakby odgadując wątpliwości Deklamatora.

— A dalej?

— To nie nasza sprawa. Przypuszczam, że szperacze robią co do nich należy aż do granic drugiego obwodu. Czasami demontujemy makiety w tej strefie, wykorzystując tory kolejowe...

Ślizgacz dotarł do wejścia do kazamaty większej niż inne. Dostępu do niej broniła imponująca sieć drutów kolczastych. Weszli do betonowej budowli i udali się na posterunek obserwacyjny. Nowa struktura, częściowo zakryta spadkiem terenu, znajdowała się przed nimi. Na tyle, na ile mogli osądzić, był to masywny dom osłaniający bunkier na sposób dekoracji z grubego kartonu. Zajaśniał krótki błysk, a zaraz potem rozległa się głucha detonacja.

— Ostrzeliwują nasze linie z broni palnej, tak samo jak w szybie — wyjaśnił Weteran. — Zniszczenia są oczywiście nieznaczne.

— Czy to są pozoranci zdolni do życia?

— Częściowo...

Weteran pochylił się nad peryskopem bez dodatkowych wyjaśnień. Projekcje Marzyciela okazywały się na ogół niekompletne, ale zdarzało się, że hologramy przedstawiające żywe osoby były uderzająco prawdziwe. Technicy z szybu przyzwyczaili się nazywać je „pełnymi istotami”, mimo niedociągnięć w szczegółach. Wszyscy pozoranci z programu „Stacja Koń-cowa” należeli do tego rodzaju.

Jorick często bywał świadkiem ich narodzin w szczególnym środowisku szybu nieważkości. Najpierw pojawiał się świetlisty krąg, który unosił się wśród dekoracji, potem szybko zarysowywała się maska o ludzkich rysach. Syntetyzator materii utrwalał obraz. Reszta następowała niemal automatycznie, ale jakby w pośpiechu, toteż często musiano dokonywać poprawek. Pod ubraniami, mundurami zostawała pustka, co sprawiało, że powstałe istoty były kruche.

Nigdy nie wynikł problem świadomości tych obrazów z krwi i kości. Wszyscy uważali je wyłącznie za przestrzenną reprezentację wysłaną przez Marzyciela i on jeden tylko żył. Teraz, kiedy Jorick widział dziwny ruch w środku barduańskiej pustyni, zadawał sobie pytania. Pewnie, że Marzyciel był wyłącznym twórcą tych zsyntetyzowanych istot, ale czy one same nie posiadały na swój sposób pewnej autonomii?

Nowy wybuch rozdarł ciszę. Przyuczony nie drgnął nawet. Wyraźnie nie odczuwał żadnej emocji, w jego oczach musiała się liczyć tylko wola Pierwszego.

— Wyślemy szperacze i oczyścimy to miejsce — powiedział, odwracając się do Deklamatora. — Operacja, jakich wiele... Jeżeli budowla jest solidna, włączymy ją do naszych fortyfikacji...

— Bez żadnych trudności? — spytał Jorick z powątpiewaniem.

— Oczywiście. Zdaniem Lothara to po prostu dalszy ciąg programu „Stacja Końcowa” z tą różnicą, że jesteśmy bezpośrednio włączeni do scenariusza. Kiedy pojawiają się pozoranci, rzucają się od razu do ataku na fortyfikacje. Na to są na-

stawieni.

Jorick przeszedł się po posterunku obserwacyjnym. Nie mógł uporządkować myśli. Jakieś wrażenie nierealności unosiło się nad tymi szczególnymi operacjami wojskowymi.

— A co jest poza obwodem ochronnym? — spytał.

Weteran wolno pokręcił głową.

— Nie wiem. Na pewno inne makiety, pozoranci mniej lub bardziej ukształtowanj. Trzeba by tam iść i zobaczyć na miejscu. To zajęcie dla Twórcy...

Jorick nie odpowiedział na tę aluzję.

— Dziękuję ci, Weteranie. Wykonaliście ładną robotę... Możesz mnie odwieźć do bazy?

Phalia przyszła do kłosza Deklamatora. To on poprosił ją o rozmowę, nie dbając o konwenanse. Od czasu ich przygody w basenie pozostawali ze sobą w dziwnych stosunkach, składających się z milczącego porozumienia i fizycznej rezerwy. Zachowywali się tak, jakby krótkotrwały i gwałtowny płomień pożądania, który ich złączył, w ogóle nie istniał albo miał się dopiero kiedyś pojawić. W zwyczajach Twórców nie leżało uleganie podobnym impulsom bez długiej przygotowawczej fazy kurtuazji i wytwornych potyczek.

Ale nastrój uległ zmianie. Życie regulowały teraz dobiegające od linii fortyfikacji głucho detonacje. Ich położenie, nawet grane, stawało się „tragiczne” (Deklamator nie mógł lepiej zdefiniować tego stanu rzeczy). Było to nowe uczucie, zrodzone ze strachu i oczekiwania. Nigdy dotąd Jorick do tego stopnia nie obawiał się utraty tego, co zdobył.

Kłosz pogrążony był w półmroku, a ich oddechy wprawiły w ruch mobil, który zajmował środek pomieszczenia.

— Jest prawie tak ładny jak Zerta — powiedziała, wskazując go nieznacznym ruchem brody.

Miał ściśnięte gardło i żaden dźwięk nie mógł się wydobyć z jego ust. Nie robiła nic, żeby poczuł się swobodniej, i uważnie rozglądała się po kłoszu. Miejsce, gdzie mieszkał Twórca z Runy, stanowiło część jego osobowości, i nawet ma-

leńka celka w bazie zagubionej na krańcach Wszechświata musiała o nim świadczyć. Tutaj nie było niczego oprócz tej miniaturowej makiety. Marzyciel, ciągle Marzyciel... Reszta była niemal bezosobowa.

— Jorick?

Wymówiła jego imię, jakby chciała je tylko przesylibizować.

— Tak...

— Będziemy się kochali w twoim kloszu. Pragnę tego. A ty mów, mów o Marzycielu. Powiedz mi wszystko, co ci przyjdzie do głowy, bez zastanawiania się, bez układania zdań...

Powoli zdjęła kombinezon i czekała na niego, dziwnie nieruchoma. Jej stulone białe uda nieodparcie go pociągały. Przesunął ku nim dłoń.

— Uważasz, że Marzyciel chce nas zniszczyć? — spytała, odsuwając się z drżeniem.

Nie zwrócił uwagi na tę rezerwę i przytulił się do niej, zaczynając mówić.

— Nienawidzi nas, ale mimo to nie chce, żebyśmy zniknęli. Potrzebuje nas, by zrekonstruować swój poćwiartowany świat. To nurek, który szuka dna. Pierwszy postanowił mu pomóc, wniknąć w jego logikę.

Ujęła w dłonie sztywny seks Deklamatora i skierowała go w stronę drżącego rowka między swymi ciągle zaciśniętymi udami.

— Ale to są tylko sny, szczątki istnienia...

— Nie znamy tego typu snów — powiedział z trudnością. — Przypuszczamy, że każdy Marzyciel w najwcześniejszym dzieciństwie gromadzi mgliste wrażenia zawierające przyjemność bądź karę. Jego mózg dysponuje wtedy bankiem obrazów, tym bogatszym, że nie jest świadomy. Aktywność oniryczna wykazywana przez całe życie jest tylko ponawiany podczas każdego okresu snu próbą powrotu do tych pierwszych uczuć rozkoszy lub strachu.

— Tak, wiem to wszystko — rzekła, odwracając się. —

Ale nasz miecznik, mów o nim, tylko o nim...

Wszedł w nią i na razie czuł się niezdolny do wymówienia jednego nawet słowa. Phalia sama wykonała pierwszy ruch, tak gwałtowny, że jęknął.

— Jorick! Czego on szuka... Proszę cię...

Starał się zmieniać barwę głosu albo zniżyć go do pomruku. Serce mu waliło, rozkosz zaś czuł tak wielką, że zdawało mu się, iż pokój kręci się wokół mobilu. Ale musiał mówić. Obowiązek, jaki mu narzucała zgadzając się jednocześnie na ten akt, przyspieszał bądź zwalniał rytm ich zmagania. Wszedł w nią głęboko i mówił dalej głosem zaledwie słyszalnym.

— Marzyciel został wyrwany ze swego kontinuum dokładnie w chwili, gdy umierał. I nikt, nawet Pierwszy, nie może znać rzeczywistych warunków zdobycia go.

Phalia słuchając, poruszała się lekko, aby nie opadło z niej podniecenie — zależało jej na nim przynajmniej tak samo jak na analizie. Wydawała ciche, zduszone okrzyki.

Mówił dalej udając, że panuje nad swoim podbrzuszem:

— Marzyciel prowadzi wtórną działalność graniczącą z obsesją. Obraca się ona wokół okrutnych i niezrozumiałych obrazów jakiejś wojny, którą mógł przeżyć, wyłącznie jako ledwie świadoma ofiara. I tę właśnie wąską furtkę w przeszłość nieustannie bada...

Zamknęła mu usta długim pocałunkiem, jakby chciała, by zamilkł, ale Deklamatorowi nasunęła się pewna myśl i pragnęła ją wyrazić do końca:

— Sądzę, że on mniej pragnie zrozumieć, niż odrodzić się. Zresztą jak dotąd świetnie mu to idzie...

Drgnęła. Ta myśl ją zaszokowała.

— Odrodzić się?

— Tak, nawet tutaj, w moim kloszu...

Obecność Zerta przed głównym iluminatorem basenu Marzyciela była czymś wyjątkowym, ale nikt nie miał pewności, czy postąpił w ten sposób z wyrachowania, czy pod wpływem nagłego natchnienia. Niewątpliwie w grę wchodziło jed-



no i drugie, gdyż prowokacja była oczywista. Miecznik nie pokazywał się, unosząc się gdzieś blisko powierzchni. Nie odczuwano też jego obecności mentalnej.

Pierwszy wydawał się straszliwie osłabiony. Prowadził go Błysk, który dosłownie podtrzymywał szefa bazy przy każdym jego kroku. Jorick był zafascynowany widokiem tych żałosnych starań. Zert starzał się szybciej, niż przewidziano, zwłaszcza fizycznie, gdyż sprawność jego umysłu nie uległa zmianie.

— Zebrałem was w podmorskim osiedlu, żeby wydać ostatnie instrukcje — powiedział Zert ochryplym głosem. — Muszę zachować siły na końcową fazę misji, a brakuje mi jeszcze kilku informacji dotyczących świata zewnętrznego. Jak wiecie, Marzyciel przestał korzystać z szybu nieważkości, żeby zmaterializować w nim swoje obrazy. Jego świadomość rozciągnęła się na powierzchnię planety i możemy przyjąć, że cała Barduana jest teraz obszarem doświadczalnym...

— Baza jest porządnie broniona... — zaczął Tumin, jak gdyby miał zamiar złożyć raport.

Zert przerwał mu ze zwykłą oschłością:

— Nie o to chodzi. Postanowiliśmy wejść w makiety Marzyciela. Włączamy się w tę grę i ulegamy jego fantazjom. Jesteśmy prawie pozorantami na wzór marionetek z szybu. Wybrałem to rozwiązanie, żeby zyskać na czasie. Naszym celem nadal jest powodzenie misji, niezależnie od warunków, nawet gdyby okazały się bardzo trudne.

Lothar zbliżył się z powagą.

— Czy możemy w związku z tym dowiedzieć się, jaki ma właściwie cel nasza praca?

Zert popatrzył na Realizatora niemile zdziwiony.

— Zawsze bolałem nad twoim brakiem wyobraźni, Lothar. Najczęściej Marzyciel poprzestaje na uwalnianiu zapasu struktur w szybie do tego celu przewidzianym, ale zdarza się, że taki proces mu nie odpowiada. My mamy dostosować się do niego i ułatwić mu tworzenie nowych hologramów, na-

wet jeżeli rozrastają się dowolnie na łonie natury.

— Moi ludzie skarżą się na ciągłe oddalenie od bazy — wtrącił Weteran bez zbędnych chwytów krasomówczych.

— Wiem — odparł Zert. — Dłuższa izolacja jest niebezpieczna dla Przyuczonych, ale tylko wy możecie wykonać tę pracę w sposób zadowalający i nie ponosicie ofiar z powodu ataków pozorantów. To są istoty niekompletne, a więc bez inicjatywy.

— Nie w tym rzecz — upierał się Przyuczony. — Ale my już sami nie wiemy za dobrze, jak są zlokalizowane nasze linie. Nowe struktury dochodzą bez przerwy do naszych i przestaliśmy się orientować, co uprzętać...

Popłoch Przyuczonego był niemal komiczny, ale nikt nie miał ochoty na śmiech. Zert zaczekał, aż wśród zgromadzonych ucichł krótki pomruk niepokoju.

— To, co się dzieje tutaj, ma znaczenie drugorzędne, to są tylko odpadki z programu „Stacja Końcowa”. Najważniejsze rozgrywa się gdzie indziej. Ocenilem, że Marzyciel jest zdolny syntetyzować swoje hologramy w promieniu około tysiąca kilometrów. Nadeszła chwila, żeby zbadać tę zewnętrzną strefę w duchu ciekawości podobnym do tego, jaki powoduje nami, kiedy obserwujemy miecznika w jego środowisku albo makieoty unoszące się w szybie nieważkości. Czy to jasne?

Wydawał się zupełnie wyczerpany i nikt nie ośmielił się więcej wdawać w rozmowę. Jego rozgorączkowane spojrzenie przebiegło po zgromadzonych i zatrzymało się na Joricku.

— Deklamator będzie mógł na miejscu stwierdzić zalety swoich dialogów w towarzystwie Dekoderki, która zna lepiej niż ktokolwiek reakcje Marzyciela. Weteran i Varlo mają reprezentować rasy symbiotyczne. Są pytania?

Niczego nie musiał dodawać. Jak zwykle decyzje Pierwszego były schematyczne. Szczegóły praktyczne pozostawiał inicjatywie wykonawców.

Cień miecznika przesunął się nagle przed iluminatorem. Nie spał, ale nic też nie wskazywało, że jest świadom obecno-

ści wszystkich tych ludzi, którzy zamierzali zamknąć go w swoich systemach. Tumin gniewnym ruchem zerwał z głowy kask ochronny i pierwszy opuścił sterownię. Dla niego misja na Barduanie przerodziła się w operację wojenną. Marzyciel już go nie interesował.

### STREFA ZEWNĘTRZNA

Po zachodzie słońca ślizgacz opuścił bazę przez bramę północną. Tumin osobiście ustalił program wyprawy badawczej, szczególnie upierając się przy uzbrojeniu, ale Jorick odmówił zabrania ze sobą całego tego żelastwa. Szyb nieważkości czy strefa zewnętrzna stanowiły dla niego taki sam teren badań. Należało znaleźć inne sposoby obrony.

Jorick rozmyślał o tym wszystkim, patrząc na niknący we mgle brzeg. Od strony fortyfikacji tryskały bezdźwięczne błyski. Absurdalna wojna pozycyjna, jaka omotała Przyuczonych, toczyła się dalej pod ich nieobecność. Ustalona trasa tworzyła szeroki łuk na morzu, co oddalało ich od kontynentu. Sztuczny ogień znikł im wkrótce z oczu,

Powierzchnia użytkowa w ślizgaczu pozwalała na pewną swobodę ruchów, toteż Phalia zaraz rozłożyła swój fotel, żeby skraść kilka godzin snu. Od wczorajszego spotkania Jorick i Dekoderka praktycznie nie zamienili ze sobą ani słowa. Przyśiągłby nawet, że dziewczyna dąsa się lekko, ale nie widział przyczyny. Odważył się wsunąć rękę pod jej plecy, a ta bliskość niepojęcie go wzruszyła. Stanowczo jego życie uczuciowe było w pełni młodzieńczej regresji.

Varlo pewnie prowadził pojazd. Od czasu do czasu korzystał z sensora umieszczonego w wysmukłym dziobie maszyny, dużo bardziej wolał jednak zdać się na swoje zdolności widzenia w ciemnościach, by utrzymać kierunek. Bawiło go przeskakiwanie ślizgaczem z fali na falę. Weteran nie pochwalał tej

zabawy Zgodnego, wstrzymał się jednak od zwrócenia mu uwagi. Ekipa była dobra i Deklamator czuł podniecenie na myśl o wyrwaniu się z bazy.

— Niedługo skrećimy w stronę kontynentu — powiedział Varlo. — O świcie dotrzemy do przylądka E 57...

Jorick zaśmiał się.

— Przylądek E 57! I pomyśleć, że nie mieliśmy nawet czasu, żeby nadać bardziej znaczące nazwy miejscom na tej planecie.

Varlo włączył sterowanie automatyczne i odwrócił się do Deklamatora.

— To ze wstydu — powiedział. — Dobrze wiesz, co czeka Barduanę, jeżeli zlikwidujemy szyb nieważkości po zakończeniu programu...

— To zależy od Pierwszego!

— On jest raczej z tych, co zostawiają za sobą martwą skałę. Będzie potrzebował odejścia godnego jego ambicji...

Jorick z ciekawością spojrzał na Zgodnego. Słabo znał Varla mimo zrozumienia, jakie łączyło go z tym bywalcem płyty. Może i tak było lepiej, gdyż wymagania emocjonalne Twórców straszliwie wykorzystywały przyjaźń. Varlo uśmiechnął się, jakby przeczuwał nie wypowiedziane pytania Deklamatora. Uspokajająco machnął ręką.

— Nie martw się niepotrzebnie, Deklamatorze. Przypomnij sobie analizę Pierwszego. Wbij sobie dobrze do głowy, że nie jesteś zwykłym pozorantem kierowanym czasami przez Zerta, a czasami przez Marzyciela. Wybieraj!

Jorick siedział w milczeniu. Ślizgacz pędził teraz w całkowitych ciemnościach. Z zewnątrz dobiegał stłumiony łomot, kiedy kadłub zderzał się z falą wyższą od innych. Zbliżali się do brzegu, ale wiedzieli, że minie jeszcze kilka godzin, nim płynąc z taką szybkością, dotrą do przylądka.

Przy pierwszych blaskach zorzy ślizgacz znalazł się w rozległej zatoce w kształcie cięciwy. Szeregi łysych gór wznosiły się ku niebu wypranemu z chmur. Regularny skraj brzegu

był jeszcze pogrążony w mroku. Jorick zdrzemnął się pod koniec podróży i ten nowy widok wywołał w nim krótką, lecz intensywną satysfakcję estetyczną. Choć raz nie miał do czynienia z dekoracją, ale z dziewiczym, niemal nierealnym pejzażem.

— Wjedziemy na płaskowyż tą przełęczą — zarządził Varlo.

— W jakiej jesteście odległości od bazy? — spytał Weteran swoim grobowym głosem.

— Nieco ponad pięćset kilometrów lotem ptaka, z tym że na Barduanie nie ma już ptaków — odparł Zgodny wesoło.

Maszyna zwolniła, zetknęła się z pluszczącą wodą w serii podskoków, wreszcie po zuchwałym manewrze wjechała na stożkowaty piarg, który przecinał stromy brzeg. Ujrzeni wkrótce nagą równinę smaganą jednostajnym wiatrem. Przed nimi rozpościerały się nikłe ślady roślin i pozostałości niskich wydm. Ślizgacz znieruchomiał i Jorick otworzył właz. Mimo szybko wschodzącego słońca temperatura była raczej niska. Bazę założono w najmniej niegościnnym miejscu olbrzymiego i jedyne go kontynentu tej planety. Pozostałe tereny wyglądały na jałowe. Życie było tam skąpe i niewątpliwie w podmorskich głębinach należało szukać nielicznych gatunków dzielących jeszcze między siebie biosferę Barduany.

Kosmiczna katastrofa, która praktycznie zabiła ten mały świat w czasach geologicznie niezbyt odległych, pozostawiła scenę pustą, ale nadającą się do wykorzystania. Bez wątplenia to właśnie usprawiedliwiało ich wtargnięcie na tę konającą planetę. Jorick zamknął właz i dał znak Varlowi. Na los szczęścia ślizgacz ruszył przed siebie.

Varlo uwielbiał pilotować. Po mistrzowsku rzucał się w najmniejsze zagłębienia czy uskoki, regularnie przecinające powierzchnię płaskowyżu. Te wąwozy były na ogół ślepyimi uliczkami, ale niekiedy rozszerzały się w pokryte pyłem doliny, gdzie zaczepiło się parę drzew o powyginanych pniach.

Właśnie w jednej z takich dolin odkryli pierwszą osadę.

Varlo natychmiast przyspieszył i zatoczył kilka kręgów wokół tej dziwnej oazy.

— Ani śladu życia — powiedziała Phalia. — Najwyżej trzydzieści domów.

— Są też tory kolejowe — odezwał się Przyuczony, bystrym wzrokiem penetrując ruiny.

Wyraźnie widoczne na piasku szyny oddalały się od osiedla i ginęły w głębi doliny.

W Joricka wstąpiło głębokie natchnienie. Zacisnął rękę na dłoni Phalii.

— Musimy wysiąść — powiedział.

Varlo strzepnął przyklejoną do kombinezonu ziemię. Wydawał się zniecierpliwiony, niemal wściekły.

— To nie ma sensu. Już ponad godzinę kręcimy się w kółko po tych ruinach.

— To nie są ruiny — zauważył Weteran — tylko dekoracje. Żadna budowla nie jest wykończona. Jak sami widzieliście, domy są zasugerowane, a nie zbudowane. Spójrzcie!

Jego mechaniczne ramię bez wysiłku podniosło budowlę, która rozleciała się w chmurze pyłu.

— Rzeczywiście, dachy przy rynku osłaniają tylko ubitą ziemię. Nie można nawet powiedzieć, że to jakieś prymitywne domostwa. Makiety bliżej bazy są bardziej kompletne — w zamyśleniu powiedział Jorick. — W tym możemy znaleźć rozwiązanie...

Phalia zmarszczyła brwi.

— Co masz na myśli? Ten biedny Marzyciel kręci się w kółko w swoich obsesjach...

— To nie takie pewne. W odległości ponad pięciuset kilometrów od bazy jego reprezentacje mogły przybrać inny obrót. Wyobraźcie sobie na przykład, że na tyle starannie wykończył pozorantów, aż nadał im zaczątek życia. Materia organiczna jest łatwa do syntetyzowania. Dodajcie do tego dzikie pragnienie odrodzenia się, a to wyjaśni, dlaczego osiedle nie jest wypełnione zwykłymi niekompletnymi pozorantami.

— Nie rozumiem cię — odezwał się zdziwiony Varlo. — Jakże to może wyjaśniać opustoszenie tego miejsca?

— Znaczy to, że jego mieszkańcy odeszli z własnej woli. Znajdziemy ich gdzie indziej...

Varlo parsknął piskliwie, aż wszyscy drgnęli.

— Zdaje mi się, że Deklamator jest pijany Barduaną. Pozoranci są żalonymi pajacami, ledwie ukształtowanymi, niekiedy zaprogramowanymi na wykonywanie określonych ruchów. Mówisz, jakbyś zapomniał wszystkie reprezentacje w szybie nieważkości, kiedy to tak ładnie manipulowałeś swoim światkiem cieni.

— Nie jesteśmy w szybie nieważkości — odparł Jorick, zawracając do ślizgacza. — Moim zdaniem należy jechać wzdłuż torów. Na pewno dokądś prowadzą. Weteran chyba się nie sprzeciwi.

Ślizgacz ruszył i z umiarkowaną prędkością jechał wzdłuż szyn. Na metalu nie widzieli śladów zużycia, co łączyło tę dziwną konstrukcję z logiką innych dekoracji: pozory pozbawione na razie funkcji. Ale wszystko mogło się szybko zmienić, Deklamator był o tym przekonany, toteż nie tracił czujności.

Tory rozdzieliły się w głębi doliny, potem inne dołączyły do poprzednich. Przed ich oczami roztaczała się prawdziwa sieć kolejowa.

Jorick oglądał to z rosnącym niepokojem. Tak czy owak, w tym pustynnym zakątku kontynentu makieta nabierała rozmachu. Wszystko mogło się tutaj zacząć w okresie, gdy oni pracowali nad programem „Stacja Końcowa”. Wydarzenia jednoczesne, ściśle ze sobą powiązane... Z jednej strony doświadczenia w zamkniętej próbowni kontrolowanej przez techników z szybu, z drugiej — swobodny rozwój tych samych tematów,

— Skupisko budynków — oznajmił Weteran.

— To stacja końcowa — powiedział Jorick, nie podnosząc nawet oczu — a raczej stacja „początkowa”. Ta, od której wszystko się zaczęło. Pomyliliśmy tylko epitety.

Ślizgacz stanął wśród szyn. Gwałtowny wiatr podnosił pył z pobliskich wydym i Jorick dostał napadu kaszlu, kiedy wyszedł z kabiny pojazdu. Jak sięgnąć wzrokiem, okolica była pocięta pustymi torami, błyszczącymi w nisko stojącym słońcu. Tumany piasku pędziły tuż przy ziemi i miejscami pokrywały urządzenia tej fantomatycznej stacji rozrządowej.

Dekoracje znajdowały się na swoich miejscach: wybetonowany, częściowo zasypany peron, wagonownie o zwęglonych wiązaniach, a pod zrujnowanym dachem sterczały kształty przewróconej lokomotywy. Był to widok z szybu nieważkości, tyle że bez aktorów. Pusta scena cierpliwie pożerana przez pustynię. Z załzawionymi oczami wrócił do ślizgacza.

— Nie ma tu nic do oglądania — powiedział zasapany. — Nic, czego byśmy już nie znali.

Varlo gorliwie przytaknął.

— Tak, tak! Wystarczy!

I dodał łagodniejszym głosem:

— Nie widzę tutaj nic poza jedną z wielu makiet, nawet jeżeli przypomina ona Stację Końcową. Program na tym może się skończyć, a ty niepotrzebnie doprowadzasz się do takiego stanu...

Jorick przerwał mu gestem.

— Może to nie jest jedyne tego rodzaju miejsce. Łatwo wyobrazić sobie inne, rozsiane w tych dolinach. Musimy brzegiem pojechać do bazy. Zjawisko zaczęło się tutaj, a teraz, zgodnie z logiką, cofa się do swego twórcy.

Varlo nie sprzeczał się. Pominąwszy pewne drobiazgi, przeczucia Twórców należało szanować. Ślizgacz zawrócił i okrążył wydmy, by dostać się do brzegu. Odkrycia, jakich stopniowo dokonywali podczas kolejnych etapów, istotnie potwierdziły hipotezę Deklamatora. We wszystkich osiedlach spotykanych po drodze nie widzieli żywego ducha, ale w odróżnienie-niu od pierwszej osady, ulice często były usłane zwłokami pozorantów. Ich żałosne szczątki, zbudowane z płótna, ciała i niekiedy z metalowych organów jak Przyuczeni, należa-



ło bowiem nazwać zwłokami, gdyż straszliwa woń zgnilizny unosiła się nad tymi cmentarzyskami.

Nagła śmierć pozorantów w szybie nieważkości nigdy nie wywierała na Joricku wrażenia. Była to dla niego abstrakcyjna zabawa. Syntetyczne ciało przypominające postać człowieka ginęło pod bezlitosnym mieczem scenariusza. Nawet masakra na Stacji Końcowej nie obudziła w nim nic poza samą emocją reprezentacji. Szyb oczyścili później Przyuczeni i nazajutrz można było znowu podjąć prace. Jorick przypuszczał, że szczątki organiczne spopieleno w podziemnych komorach oczyszczania.

Jedynie Weteran pozostawał niewzruszony w obliczu makabrycznych widoków. Znał dobrze pozorantów, zarówno z szybu nieważkości, jak i z linii fortyfikacji, gdzie mechanicznie wykonywali gesty walczących, zanim zneutralizowały ich ekipy oczyszczania. Mieli tylko pozory życia. Życia najbardziej powierzchownego, jakie mogło istnieć, a sprowadzającego się do czynności powtarzanej w nieskończoność. Wystarczyło przerwać tę jedyną działalność, by ich zabić.

W tych zsyntetyzowanych istotach Ailocy znajdowali jednak pewien przewrotny pierwiastek, który ich przerażał. Pod ubraniem, pod mundurami, jak i oni posiadały części metalowe, protezy. W pewnym sensie były zupełnie zmechanizowane i wyobrażały nieuniknioną starość Przyuczonych. Żadnych uczuć. Ani radości, ani cierpienia; pozoranci przedstawiali unicestwienie...

## SCENY Z ŁOWÓW

Ślizgacz toczył się po cichu uliczkami portu. Varlo zachowywał teraz wielką ostrożność, obawiał się bowiem broni ruinijskiej. Poprzedniego dnia przekroczyli granicę obwodu ochronnego, jaki otaczał bazę, i ich wyprawa dobiegała końca.

Na otwartym terenie ślizgacz nie lękał się ataku rakiet szperających, gdyż szybkość miał wystarczającą, aby umknąć spoza zasięgu niszczącego pocisku, ale wśród tych chwiejnych dekoracji możliwe były wszelkie przykre niespodzianki.

— Byłoby lepiej, gdybyśmy popłynęli morzem — szepnął Jorick, uważnie obserwując okolicę.

Pożar zupełnie spustoszył osiedle, a po pozorantach nie pozostał żaden siad. Katastrofa nastąpiła niedawno, gdyż ze zgliszczy wydobywały się jeszcze dymy. Wszyscy czuli zagrażające niebezpieczeństwo, ale nie mogli się oderwać od tych ruin, zanim nie odkryją jakichś śladów życia.

Przejechali wzdłuż grobli górującej nad szczytami najbliższych domów. Fale uderzały o tę przeszkodę z dźwiękiem podobnym do głębokich uderzeń w bęben. Naraz po prawej stronie, na wysokości podziurawionych dachów, coś się poruszyło.

— Uwaga! — krzyknął Varlo, koncentrując się.

Natychmiast włączyli napęd i ślizgacz gwałtownie skręcił. Skądś wynurzyła się olbrzymia, dymiąca maszyna i wysoko nad nimi jej groźna masa toczyła się w ich kierunku. Na kabine runął mur, unieruchamiając pojazd Runijczyków pod gradem kamieni. Weteran natychmiast zareagował z niezawodnością właściwą ludziom jego rasy. Wskoczył z pojazdu i za cenę nadludzkiego wysiłku ustawił go na statywie podpierającym, by przywrócić mu swobodę ruchów. Trwało to nie dłużej jak ułamek sekundy, ale wystarczyło, żeby uwolnić ślizgacza spod ruin.

— Lokomotywa z szybu nieważkości! — zawołał Jorick ze ściśniętym gardłem.

Przez cały czas w trakcie poszukiwań niejasno oczekiwał, że się pojawi, co miało niejako uzupełnić makietę Stacji Końcowej, a teraz oto znajdowała się przed nim, wzniesiona na metalowych szrudłach i buchająca parą ze wszystkich zaworów.

Wyraźnie widać było pomocników na górze potwora.

Krzętałi się, uczepleni lin, jakby chcieli utrzymać niepewną równowagę maszyny, która zastępowała Runijczykom drogę.

Weteran bez wahania podszedł do lokomotywy. Jego mechaniczna dłoń zacisnęła się z niezwykłą siłą na jednym ze szczudeł i zachwiała równowagę tej olbrzymiej ruchomej masy. Po sekundzie wszystko zachybotało i w snopach płomieni roztrzaskało się o groblę. Ale nad ruinami wyskakiwały już następne maszyny. Varlo daremnie próbował podjechać do Przyuczonego, otoczonego wściekle poruszającymi się kleszczami i kołami. Zgodny zręcznie lawirował, nie docenił jednak zwinności tych gigantycznych lokomotyw, zdolnych skoczyć w miejscu i unieruchomić jakikolwiek wrogi pojazd lasem łap i lin zamykających się jak klatka o ruchomych prętach. Nagle pojazd przywaliła masa żelaza, która dosłownie położyła się na nim w wyniku precyzyjnego manewru. Górna część ślizgacza zatrzeszczała.

— Zmiażdżą nas! — krzyknęła Phalia, usiłując się wydościć.

Nie mieli czasu, by naprawdę przestraszyć się tej ewentualności. Dwie zwinne postacie prześliznęły się do nich, wydając zwycięskie okrzyki.

— Okrhud pokonał bombę! — zawołał radosny głos.

Zdarto z nich odzienie, nim zostali odprowadzeni do otwartej na przestrzał wagonowni. Otaczający tłum starał się ich dotknąć lub uszczypnąć, jakby chcąc stwierdzić, że są istotami z krwi i kości. Strażnicy ospale przeciwstawiali się tym gwałtom i Jorick sądził przez chwilę, że zginą wszyscy uduśzeni brutalną ciekawością.

— To nie są Niekompletni! To nie są Niekompletni!

— Cicho! Odsuńcie się... Dumny jestem z was, Jeźdźcy. ..

Znaleźli się w środku rozkrzyczanego koła i Jorick uświadomił sobie swą nagość; zbyt wiele oczu w nich się wlepiało.

Przywódcą był młodziutki chłopak o dzikiej twarzy. Jak cień chodził za nim wybrudzony smarem wyrostek. Nie mieli już do czynienia z pozorantami. Ci wojownicy posiadali cał-

kowitą autonomię. Stanowili najbardziej fantastyczny sukces syntezy Marzyciela. Jedynie ich sękaty mięśnie i potężny kośćiec zdawały się nienaturalne.

Niewiele było kobiet w obozowisku pomyślanym na kształt okrągłej areny, otoczonej umieszczonymi na obwodzie maszynami. Z lokomotyw na szuczudłach nieustannie buchała para i utrzymywała w wagonowni wilgotne powietrze przepojone zapachem spalenizny.

— Oni należą do bomby. Trzeba ich zabić — odezwała się jakaś kobieta i podeszła do więźniów z metalową sztabą w ręku, wymachując nią jak bronią.

— Zaczekaj, Salma! Muszą powiedzieć.

— Okrhud chce skorzystać z naszego zwycięstwa — powiedziała kobieta z obraźliwą pogardą w głosie, odwracając się do reszty grupy. — Może ma zamiar sam zażyć rozkoszy z jasnowłosą kobietą. Podnieca go ta kreatura zdolna do życia w bombie...

— Okrhud zadecyduje...

Wyrostek powiedział to piskliwym głosem, ale jego słowa uspokoiły zebranych.

— A więc Akab chce się zabawić z więźniarką albo z tym, co jest nie większy od niego — upierała się kobieta, brodą wskazując na Varla.

— Jest jeszcze ten... Ranny... — powiedział Akab tym samym tonem.

Dwaj wojownicy położyli właśnie Weterana w środku kręgu. Brzydka rana otwierała się w okolicy pasa, ale nie wydawał się cierpieć. Twarz miał kredowobiałą i ledwie się ruszał, jakby był wciśnięty w niewidzialny gorset.

Phalia podeszła, łagodnie odsuwając Jeźdźca, który próbował ją powstrzymać. Pochyliła się nad konającym Ailotą.

— Weteranie, słyszysz mnie?

Metalowe ramię Przyuczonego uniosło się z trudem, po czym opadło w kurz. Życie opuszczało jego ciało — mechanizował się na ich oczach. Narządy mowy przestały już działać.

Scena ciekawiła tłum, ale decyzja należała do przywódcy, do Okrhuda, a ten zdawał się głęboko zamyślony. Wolnym krokiem podszedł do dwóch Runijczyków i stanął przed Deklamatorem.

— Nie jesteście istotami z bomby — odważył się Jorick odezwać zdławionym głosem. — Maszyna, którą zmiażdżyliście, jest wierzchowcem jak twój, tylko inaczej zbudowanym...

Okrhud wyciągnął rękę i z nieoczekiwaną siłą ścisnął Joricka za gardło.

— On mówi! Nawet za dużo. Jest jak Salma... Gaduła!

Wybuchły śmiechy. Sposób prowadzenia śledztwa podobał się wszystkim.

— Ty, podejdź tutaj!

— Ja?

Varlo ukradkiem rozejrzał się wokół. Wydawał się maleńki między tymi wesołymi olbrzymami.

— Tak, ty, człowieczku! Twój towarzysz twierdzi, że jesteście Jeźdźcami jak my...

— Jestem motorniczym. Znam maszynę lepiej niż wy...

Okrhud uśmiechnął się. Zdjął linę ze zwisającym na końcu chwytkiem i zakołysał nim przed nosem Zgodnego.

— Jeżeli rzeczywiście jesteście Jeźdźcami, zaraz będziesz mógł to udowodnić. Potrzebujemy ludzi zdolnych do pracy...

Dał znak i w głębi wagonowni poruszył się jeden z wierzchowców! W tym zamkniętym miejscu lokomotywa wyglądała jeszcze bardziej przerażająco niż na zewnątrz. Kuśtykała na granicy równowagi, otoczona chmurą pary. Jej palenisko czerwieniało w górze, a łapy coraz szybciej uderzały o ziemię.

Okrhud podszedł do niej, kręcąc nad głową chwytkiem. Maszyna skoczyła w bok, ale kotwica już leciała w stronę górnej części kadłuba. Kilkoma susami mężczyzna znalazł się na wysokości kotła i zasiadł na szczycie lokomotywy, przeszło dwadzieścia metrów nad ziemią.

— Teraz ty! — zawołał ze swej grzędy.

— No chodź tu z tym swoim żelastwem — mruknął po ci-

chu Varlo.

Zgodny był bardzo zwinny. Częsty pobyt na płycie i praca w szybie wyrobiły w nim szybką orientację i umiejętność wykorzystywania sytuacji. Nie było to w końcu bardziej skomplikowane niż stawienie czoła którejś z olbrzymich fal nadciągających z pełnego morza, a zdolnych złamać kręgosłup, gdy się rozbijają. Za pierwszym razem hak ześliznął się po gładkiej powierzchni wierzchowca i spadł. Varlo rzucił się na ziemię, łapy maszyny deptały zaś wokół niego. Udało mu się wstać i czekał na ponowny atak. Tym razem rzucony z większą precyzją hak zaczepił o coś. Ponieważ nie puścił go, został pociągnięty po piasku przez kilka metrów.

Krzyki Jeźdźców docierały do niego jak przez mgłę. To zabawa, zwykła zabawa. Nie trzeba tego traktować poważnie. Musiał jednak odzyskać równowagę, jeśli nie chciał zginąć stratowany. Odbił się mocno i zawisł w powietrzu z nieprzyjemnym uczuciem, że jest pajacem na sznurku. Chwycił jedną z łap, uczeplił się tłustego metalu i udało mu się stanąć na wąskim pomoście prowadzącym do kotła. Wszystkie twarze zwrócone były w jego stronę. Chociaż raz on grał pierwsze skrzypce w widowisku.

Odepchnął pomocnika trzymającego stery. Wierzchowiec zachwiał się, utrzymując równowagę na jednym szcudle. Varlo zmniejszył ciśnienie i szybko przesunął korbę kierowniczą. Ruchy przychodziły mu automatycznie. Zasady, jakie pozwalały tej olbrzymiej masie wisieć w powietrzu, były proste, a on doskonale znał lokomotywy z szybu nieważkości.

Objechał arenę dookoła uważając, żeby nikogo nie zranić. Pokaz był wystarczający. W atmosferze paniki ustawił wierzchowca na zewnętrznym kole. Pomocnicy naciągnęli liny, kiedy usztywnił szcudła w pozycji spoczynku. Dobiegły go okrzyki, które uznał za pochlebne. Czuł się dobrze, lepiej niż na płycie czy w kanale realizacyjnym, ale to wszystko nie mogło uzdrowić Weterana.

Kiedy Varlo zsunął się z wierzchowca, podszedł do niego

Okrhud. Tłum rozchodził się, a obozowisko przygotowywało się do snu. Mały Akab skłonił się kpiąco:

— Jesteś dobrym Jeźdźcem — powiedziało.

Okrhud wymierzył Zgodnemu dwa policzki i kuksańca, od którego zwinął się na ziemi. Wydawał się rozbawiony.

— Owszem, ale bez pozwolenia wziął mojego wierzchowca. Policzymy się później.

Ujął Phalię za ramię — dziewczyna zrozumiała, że opór byłby zbędny. Odwrócił się następnie do Joricka, który stał osłupiały na skraju areny.

— Wiem, że nie odejdziecie bez kobiety. Ona zostanie ze mną, a wy nie będziecie próbowali. Zajmijcie się waszym ranym towarzyszem. Umrze tej nocy. Pogrzebcie go, zanim się obudzę. Nie znoszę widoku Niekompletnych w obrębie obozu.

Budka na szczycie metalowego wierzchowca okazała się względnie przestronna. Była miejscem nadającym się na mieszkanie, blisko ciepła paleniska i wysoko nad pyłami z ziemi. Phalia rejestrowała wszystkie te szczegóły z dziwną ostrością. Długi pobyt na powietrzu Barduany wpływał jak środek pobudzający na jej zdolności postrzegania. Stała twarzą do Okrhuda, a Akab kręcił się koło niej, pozwalając sobie na dotknięcia. Chwytał skórę palcami i długo obmacywał jej nogi, jak gdyby chciał znaleźć jakieś braki.

— No więc? — spytał Okrhud szorstko.

— Ona jest naprawdę kompletna... Jak my.

Phalia zaprotestowała. Nie tyle krępowała ją jej nagość, ile niedyskretne oględziny chłopca.

— Przestań mnie obmacywać jak jakiś towar. To idiotyczne...

— Przecież twój towarzysz to Niekompletny! — zapiszczał Akab, nie przerywając badania.

— On należy do innej rasy!

— Tylko kompletne kobiety mogą rodzić dzieci — upierał się Akab, zwracając się do swego pana z pytającym wyrazem twarzy.

Okrhud odwrócił się. Wychylił się na zewnątrz budki, jakby obserwował obozowisko rozłożone w wagonowni.

— Zostaw ją, Akab, i daj jej jakieś ubranie. Za dużo tu niejasności...

Wyglądał na niespokojnego i Phalia zauważyła, jak bardzo miał młodzieńczą twarz. Miękki, jasny puszek porastał mu brodę, a w profilu była jakaś kruchość. Wciągnęła podany jej niechętnie kombinezon. Akab nie należał do potencjalnych sprzymierzeńców, to wydawało się oczywiste.

— Wiem o tobie trochę — powiedział poważnie Okrhud. — Nazywasz się Phalia, a twoim mężczyzną jest ten gaduła, który śpi gdzieś w wagonowni, o ile nie grzebie właśnie Weterana, tego straszliwie silnego mieszańca. Należycie do bomby. Chcecie niszczyć, ale my potrafimy się teraz bronić...

— Nie przyjechaliśmy, żeby niszczyć — zaczęła Phalia, przejęta intuicją rozmówcy. Nie zapomniała, że w taki czy inny sposób Marzyciel był obecny w świadomości stworzonych przez siebie istot. Okrhud odgadywał prawdę, nie potrafiąc jej jasno wyrazić. Nie czuła się jednak zdolna do odchylenia zasłony, jaka spowijała jeszcze ten umysł tak bliski stanu prymitywnego. Cóż mogła powiedzieć? Czy prawda była nawet pożądana w tych warunkach?

— Przybywamy z miasta leżącego bardziej na południu — mówiła dalej, na próżno szukając jaśniejszych sformułowań. — Wszystko wyszło stamtąd...

Akab zaśmiał się nieprzyjemnie:

— Tak! Między innymi bomby i ta choroba, która zżera Niekompletnych. To przekłete miasto, musimy je zniszczyć, póki nie jest za późno. Nie słuchaj jej, Okrhud, każde słowo to trujący jad. Weź ją teraz, a potem daj pomocnikom...

Okrhud niecierpliwie machnął ręką.

— Zamknij się!

Podszedł do Phalii i wziął ją w ramiona; bawiło go ściskanie jej w talii sękatymi dłońmi.

— Krucho jesteś, Phalio, a mimo to żywa. Życie rzadko się



tutaj spotyka; tylko trochę Jeźdźców i ich wierzchowce, reszta jest pozorem, snem, który chcemy zmieść z powierzchni tej ziemi. Akab ma rację, twoje słowa są kłamliwe i niebezpieczne. Wszystko, co należy do bomby, jest złe.

Pocałował ją mocno, aż Phalia krzyknęła. Strużka krwi perliła się na wargach w miejscu ugryzienia. Oczy Okrhuda rozszerzyły się, jakby w ułamku sekundy ukazał mu się przerażający widok.

— Wiesz, kim jestem? — spytał, rozluźniając uścisk, ale z tym samym śladem paniki w głębi oczu. Pytanie zabrzmiało szczerze.

Phalia zachwiała się. Otwierała się przed nią otchłań bez dna, a ona była bliska zemdlenia.

— Nie... Okrhud... Nie sądzę...

W tej chwili te trzy istoty były zjednoczone w takim samym zmieszaniu i każda z osobna próbowała odzyskać równowagę.

Akab. wydał z siebie jakby świst i czar prysł.

— Zapytaj ją, dlaczego rozbiera się osiedla w dolinach, dlaczego bomby powalają nasze wierzchowce, dlaczego na jednego Jeźdźca przypada dziewięciu Niekompletnych... Zapytaj ją o to wszystko...

Phalia zawahała się. Czowała, że nie może się już wycofać.

— Mogę odpowiedzieć na dwa pierwsze pytania.

Okrhud wskazał na legowisko w kącie kabiny.

— Położysz się między nami i będziesz mówić, dopóki nie zmorzy nas sen...

## WYMIANA

Dla Zerta czas przyjął kształt kolisty, podobny do leniwych wirów, jakie można było czasami dostrzec w obrębie podwodnego osiedla. Odkąd Marzyciel zamilkł, prace w szybie

nieważkości praktycznie przerwano. Programy będące w toku prowadzono nadal bez dalszego ich rozwoju, a obracały się one wokół starych, jeszcze nie wykorzystanych hologramów. Pierwszy zapoczątkował jednak powrót do projektu „Pałac Jednooki” w oparciu o własną miniaturową makietę. Główna idea została zachowana, ale nie miało to nic wspólnego z osobistymi majaczeniami Bargnama — tak przynajmniej myślał...

— Błysk!

Przyuczony podszedł po cichu.

— Zanieś mnie do kopuły obserwacyjnej, jestem za słaby.

Ailota nachylił się. Ujął w silne ramiona gasnące ciało i ostrożnie położył je w fotelu ze wznoszącą się nad nim przejrzystą kopułą, która górowała nad najwyższymi budowlami bazy.

Niebieskie słońce stało w zenicie i oświetlało krajobraz niczym bezlitosny reflektor. Ściana groźnych chmur wzbijała się z ziemi w miejscu, gdzie toczyły się nieustanne walki na liniach obrony.

— To zła wojna, trzeba jej zaprzestać — powiedział Błysk spokojnym głosem.

Stał nieruchomo u boku Pierwszego, ale czuło się w nim niezwykle podenerwowanie.

— To nie jest wojna — wyjaśnił Zert — lecz operacja oczyszczania. A zresztą projekcje Marzyciela stają się coraz rzadsze. Za kilka dni nic już nie będzie. Twoi bracia będą mogli zdemontować fortyfikacje...

— Ailoci nie powinni oddalać się z bazy. Nie wiedzą wtedy, co robią... — upierał się Błysk.

— Teraz to już kwestia godzin. Ekspedycja wysłana w głąb kontynentu powinna wkrótce wrócić z zebranymi informacjami.

— Nie przesłali komunikatu, może nie żyją!

— Deklamator nie znosi porozumiewania się na odległość. Dobrze robi, że milczy. Tak jest rozważniej...

Przyuczony odwrócił się. Pod jego upartym czołem toczy-

ła się gwałtowna walka wewnętrzna, ale Pierwszy udawał, że nic nie zauważył. Wiedział aż nazbyt dobrze, jak niebezpiecznie było pozostawiać Ailotów w bezpośrednim kontakcie z obcymi formami życia. Na dłuższą metę niezdarne projekcje Marzyciela, mogły nawet wywrzeć wpływ na zachowanie Przyuczonych.

— Zniż czujnik!

Niewielki ekran przekazał natychmiast obrazy pochodzące z pełnego morza. W odległych strefach, daleko poza obwo-dem ochronnym, krążyło stado morskich ssaków. Wyraźnie było widać wyrzucane nozdrzami fontanny, które rozpraszały się w mgłę ponad kłębiącymi się grzbietami.

— Porozumiewają się z Marzycielem, a raczej z mózgiem, który go kryje — powiedział Zert w zamyśleniu. — Możliwe, że nie doceniliśmy znaczenia tego dialogu.

— Jest konieczny, jeżeli nie chcemy zabić miecznika — zauważył Błysk. — Marzyciel to tylko maleńka iskierka w ob-cym mózgu.

Czujnik ruszył na poszukiwania, izolując ruchome obiek-ty, jakie się przed nim pojawiały. Z tej odległości stado wielo-rybów wydawało się bardzo duże, rzekłbyś, pokrywają ocean aż po sam horyzont. Ciemne masy rozmaitej wielkości poru-szały się leniwie, jakby nieczułe na fale. Mimo ogromnych rozmiarów sprawiały wrażenie zwinnych i szybkich.

— Nie znamy większych zwierząt w ekosystemie tego ty-pu — powiedział Zert. — Nawet olbrzymie gady są mniejsze, a ich mózg jest o wiele prostszy od mózgu tych ssaków przysto-sowanych do życia w wodzie. W tej sytuacji da się może wytłumaczyć fakt, że Marzyciel rozpułnął się w świecie ze-wnątrznym rozleglejszym niż jego. Straciliśmy go przez niedo-patrzenie...

Błysk ożywił się. Nie znosił zawiedzionego tonu Pierw-szego.

— Marzyciel ciągle tutaj jest. Wysyła swoje hologramy na zewnątrz szybu, ale wystarczyłby może szok mentalny, żeby

zmusić go do współpracy...

Zdawało się, że spojrzenie Zerta przechodzi przez nieruchomego Ailotę i gubi się w dali.

— Zniszczenie makiety Bargnama naruszyło cały nasz program i w tej chwili włączamy się w zewnętrzne projekcje Marzyciela. Trudno mi sobie wyobrazić konsekwencje jakiegogoś nowego wtargnięcia, nawet jeżeli okaże się ono niezbędne...

Dał znak i Przyuczony pomógł mu opuścić fotel w kopule obserwacyjnej. Zert wydał coś w rodzaju szybko powściągniętego jęku.

— Czuję się straszliwie osłabiony... Sądziłem, że mam przed sobą jeszcze kilka tygodni, ale proces starzenia uległ przyspieszeniu.

Twarz Przyuczonego pozostała bez wyrazu. U ludzi jego rasy jedynie ruchy kończyn i intonacja głosu zdradzały wzruszenie.

— Przecież testy fizjologiczne są w normie — powiedział krótko.

— Nie próbuj mnie uspokajać. Znam dokładnie symptomy sztucznego starzenia.

— Krzywa się załamała — przyznał Błysk. — Ale bardzo możliwe, że na jakiś czas ustali się na zadowalającym poziomie.

Napad słabości Pierwszego zbijał go z tropu, gdyż nie miał żadnego sposobu, by przeciwdziałać temu, co dotyczyło go tylko pośrednio.

— Trzeba będzie ustąpić, a misja jeszcze nie zakończona... Umrzeć, podczas gdy miecznik może żyć jeszcze pół wieku z tą niemą świadomością zamieszkującą jego mózg...

— Decyzja należy do ciebie.

— Wiem, dobroczynne samobójstwo. Wszyscy czekają, aż to zrobię, żeby wreszcie przerwać ten okropny koszmar.

Ailota poruszył rękami, jak gdyby chciał znowu podnieść słabe ciało, które właśnie złożył w fotelu. Postawa szefa bazy

stanowiła dla niego prawdziwą męczarnię.

— Barduana może zniknąć razem z tobą, jeżeli będziesz chciał... — powiedział po chwili wahania.

Zert zaśmiał się sucho.

— Trzymam w ręku wszystkie stery i zabija mnie właśnie ta nieznośna władza. Walka staje się nieludzka, nie mam już prawa do najdrobniejszego błędu. Głównym atutem naszej cywilizacji jest jej zdolność do analizy i okresowe kierowanie uwagi na nie zbadane obszary wiedzy. Nieustannie szukamy nowych sposobów wyrazu, nowych znaczeń w dziedzinach, które zdają się być ich pozbawione. Marzyciel nie zastanawia się i niczego nie planuje. Bawi się ubogimi fragmentami swej pamięci i to uparte działanie, niemal ślepe, daje mu olbrzymią siłę. Zazdrościłbym mu jej, gdybym miał przed sobą jeszcze choć odrobinę życia!

— Trzeba spróbować nawiązać kontakt z Marzycielem — powiedział Przyuczony, rozwijając jakąś własną myśl. — Ta wojna przeciwko niekompletnym projekcjom niczego do misji nie wnosi...

Zert potrząsnął głową:

— Ty też ograniczasz się do kilku podstawowych pojęć. Jeżeli jest to wojna, to nie nasza, postaraj się zrozumieć...

Ponieważ Błysk odwracał się, dodał jeszcze, jakby chcąc złagodzić tamte słowa:

— Odwiedzę Marzyciela w basenie. Musi się nudzić bez czarującej Phalii i jej aktualnego cienia, Deklamatora Joricka... Nie mamy możliwości nawiązania kontaktu z Marzycielem. Lewa półkula, gdzie powstaje mowa, jest definitywnie zniszczona. Trzeba spróbować zrozumieć go poprzez jego hologramy albo prymitywne uczucia...

W towarzystwie trzech innych Przyuczonych Sfinks jechał korytarzem 20, prowadzącym na stanowiska ogniowe na falochronie. Posuwaniu się tramwaju w tunelu towarzyszył znaczny odpływ powietrza i wszyscy zamykali oczy, wstrząsani w starym pojeździe szynowym. Od kilku dni żyli jakby w

transie.

Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie w danej chwili znajduje się nieprzyjaciel. Dopóki hologramy materializowały się przed fortyfikacjami, sytuacja była jasna. Należało niszczyć wszystko, co się ruszało, a nie sprawiało to trudności, tak kruche były istoty niekompletne. Od kilku dni jednak sprawy się skomplikowały. Pozoranci pojawiali się w podziemiach, jak gdyby do nich należały. Ich zachowanie niekoniecznie było agresywne, a czasami wydawało się, że chcą bronić linii u boku Przyuczonych. Identyfikacja zaczynała wymagać ostrożności, ponieważ te sztuczne istoty z powodzeniem naśladowały zachowanie, a nawet wygląd Ailotów.

W tych warunkach musiano zachować podejrzliwość. Kiedy mijały się dwa konwoje, zgodnie z rozkazem należało sprawdzać tożsamość kierowcy posiadającego kod elektroniczny. Sfinks słabo rozumiał grunt, na jakim przyszło mu się odtąd poruszać. Nie potrafił pojąć intencji szczątkowych maszyn, sensu walki, która na niczym się nie koncentrowała, wykonywał zatem rozkazy bez zastanowienia.

Każde polecenie wypowiedziane wyraźnym głosem stanowiło podstawę działania. W tej chwili miał się udać na stanowisko ogniowe w bloku 4, zaopatrzone w dwa połączone działa, które był w stanie sam jeden bez przerwy ładować. Po drodze wraz ze swymi towarzyszami powinien „oczyścić” podziemia, gdyby stwierdzili pojawienie się jakiejś niekontrolowanej działalności.

Ailoci nie rozmawiali ze sobą. Nazbyt źle się czuli w tym dziwnym otoczeniu, w jakim, musieli przebywać. Zert wie, co robi. To Twórca, i to najbardziej przenikliwy z Twórców. Skoro trzeba się pogrzebać w tych nie kończących się korytarzach, wśród makiet naturalnej wielkości zrodzonych z mózgu Marzyciela, żeby misja posunęła się do przodu, rzecz jest zrozumiała. Zgadzała się na wszystkie niebezpieczeństwa wyprawy i pracowali jak w szybie nieważkości: z jednej strony materializacja hologramów użytecznych, z drugiej — metodyczna eli-

minacja śmierci i ozywionych pozorantów.

Tramwaj zwolnił na rampie prowadzącej do ostatniej nastawni zwrotnic. Stanowisko walki było już niedaleko. Głuche detonacje broni palnej napełniały podziemia potężnymi i kłócącymi się ze sobą echami. Sfinks zeskoczył z wagonu, a jego ciężkie nogi uderzały o siebie w niezdarnym biegu. Zauważył właśnie jakiś nienormalny ruch w przyległym korytarzu.

— Dołączysz do nas w bloku? — spytał motorniczy, nie zwalniając.

— Tak, w bloku 4...

Było to coś więcej niż cyfra. Naznaczone spotkanie z lśniącoymi działami zamkniętymi w stalowej kopule i ze stłumionym toceniem się łusek po pochylni, która wiedzie do podziemi. Informacje nadchodzące ze stanowisk obserwacyjnych trzaskają w słuchawkach, szybko obracają się dźwignie celowników i skrzypią wyciągi dostarczające amunicję. Dla Ailoty dział stanowiło uspokajający dodatek, pozwalało zapomnieć puste korytarze, a w nich niepokojące wizje. Ale należało wykonać rozkazy...

Jego buty stuknęły o wybetonowany grunt. Nie próbował przejść niepostrzeżenie. Wręcz przeciwnie, miał skrytą nadzieję, że ten ktoś niepożądany, kogo wykrył wbrew sobie, zniknie, a on będzie mógł jak najszybciej wrócić na platformę celowniczą do znanych mu urzędzeń, które wydawały mu się jakby automatycznym przedłużeniem jego zmechanizowanego przez starość ciała.

— Kto idzie?

Spośród dwóch zawieszonych u pasa broni wybrał bardziej prymitywną, zgodnie z zaleceniami Twórców. Rewolwer był narzędziem prostym i bardzo wygodnym przy pozbywaniu się pozorantów. Usłyszane wezwanie nie brzmiało jak rozkaz i musiał sprawdzić...

— Stój!

Tym razem Sfinks znieruchomiał. Dwie postaci zastąpiły mu drogę na zakręcie korytarza. Ailota dosłyszał natychmiast

falę rozmaitych dźwięków, które kojarzyły się z wypoczywającym oddziałem. Musiał sprawdzić, czy zgromadzenie to jest zgodne z przepisami.

— Ależ to Dieter! — powiedziała jedna z postaci, opuszczając broń.

— Co ty tu robisz? — spytała druga, podchodząc do Przyuczonego.

Sfinks próbował rozważyć to wszystko, ale sprawy rozwijały się za szybko. Zupełnie jak na płycie. Nigdy nie informowano go o specjalnych zezwoleniach na wyjście i zaskakiwały go pokazywane przepustki. Bez oporu dał się pociągnąć tym dwóm osobnikom.

Pomieszczenie wypełniali leżący żołnierze. Na tyle, na ile mógł dojrzeć, byli to Przyuczeni, ale identyfikacja wymagała dużej ostrożności. Trzypiętrowe łóżka dochodziły aż do ociekającego wilgocią sklepienia. Lampka nocna rzucała rozproszone światło.

— Przestraszyłeś nas — powiedział jeden z ludzi. — Znasz przecież rozkazy...

— Tak, znam rozkazy... — wolno odparł Sfinks.

W głębi duszy wiedział, że ma do czynienia z projekcjami Marzyciela, ale złudzenie było zbyt doskonałe. Nie mógł posiąć zniszczenia w tym pełnym zgiełku pomieszczeniu, gdzie najwyraźniej miał swoje miejsce.

— Położyłem rzeczy na twoim łóżku — szepnął mu jakiś głos tuż przy uchu.

— Tak, oczywiście...

Pod przykryciami Sfinks domyślał się pustych worków istot niekompletnych, nie miało to jednak znaczenia. Tutaj nazywano go Dieter, a gdzie indziej Sfinks. I tak nie było to jego prawdziwe imię. Schował rewolwer. Z dolnych łóżek dobiegały chrapliwe oddechy, był na swoim miejscu w tym ciasnym inkubatorze i nikt już się o niego nie troszczył.



## WTAJEMNICZENIE

Weteran zmarł w nocy. Jego stawy szybko się zmechanizowały, ale dopiero dużo później wybuchła mu twarz, ukazując pod warstwą skóry wszystkie pseudometalowe zespoły Przyuczonych, których życie dobiegło kresu.

Jorick nie reagował. Nie obchodziły go rozkazy Okrhuda i z fatalizmem podzielanym przez Varla czekał na awanturę,

— Długo nie wytrzymamy — westchnął Zgodny.

Leżał na piasku i wydawał się liczyć belki wagonowni.

— Popelniliśmy błąd — odezwał się Jorick. — Nie wiadomo przecież, czy barduańskie upojenie jest nieuniknione. Istnieje tysiąc sposobów, żeby się z tego wykaraskać, a biedny Weteran na pewno nie przypuszczał, że zginie pod lokomotywą wznoszącą się na szczydłach. Dla mnie jest to problem uboczny...

Varlo nie odpowiedział. Obserwował obozowisko. Nikt nie zwracał na nich uwagi, gdyż dla wszystkich jasne było, że dwaj obcy nie mogą uciec bez swojej towarzyszki.

Ta ufność wręcz wzruszała.

— Phalia pracuje... — parsknął Varlo. — Lepiej pogrzebmy Weterana. Pewien jestem, że ten kacyk straszliwie się złości.

Jorick machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

— Nie, lepiej zaczekać. Twój pokaz na maszynie wywołał wrażenie. Jestem przekonany, że nasze położenie nie jest złe.

— Jakież ciekawe sformułowanie! I to mówi Deklamator...

Rozległy się kroki, podnieśli się więc. Przyszedł Akab — jego obecność nie miała w sobie nic przyjaznego.

— Wasz towarzysz nie żyje?

— Tak, sam zobacz... — powiedział Jorick.

Wyrostek drgnął, pochyliwszy się nad ciałem Przyuczonego.

— Przecież to Niekompletny. Ma kończyny z metalu...

— My nie grzebiemy Przyuczonych — oznajmił Varlo, mrużąc oczy. — Wykorzystujemy ich organy mechaniczne. To coś w rodzaju hołdu...

Akab zdawał się zafascynowany nieruchomym ciałem Ailoty.

— Co z nimi robicie?

Varlo mówił, jakby zwracał się do zorientowanych słuchaczy:

— Na początku naszego związku Twórcy wykorzystywali kończyny Przyuczonych do wyrobu nowych narzędzi. Teraz jest to raczej teoria, ale w grę wchodzi także estetyka. To kwestia ewolucji...

Jorick zapalił się do gry.

— Szczudła waszych wierzchowców działają jak nogi Przyuczonych. To jedna rodzina...

Akab uśmiechnął się podejrzliwie.

— Wiem, Gaduło. Wasza towarzyszka powiedziała nam wszystko. Moim zdaniem, bardzo zręcznie posługujecie się kłamstwem...

— Robisz błąd, że nie wierzysz — żywo odezwał się Varlo.

Schylił się nad zwłokami Weterana i kilkoma sprawnymi ruchami odczepił jedną nogę, pociągając w okolicy uda. Z chichotem zakołysał zdobyczą przed nosem Jeźdźca:

— To już nie jest nasz towarzysz, tylko pozostałości po nim... Możesz dotknąć...

Nieskończenie, ostrożnie Akab zagarnął kończynę. Wyraźnie wywarło to na nim wielkie wrażenie, ale jego zdolności adaptacyjne działały cudownie.

— Ciało Przyuczonego jest odtąd moją własnością — oświadczył stanowczym głosem. — Dla mnie jesteście Niekompletnymi i zasługujecie na śmierć. Ale Okrhud niezupełnie zgadza się ze mną. Kobiety czy też ich pozory mają straszliwą moc.

Czyhał na jakąś reakcję, ale Jorick daleki był od tego ro-

dzaju uczuć.

— A więc Phalii udało wam się wytłumaczyć...

Akab odwrócił się i przywołał kilku najbliższych Jeźdźców. Wreszcie zwrócił się do Runijczyków:

— Należycie do naszego oddziału. Varlo będzie kierował wierzchowcem, a Jorick ma dorzucać do kotłów na innej maszynie... Taka jest wola Okrhuda!

Wierzchowce stawały wśród nie kończących się gwizdów. Pomocnicy biegali wokół nich naciągając liny, które umożliwiały uzyskanie początkowej równowagi będącej warunkiem poruszania się. Maszyna Okrhuda wyszła pierwsza z wagonowni. Dorzucanie do ognia było rzeczą prostą, ale wyczerpującą. Wystarczało ładować do otworu paleniska opał złożony w pobliskim metalowym leju.

Towarzyszem Joricka był młodziutki chłopiec o twarzy pociemniałej od dymu. Zdecydowanie wydawał polecenia, nadzorując równocześnie ciśnienia w kotle. Praca była ciężka na wąskiej metalowej kładce, twarzą do płomieni, które buchały kłębami z kotła. Jednakże w tej tak dziwnej sytuacji Deklamator odczuwał coś w rodzaju podniecenia. Dawało się to porównać z przyjemnością realizacji, a na dodatek doznawał wszystkich przeżyć związanych z obecnością surowca.

— Przypuszczam, że przy odjeździe podłożycie ogień w wagonowni — powiedział, zwracając się do swego milczącego towarzysza.

— Możliwe... Decyzja należy do naszego przywódcy, Gaduła.

— Jestem Deklamator, a nie „Gaduła” — sprzeciwił się Jorick, zirytowany przezwiskiem zaczynającym doń przylegać.

— Używasz słów, żeby przewidywać, a nie żeby opowiadać, prawda?

— Można i tak powiedzieć...

— No więc na jedno wychodzi.

Rozmowa na tym się urwała i Jorick miał zaledwie czas, by spojrzeć na olbrzymi pożar, który przenosił się z dachu na

dach, podsycany przez wiatr od morza. Jeźdźcy opuszczali osiedle w wielkim pośpiechu. Zdawali się kierować ku jakiemś określönemu celowi, a Deklamator czuł, że Phalia miała w tym swój udział.

Posuwali się nierównym, gwałtownym krokiem. Łapy traktujące rytmicznie ziemię wprawiały w silne wibracje metalową masę zawieszoną ponad dwadzieścia metrów nad ziemią. Belki i barierki otaczające kocioł śpiewały niczym płytki jakiegoś instrumentu muzycznego, gdy oddział całym pędem przemierzał wydmy.

Metalowe wierzchowce cudem funkcjonowały. Jorick wiedział, że u robotów utrzymanie równowagi na wąskim trapezie nośnym składającym się z dwóch nóg stanowi problem niesłychanie złożony. A w tym właśnie wypadku rozwiązania wydawały się wyłącznie mechaniczne. Dwa główne szczudła umożliwiały poruszanie się, wspomagały je zaś inne, bardziej giętkie, kiedy nierówność terenu naruszała równowagę ciężkiego zespołu. Działanie tak bardzo zależało od przypadku, że nie można było się powstrzymać od podejrzenia mózgu u tej niewiarygodnej maszyny.

Od spotkania z Jeźdźcami Jorick postawił pewną hipotezę, która pozwalała temu nowemu światu „mieć sens w pełnym znaczeniu słowa. Nie istniały tutaj normalne prawa fizyczne. Materia i życie pojawiały się na pozór przypadkowo w toku reprezentacji Marzyciela, potem powoli doskonaliły się i znajdowały równowagę, przystosowując się do rzeczywistości. Jeźdźcy odgrywali rolę superłupieżców w dżungli maszyn i pozorantów mniej lub bardziej zdolnych do życia. Wszystko to stworzył Marzyciel, ale poziom był zróżnicowany, jak gdyby jego dzieło zamierzało stać się całością razem z oprawcami i ofiarami. Niekompletni stanowili dla wojowników na wierzchowcach element niezbędny do życia — zwierzynę łowną. Nie była to wojna wewnętrzna, lecz poszukiwanie równowagi. Jaka jest w takim razie rola ludzi z Runy? Czy wystarczy dla nich miejsca w tej „realizacji”, która wymyka im się całkowi-

cie?

— Dosyć, Gaduło. Ciśnienie jest już odpowiednie — powiedział pomocnik, jak gdyby Jorick na głos rozmyślał.

Deklamator zorientował się, że jego towarzysz ma na myśli polana machinalnie ładowane do paleniska. Zaprzestał pracy. Przewisko nadane mu przez Okrhuda wydawało się pasować do niego równie dobrze, jak sprawowana funkcja. Może i był to dobry znak.

Kolumna posuwała się po wydmach wzdłuż brzegu morza. Na czele znajdowała się, maszyna Okrhuda. Jorick domyślał się gromady pomocników wokół kabiny maszynisty, ale nie widział tam Phalii. Czy na swój sposób znalazła dla siebie rolę?... Rolę pięknej branki, której inne kobiety zazdroszczą, albo więźniarki, będącej w posiadaniu jakiejś tajemnicy życia? Dekoderka umiała kierować i nie przypadkiem znalazła się u boku Okrhuda po długim okresie przestawiania z istotą z basenu.

Etap był wyczerpujący i przeciągnął się aż do późnej nocy. Na plaży rozpalono duże ogniska, aby wskazać drogę tym, co zostali w tyle. Szybko rozkładano obozowisko według metody niewątpliwie już wypróbowanej. Większość oddziału wprowadziła swoje wierzchowce do morza. Wyprężone na szrudłach maszyny połączono między sobą sprężystymi pomostami i linami. Równowaga całości przypominała jakiś gigantyczny domek z kart wzniesiony na los szczęścia.

Na samym brzegu znajdowały się tylko regularnie rozłożone ogniska. Po wydmach, stanowiących niewyraźną linię obrony, krążyło kilka ruchliwych patroli. W tej odległości od bazy największym niebezpieczeństwem były szperacze — „bomby”, jak je nazywali Jeźdźcy. Obronę zręcznie pomyślano. Założono, że pociski kierują się najpierw do najbardziej ożywionej strefy obozowiska: do olbrzymich ognisk, wokół których poruszali się pomocnicy wśród wielkich stert opału wyładowanego z wierzchowców. Stanowiły one przynętę, gdyż siły zdolne unieszkodliwić mordercze pociski pozostawały w

cieniu, gotowe wkroczyć do akcji.

Szczudła wierzchowca Joricka niepewnie mąciły wodę. W powietrzu przelatowały haki dzwoniąc o kotły, nim zaczepiły się o któryś kadłub. Pomocnicy jak akrobaci poruszali się w tej pajęczej sieci. Nie wiedział, jak im pomóc, a wszyscy zdawali się o nim nie pamiętać.

Przechylił się przez barierkę, starając się przebić wzrokiem chlupiącą głębie, gdzie ludzie Okrhuda umacniali stabilność tej dziwacznej morskiej osady. Poczł ciężką dłoń na ramieniu. Odwrócił się, gotów do obrony. Był to Akab — dostał się na pomost, wykorzystując jakąś linę rozciągniętą w powietrzu. Jorick poczuł niesmak. Wyrostek skorzystał z długiego etapu, by sporządzić sobie szczególnego rodzaju przyrząd. Ręka, która spoczęła na ramieniu Joricka, była w rzeczywistości masywnym metalowym przedłużeniem kończyny, starannie dopasowanym do przegubu. Podwajało to niejako długość prawego ramienia i nadawało Akabowi podejrzany wygląd kraba o jednym odnózu.

— Wykorzystałem twoje nauki, Gaduło — rzekł Akab. — Jak słusznie powiedziałaś, wszystko to należy do jednej rodziny. Sam to stwierdziłem, majstrując szczudło.

Joricka zaszokowało nie tyle użycie kończyny Weterana, co niewiarygodna łatwość, z jaką młody wojownik sfabrykował sobie tę osobistą broń, nawiązując w ten sposób do dawnych runijskich tradycji.

— Moje gratulacje — wymówił z trudem. — My już od dawna nie wykorzystujemy zwłok naszych braci Przyuczonych.

— To wielka szkoda i będziecie musieli zrewidować swoje poglądy na Jeźdźców. My się przystosowujemy do nowych sytuacji, wbrew poglądom Phalii. Twoja przyjaciółka dużo nam powiedziała. Myślę, że przyniosło jej to ulgę. Myśmy i tak odgadli to, czego umyślnie nam nie wyjawiała. Okrhud chce wam powierzyć pewną misję. Pospiesz się, czas nagli...

Wepchnięto go do czegoś w rodzaju elastycznego klosza,

który zakołysał się gwałtownie między na wpół zanurzonymi w wodzie wierzchowcami. Nie było prawie wcale światła i Jorick rozróżniał tylko czerwieniejące otwory palenisk i ogniska na plaży, rozrzucone przez wiatr w snopy iskier.

Varlo i Phalia czekali już w kabinie Okrhuda. Na obydwójgu odcisnęły się trudy dnia i Jorick zastanowił się, czy i on ma równie rozgorączkowane, niemal nieprzytomne oczy. Zaczynały być widoczne efekty długiego pobytu na powietrzu Barduanu.

— Wszyscy troje należycie do świata bomby — zaczął ponuro Okrhud. — Ta kobieta utrzymuje nawet, że nasze istnienie związane jest z istnieniem jakiegoś zamkniętego w basenie zwierzęcia morskiego, które nas wszystkich spłodziło dzięki jakimś wyższym mocom.

Akab zaśmiał się drwiąco, a jego sztuczne ramię zakreśliło groźnego młynka w kierunku Varla udającego, że opiera się o balustradę.

— No jasne. Oni może i mówią prawdę, ale czy są w stanie wyjaśnić swoją obecność tutaj?

— Przybywamy z innego świata, podobnego do waszego, a tutaj materializujemy sny tej istoty morskiej, która jest dla nas zwykłym przedmiotem badań — powiedział Jorick, świadom trudności, jakie nastęrczało racjonalne wyjaśnienie ich obecnego położenia.

Okrhud zmarszczył brwi. Wydawał się znudzony tymi wszystkimi oracjami.

— Tak, tak, to pojąłem. Nie musisz rozwijać tematów Dekoderki. Kto nam udowodni, że wy sami nie jesteście projekcjami tej istoty? Gdybym posłuchał moich ludzi, kazałbym wierzchowcom zdeptać was, a pozostały na piasku ślad szybko by zniknął, jak po wszystkich Niekompletnych Niszczonych po drodze.

Phalia postąpiła krok do przodu. Ledwie trzymała się na nogach i Akab uczynił gest, który wszystkich zaskoczył. Podtrzymał dziewczynę z pełną rezerwy niezawodnością, jaka

charakteryzowała Przyuczonych, kiedy przychodzili Twórcom z pomocą. Odziedziczone po Weteranie przedłużenie ramienia zachowało swoją życiową funkcję, tego jednak ludzie Okrhuda nie mogli wiedzieć.

— Jesteśmy więźniami reprezentacji Marzyciela — szepnęła Phalia, patrząc Jorickowi prosto w oczy. — To ostateczny etap długiego procesu wymykania się, jakiemu w mniejszym lub większym stopniu sprzyjaliśmy. Nasze obecne położenie musimy rozpatrywać zgodnie z brzmieniem scenariusza, a nie jako eksperyment, nad którym panujemy...

Myśli kłębiły się w głowie Deklamatora. Na razie jasno widział tylko ich niewolę, ale dziwnie zrezygnowane zachowanie Dekoderki przekształcało zasadnicze elementy problemu. Dziewczyna odgadła istnienie jakiegoś nowego szczegółu i starała się ujawnić go swoim towarzyszom, nie wzbudzając nieufności Akaba. Okrhud natomiast był zamyślony. Wydawał się nie ulegać narastającemu wokół niego napięciu.

Jorick intensywnie wpatrywał się w jego nieodgadnioną młodzieńczą twarz. Czy istniała możliwość poruszenia tego umysłu leżącego odłogiem?

W kabinie wyraźnie było słychać hałasy obozowiska. Na okolicznych wzgórzach ogniska chylły się pod podmuchami wiatru i wyrzucały iskry w ciemności.

— Nie pragniemy władzy — odezwał się Jorick.  
Okrhud drgnął.

— Oczywiście, domyślam się. Nie szuka się tego, co się już ma. Ale jak zrozumiałem, zależy od jakiegoś władcy absolutnego. I właśnie on chce wojny, a nie ten, którego nazywacie Marzycielem.. Uważnie słuchałem tej dziewczyny. Pewnie, że ona nie należy do Niekompletnych, ale mimo to jest kierowana z zewnątrz, podobnie jak próżni w środku pozoranci uniecznieni jednym prztyczkiem.

Wpatrzył się w Joricka z dziwnym półuśmiechem.

— Zdaniem Phalii, jako Deklamator, mógłbyś właściwie przewidzieć, co powiem, albo wybrać spośród reakcji tę, która



ci najbardziej w tej chwili odpowiada. Włóż zatem w moje usta to, czego się spodziewasz...

Brzmiało to jak wyzwanie i Jorick stał zbity z tropu.

Okrhud mówił dalej:

— Ten świat jest jak droga, ale wbrew temu, co możecie sądzić, nic nie zostało z góry zapisane. Po każdym etapie czujemy się coraz pewniej, podczas gdy wam to środowisko jest obce. Dowodzi tego fakt, że zabija was powoli. Będziecie musieli zdecydować się na odejście...

Jorick pokiwał głową. Słowa Jeźdźca potwierdzały to, co zawsze myślał o projekcjach Marzyciela. Nie mieli do czynienia ze zwykłą symulacją, odkąd pracowali choćby na szczątku żywego mózgu. Okrhud posiadał po prostu zupełną autonomię, jednakże stwierdzenie to, dalekie od wyjaśnienia tajemnicy, czyniło ją jeszcze głębszą. Nad bazą i całą załogą wyprawy zawisł teraz cień.

Akab wtrącił się, jak gdyby obawiał się obrotu, jaki przybierała rozmowa:

— Złe siły są w morzu. Trzeba zniszczyć biało-czarne zwierzę, zanim ono nas zniszczy.

— Zamknij się, Akab!

Nakaz przywódcy Jeźdźców był nieodwołalny i czuło się, że wybiega daleko poza obecną chwilę.

— Podjąłem decyzję, która nie ucieszy moich ludzi — powiedział Okrhud poważnym głosem. — Pozwolę wam odjechać na jednym wierzchowcu. Wróćcie do bazy, jak pierwotnie przewidywał wasz szef...

Ciężkie milczenie zawisło nad zebranymi. Okrhud uzupełnił swoją myśl:

— Wymagam tylko jednego: żebyście zniknęli. Pozostawiam wam wybór drogi, która do tego doprowadzi... Odjedźcie o świcie. Akab zajmie się szczegółami...

Uczynił trzy kroki w kierunku Deklamatora.

— Czy mówiłem zgodnie z twoimi przewidywaniami? — zapytał.

Jorick wytrzymał napięty wzrok chłopca.

— Tak, w pewnym sensie, ale to mnie nie uspokaja...

## POWRÓT DO PUNKTU ZERO

Szczury pojawiły się w pobliżu najdalszej strefy ochronnej bazy, na ulicach jednego z miast złożonych ze ścian frontowych. Wynurzały się z ruin małymi grupkami. Ich postawa nie była zdecydowanie wroga. Z mordką tuż przy ziemi i spuszczonego ogona, przetrząsały okolice zburzonych domów, jak gdyby przemierzały znane im tereny.

Leżący na piasku Varlo obserwował je. Jorick i Phalia spalili nieco dalej, wyczerpani długim nocnym etapem przez wydmy. Żelazny wierzchołek, ze złożonymi wszystkimi łapami, pogwizdywał od czasu do czasu, regulując wewnętrzne ciśnienie. Wszystko było dziwnie spokojne, a mimo to groźne.

Szczury nadciągały chyba w poszukiwaniu jedzenia, ale nie miał co do tego pewności. Spustoszone miasto stanowiło tylko niezamieszkały abstrakcyjny układ figur, pozbawiony śladu zgnilizny organicznej. Może gryzonie wyczuły, że obecność tej poruszającej się maszyny oznacza możliwość przetrwania? Toteż metodycznie przeszukiwały zniszczone tereny bez jakiegoś określonego celu..

Wszystkie wyludnione osady, jakie we trójkę przebywali opuściwszy obozowisko Okrhuda, odpowiadały schematowi wyjściowemu, który podlegał mniejszym bądź większym zmianom: dwuwymiarowe dekoracje kojarzące się ze zdewastowanymi domami, zasypane ulice, stacja i linia kolejowa wybiegająca w pustynię. Była to wizja bez wyrazu, posępna kopia tematów Marzyciela. Jedynie szczury wносиły namiastkę życia do tych jakby przypadkiem zsyntetyzowanych wśród wydym imitacji życia.

Varlo uniósł jedyny iskiernik, jaki udało mu się zabrać w

chwili odjazdu. Broń straciła na mocy, ale nie miało to znaczenia. Pierwszy wybuch podniósł trochę za daleko chrzęszczącą chmurę sproszkowanej ziemi. Odczekał kilka chwil wiedząc, że taki rodzaj ataku wywołuje na ogół odruch szybko zapomianej paniki, po czym znowu nacisnął spust.

Podszedł ostrożnie. Blisko dziesięć gryzoni leżało na ziemi, co było wyraźną przesadą, zważywszy na słabość broni. Ale Zgodny pojął już zasadę niekompletnego życia. Posiadając jedynie szczątkowy układ trawienny i zaczątek ośrodkowego układu nerwowego, szczury były tylko zalążkiem życia przybranym w ciało, które najmniejsza emocja lub uderzenie definitywnie zabijały.

Dziwny obrót sprawy. Trójka Runijczyków, żeby utrzymać się przy życiu w drodze powrotnej do bazy, musiała na wzór Jeźdźców wykorzystywać te niedoskonałe produkty syntetyzacji materii nieorganicznej.

Varlo położył pierwszego gryzonia na płaskim kamieniu. Szczur został trafiony w łapę, co wystarczyło, by zniszczyć w nim zalążek życia. Wyjął nóż i zaczął ćwiartować zwierzę. Zajęcie nie było przyjemne. W odległych czasach jego przodkowie musieli w ten sposób zaspokajać zapotrzebowanie na proteiny, ale z czynną pomocą Przyuczonych. W tej obrzydliwej operacji wspierała go myśl, że ostatecznie zwierzę stanowiło tylko produkt syntetyzatora materii pobierającego wszystkie potrzebne molekuly z podstawowego składnika Barduanu. Skończywszy tę czynność, pociął mięso na cienkie paski i ułożył je na innym kamieniu. Pozostało jeszcze ugotować to prymitywne pożywienie. Nazbierał trochę opału wśród ruin i podpalił go iskiernikiem. W środku ogniska umieścił kilka płaskich kamieni. Kiedy z ognia pozostały rozżarzone węgle, ułożył krwiste paski na tym, co przypominało płytki kuchenne w bazie.

Zapach pieczonego mięsa zbudził Joricka i Phalię. To, co jeszcze kilka tygodni wcześniej wydawałoby im się obrzydliwe, teraz powodowało ślinotok i dotkliwie skurcze żołądka.

Były to nowe uczucia, starali się więc niekiedy analizować je między sobą, jak gdyby przetrwanie naukowej ciekawości gwarantowało im pełnię procesów myślowych. A przecież już od dawna przestali się łudzić. Długotrwałe przebywanie na powietrzu planety wprowadziło zmiany w ich rytmach biologicznych. Czyżby pochłaniane pożywienie działało jak odtrutka? Faktem jest, że nie odczuwali już w ten sam sposób upojenia, tak niegdyś poszukiwanego na płycie. Znajdowali się jakby w letargu, który mącił postrzeganie lub przeciwnie — nadawał mu bolesną ostrość. Ich rytm snu uległ całkowitej dezorganizacji. Praktycznie tracili przytomność ze zmęczenia i kilka chwil kataleptycznej nieświadomości tuż po zaśnięciu przenikały koszmarne wizje, nagłe i wyraźne jak hologramy reprezentacji. Te próby marzeń sennych trwały dalej po przebudzeniu, a Phalia nazywała je „szczątkowym nastrojem”. Sen zdawał się zatruwać rzeczywistość, zastanawiali się tylko, gdzie jest ta osławiona rzeczywistość.

Jorick przykucnął i żuł mięso, kontemplując pobliskie ruiny.

— Nie ma już Niekompletnych w ludzkiej postaci — powiedział szeptem, jak gdyby bał się zbudzić błędzące tam dusze.

Phalia wybuchnęła śmiechem. Zachowanie Dekoderki podlegało gwałtownym zmianom nastroju, co przeistaczało jej dotychczasowy nieobecny wygląd.

— Możesz mówić normalnie, Deklamatorze. Nie wystraszysz szcurów. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to Marzyciel miał bardzo krótki okres twórczy. W ciągu kilku godzin za pomocą syntetyzatorów materii ustawił swoje dekoracje. Miasta, stacje, tory, szczury, Niekompletnych i Jeźdźców wpakował do jednego worka nie zapoznawszy się ze scenariuszem, i cały ten chaos zaczął w pewien sposób żyć, świadomy naszej obecności. Surowiec powoli się wyczerpał i przetrwały tylko niższe formy życia...

Jorick przytaknął w milczeniu, po czym zwrócił się do

Varla.

— Jak sądzisz, w jakiej odległości jesteśmy od bazy?

Zgodny potrząsnął czupryną i prętem rozgarnął głownie w ognisku. Pracowite przeżuwanie zdawało się pochłaniać go bez reszty.

— Według moich obliczeń dwa albo trzy dni drogi, może trochę mniej. Dużo zboczyliśmy, żeby ominąć strefy patrolowane przez szperacze. Przed zapadnięciem nocy musimy uzupełnić zapas paliwa. Widziałem na rynku budowlę nadającą się do spalenia.

Jorick skinął głową. Odkąd opuścili obozowisko, wszystko wydawało się niesłychanie proste. Zbliżali się do strefy ochronnej bazy jako Jeźdźcy, a nie jako patrol wracający po wypełnieniu zadania. Nic ich nie nagliło, czas wydawał się zaś pracować na ich korzyść, oczyszczając pas ochronny wymyślony przez Zerta. Posuwali się po terenie niejako spacyfikowanym.

— Im szybciej wrócimy do bazy, tym lepiej dla nas wszystkich — powiedziała Phalia, jakby odgadła dziwny fatalizm Deklamatora.

Jorick wzruszył ramionami. Trzeba przede wszystkim skończyć posiłek. Niedopieczone mięso było straszliwie łykowane. Musiał je gryźć, ssać i żuć bez końca, aby wydobyć składniki odżywcze. Czynił to z takim uporem, że aż rozboleły go dziąsła.

— Zaczekamy w kabinie na nadejście nocy — powiedział Varlo wstając. — Tam będziemy bezpieczni przed szcurami...

W miarę jak zbliżali się do bazy, krajobraz wyraźnie się zmieniał. Opustoszałe osady stały się rzadsze, w zamian za to najmniejsze nawet doliny przecinała sieć torów, jakby biegła w stronę jakiejś gigantycznej stacji rozrządowej.

Wierzchowiec przebywał te puste przestrzenie, unikając obniżen terenu. Jego podrygującemu krokowi najbardziej odpowiadała droga szczytami wzniesień. Nabierał wówczas szybkości, a łapami swobodnie tratował sypką ziemię. Varlo

dyskretnie korygował kierunek. Zostawiał maszynę samej sobie, ona zaś cudownie pokonywała trudniejsze miejsca.

— Nie ma ani śladu obrony — w zamyśleniu powiedział Jorick.

— Ja się na to nie będę skarżył — odparł Varlo pilnujący ciśnienia w kotle.

Phalia z ponurą miną obserwowała krajobraz.

— Sądzę, że podczas naszej nieobecności zaszło coś poważnego — szepnęła.

Twarz dziewczyny straciła tę nieco sztuczną łagodność, jaka cechowała ją w salach konferencyjnych bazy. Jorick stwierdzał metamorfozę zastanawiając się, czy ta zmiana jego także dotyczy. Zależne od przypadku życie, jakie wiedli od chwili pojmania ich przez ludzi Okrhuda, nadało dziki błysk jej spojrzeniu. Deklamator uważał swoją towarzyszkę za piękną, nie śmiał jednak wykorzystywać dawnej zażyłości. Kiedyś będzie musiał na nowo zdobyć tę dziewczynę, która stała mu się obca.

— Patrzcie!

Wydając ten okrzyk, Varlo instynktownie zmniejszył ciśnienie w urządzeniach napędowych. Za ostatnim pasmem wzgórze pojawiła się znajoma przecinka zatoki otaczającej bazę. Nad oceanem wznosiła się mgła i zamykała horyzont grubą, nieprzeniknioną zasłoną.

— Dziwna konstrukcja — powiedział Jorick, starając się spokojnie rozumować.

— Wygląda jak prymitywny wał obronny — przyznała Phalia. — Nie mogę uwierzyć, że to Tumin rozkazał go wznieść. Wcześniejsze urządzenia były już wystarczająco dziwaczne...

— Niedorzeczny mur przeciwko barbarzyńcom — powiedział Varlo, nie wyjaśniając swojej myśli.

Wierzchowiec zbliżał się powoli, wypuszczając parę przez zawory odprowadzające. Jego szczudła postukiwały z powodu nadmiernego wysiłku, jaki narzucało zwolnione tempo. Varlo

świetnie panował nad pojazdem, ale docierając do ufortyfikowanej linii, która zastępowała im drogę, zwiększył ostrożność.

— Może to jakaś inna reprezentacja Marzyciela — podsunęła Phalia.

Zgodny zaklął. Wierzchowiec omal nie wpadł w pułapkę, jaką był szeroki kanał o prostych ścianach, biegnący przez jakby rozkrojone nim wzgórza. Maszyna stanęła dęba na skraju przepaści i znieruchomiła w obłoku dymu.

— Już wolę rakiety! — zawołał Varlo.

Na zboczu pagórka byli doskonale widoczni i stanowili idealny cel, przypuszczali jednak, że nawet najbardziej rzeczywiste fortyfikacje już nie działają.

— Musimy zejść na dół — rzekła Phalia.

Wydawało się to niemożliwe, ale wierzchowiec niemal instynktownie znalazł nachylony stok, który pozwolił mu zsunąć się na dno kanału. Łapy uderzyły o ubitą ziemię.

— Tak właśnie by postąpiono, gdyby chciano nas wciągnąć w zasadzkę — powiedział Jorick z napięciem w głosie.

Musieli się teraz posuwać wzdłuż otwierającego się przed nimi koryta. Z jednej i drugiej strony wznosiła się nieprzebyta betonowa ściana. Wyprawa stawała się coraz bardziej zależna od przypadku. W każdej chwili mogła ich zniszczyć najmniejsza nawet rakietka. Wszyscy troje czuli jednak, że nie tego rodzaju niebezpieczeństwo im zagraża.

Pojawiła się przed nimi przeszkoda w postaci ślepej kazamaty. Zgodnie z wypróbowaną metodą Jeźdźców, Jorick natychmiast zsunął się na ziemię. Obszedł dokoła kazamatę i natknął się na metalowy wrak skrzyty w ogniu. Prawdopodobnie był to pojazd wojskowy podobny do tych, jakie syntetyzowano kiedyś w szybie nieważkości. Do niezrozumiałej potyczki między jakimś przybyłym znikąd napastnikiem i obsługą kazamaty musiało dojść już dawno, o czym świadczyły ślady rdzy. Atak przypuszczono z szeregu wnęk wydrążonych w zboczu — sterczały z nich lufy broni wzniesione ku niebu. Wszystkie budowle były opuszczone. Jeżeli kiedyś stanowiły

barierę ochronną bazy, to teraz istniały tylko jako niepotrzebne szczątki. Z jakichś przyczyn musiały stracić swoją pierwotną funkcję, a to pozwalało dopuszczać myśl o najgorszym.

Komin wentylacyjny poszerzony przez podziemny wybuch umożliwił dostęp do wnętrza fortu. Jorick dał znak swoim towarzyszom i bez wahania wszedł przez wyszarpaną dziurę. Chciał się upewnić. Opancerzone pomieszczenie było częściowo zrujnowane. Przez strzelnicę sączyło się trochę światła. Oczy przywykły do półmroku i dostrzegł ciało Przyuczonego dziwnie zwinięte na jakiejś broni palnej. Był całkowicie zmechanizowany. Nie zostało ani śladu ciała na trupie, który zamienił się w maszynę. Do kazamaty dostał się piasek i pokrywał tego świadka cienkim, niewyczuwalnym całunem.

Porzucenie ciała Ailoty było już samo w sobie niepokojącym znakiem. Trzy runijskie rasy przywiązywały bardzo dużą wagę do pogrzebu, a transformacji Przyuczonych post mortem towarzyszył na ogół cały rytuał odzyskiwania.

Jorick ostrożnie przysunął rękę. Metal był zimny, nieruchomy. Żadnych oznak substratów życia, nierozłącznie związanych z cyklem Przyuczonych. Jedynie pusty szkielet, coś, co przypominało pozorantów z kanału reprezentacji...

### **POROWATA RZECZYWISTOŚĆ**

Bez trudu dostali się do strefy portowej bazy. W krótkim czasie Ailocy obarczeni obroną naszpikowali okolicę dziwnymi konstrukcjami z betonu — ich przygniatająca estetyka militarna nie harmonizowała ze starymi budowlami. Nawet na głównej kopule znajdowały się szare wieżyczki, dorzucone do



pierwotnej struktury jakby na chybił trafił.

— Co tu się stało? — zastanawiał się Varlo, zatrzymując wierzchowca w pewnej odległości od głównego pomostu.

Trudno było ocenić rozmiary zewnętrznych zmian; trzymali się skraju przeobrazonego terytorium, bojąc się zbyt szybko odkryć tę nową rzeczywistość, która przestała mieć jakikolwiek związek z normalnymi bazami Runy.

— Trzeba by zbadać kopułę... — zaczęła Phalia stłumionym głosem.

Jorick wstrzymał ją gestem:

— Powoli. W kabinie maszyny na razie jesteśmy bezpieczni. Musimy postarać się o środki obrony, zanim pójdziemy dalej. Obrona automatyczna na pewno jeszcze działa. Nie wiele zdziałamy z prawie wyładowanym iskiernikiem.

Mówił bezbarwnym głosem, starając się zagłuszyć niewypowiedziany niepokój, jaki go ogarnął. Czyżby baza była ostatnią twierdzą zdrowego rozsądku pozostałą na tej planecie?

— Na przystani ślizgaczy jest skład broni — przypomniał Varlo.

— Świetnie!

— Ale tam są tylko lekkie iskierniki — uściślił Zgodny, jak gdyby jego z kolei uspokajała ta czysto wojskowa rozmowa.

Wierzchowiec rozstawił łapy i wolno ruszył wzdłuż brzegu. Piasek usłany był najróżniejszymi szczątkami, co dowodziło jakiejś katastrofy na morzu. Kojarzyło się to z gigantycznymi szkieletami albo konstrukcjami wykonanymi z materiału na tyle lekkiego, że mógł unosić się na wodzie. Wszelkiego kształtu i wielkości, przypominały chwilami urządzenia okrętowe albo, co dziwniejsze, zniszczone wierzchowce. Morze przemieszało te wszystkie szczątki do tego stopnia, że powstało coś w rodzaju nieprzerwanego muru, nieustannie zmieniającego kształt w miejscu uderzenia fali.

Zwłoki Przyuczonych leżały w tym stosie jak uwięzione. Ailocci zeszywnieli w różnych pozycjach, kiedy uleciała z nich

resztką życia organicznego. Niektórzy tkwili uparcie wrośnięci w piasek, ale ich skamieniałe twarze nie wyrażały nic ponad niemą pogroźkę posągów ustawionych jako symbol na dawnych polach walki.

— To straszne! — powiedziała Phalia odwracając wzrok.

— Ailoci nie umierają tak łatwo — w zamyśleniu rzekł Varlo. — Wygląda na to, że zbyt długo pozostawiono ich samym sobie. Mechanizacja wzięła górę, bo w danej chwili nie było innej możliwości...

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał zaintrygowany Jorick.

— Tutaj nie było prawdziwej bitwy, lecz stopniowe opanowywanie i powolny rozkład organizacji bazy. Bo jak wytłumaczyć brak jakiegokolwiek nadzoru i działania na zewnątrz? Przyuczeni, pozostawieni samym sobie, padli ofiarą naturalnej u nich entropii, kiedy są opuszczeni...

Zostawili wierzchowca w pobliżu głównego pomostu. Porozrywane ślizgacze, na wpół zanurzone, kołysały się na falach. Tutaj także przed falochronem gromadziły się jakieś odpadki. Jorick podniósł jeden z tych przedmiotów o wyglądzie bumerangu z metalu. Uderzył nim o kamień. Materiał, z jakiego był wykonany, okazał się twardy, ale widniały w nim niezliczone wgłębienia, które nadawały mu porowaty wygląd skamieniałej gąbki.

— Nigdy nie widziałem czegoś takiego — powiedział.

Jak daleko wzrok sięgał, wszędzie na powierzchni oceanu unosiły się szarawe odłamy, niczym krople zastygłej lawy w pobliżu podwodnego krateru wulkanu. Wydawało się jednak, że są obrobione i stanowią określone części mechanizmu.

Tuż koło składu broni dwóch Przyuczonych zdawało się walczyć z gigantyczną belką na wpół leżącą na pomoście. Zastygli w trakcie wysiłku i całość, tworzyła zwalony pylon z Ailotami w roli podpory.

— To jakaś niezręczna synteza — wyszeptała Phalia. — Jakby ostatni zryw, żeby stworzyć materię, która by odpowia-

dała hologramom...

— Masz na myśli Marzyciela?

Pytanie Joricka zbiło ją niemal z tropu.

— Nie, nie Marzyciela. Nie mógł jednocześnie stworzyć Jeźdźców i skończyć na tych śmieciach... Zaszło coś innego...

Varlo nie tracił czasu. Z niemal automatyczną u Zgodnych skutecznością sforsował już wejście do składu, odłączając system samozabezpieczenia. Wyszedł z trzema iskiernikami i wiązką granatów rozrywających.

— Mamy czym leczyć stany ducha — powiedział.

Zdawało się, że jest zdecydowany walczyć, tylko gdzie był przeciwnik?

W głównej kopule bazy w kilku miejscach widniały dziury. Powietrze Barduany, które . tak niepokoiło służby kontrolne Tumina, swobodnie przedostawało się przez ziejące otwory do chronionych pomieszczeń.

Od razu stwierdzili, że wewnątrz bazy panuje .nieopisany nieład. Trudno było zresztą uwierzyć, że w tym miejscu rozegrała się normalna walka. Przypominało to raczej samolikwidację, zorganizowaną autodestrukcję.

Fotele w sali konferencyjnej tworzyły na wpół zwęglony stos. Maszyny w sterowni miały wyprute przewody i obwody. Nie oszczędzono nawet oświetlenia. Każde pomieszczenie przedstawiało podobny widok, z nieznacznymi zmianami zależnymi od pozycji Przyuczonych znieruchomiłych w trakcie pracy.

Jorick mechanicznie sprawdził pulpit kontrolny.

— Może wewnętrzne urządzenia są nienaruszone. Wszystko przebiegło bardzo szybko, w jakimś szale ślepego niszczenia.

Po kłoszach obsługi bazy przetoczył się miotacz ognia. Nic nie zostało z wdzięcznych pomieszczeń, żaden ślad indywidualnej twórczości, wokół której obracało się niegdyś funkcjonowanie tej miniaturowej społeczności na planecie eksperymentalnej. Szczątki kopuły osłaniały tylko żałosne ruiny,

gdzie wyraźnie trudzono się nad usunięciem wszelkich pozorów ładu i porządku.

Pobiegli do korytarzy prowadzących do szybu nieważkości. Prawie wszystkie lampy oświetleniowe były potłuczone. Bez sztucznego światła podziemne chodniki stały się złowrogimi tunelami, gdzie hulały prądy wilgotnego powietrza nadciągającego z zewnątrz. W wyniku dziwnej autosugestii te podmuchy, uważane za szkodliwe, podkreślały mdlące wrażenie wywierane na nich przez zdeformowane miejsca, które ledwie rozpoznawali.

Jorick musiał się zatrzymać, ogarnięty nagłym zawrotem głowy.

— Trzeba znaleźć „tamtych” — powiedział z trudem.

— Tak, mimo wszystko nie wyparowali przecież — przytaknął Varlo, przychodząc mu z pomocą.

Sterownia szybu nieważkości cudem chyba ocalała. Jedyne porozrzucane papiery świadczyły o wściekłej pasji.

Jorick zerknął na stery.

— W porządku — odezwał się Varlo, jednym spojrzeniem omiótłszy pulpity realizacyjne.

Jorick zawahał się chwilę, nim włączył reflektory w kanale.

— Są tam oczywiście... — powiedział, przesuając w końcu dźwignie.

Buchnęły strumienie światła, wypełniając olbrzymi oszklony kanał ostrym blaskiem.

— Obraz — rozkazał.

Ale Zgodny wyprzedził polecenie. Na wielkich monitorach pokazały się już obrazy kontrolne.

Najpierw pojawiła się tylko wielka gmatwanina kolorów, przypominająca gwałtownie przeganiane kłęby dymu. Obraz wyostrzył się. Phalia krzyknęła.

— To ocean... Powierzchnia oceanu...

Reprezentacja była istotnie bardzo sugestywna. Masy uwięzionej w szybie nieważkości wody wykonywały ruch si-

nusoidalny, który zamykał je w ściśle określonym obwodzie. Na pierwszy obraz nakładały się inne. Pochodziły z głębszych stref kanału.

Z niewypowiedzianą emocją Jorick rozpoznał nadmorską płytę. A więc przez fatalny obrót rzeczy zaprogramowano tam miejsce rzeczywiste, dotyczące całej obsługi bazy. Varlo był nie mniej zaszokowany. Wydał stłumiony okrzyk i zakrzętnął się przy swojej konsoli, by otrzymać inne obrazy, bardziej wymowne.

— To makieta, makieta brzegu — powiedziała Phalia głosem ledwie słyszalnym.

Już zdalnie sterowane kamery symulacyjne skierowały się na obiekt, przekazując obrazy prawdziwsze od rzeczywistych.

— Miałeś rację, Jorick. Wszyscy tu są — stwierdził Varlo.

Na skale zawieszonych ukośnie w kanale leżało około pięćdziesięciu postaci. Wszystkie były straszliwie okaleczone, dzięki porozrywane przez wybuch, który zaskoczył je w rozmaitych pozycjach. Zbliżenia kamer symulacyjnych nie pozostawiały żadnej wątpliwości. Cała obsługa bazy została zgromadzona w tej makabrycznej reprezentacji. Jeżeli kogoś brakowało na tym spotkaniu — na przykład Przyuczonych skamieniałych na plaży — było to niewątpliwie dziełem czystego przypadku. Makieta płyty musiała nieodparcie wabić.

Rozpoznawali najróżniejsze uniformy rozmieszczone w wyraźnie rozdzielonych kręgach. Twórcy byli najbliżej punktu zero. Została z nich tylko ohydna mieszanina obficie spryskana strugami krwi, w nieważkości wyglądającymi jak rozdarcia w dekoracji. Ani jednych zawieszonych zwłok nie udało im się zidentyfikować. Siła wybuchu zjednoczyła je w bezimienności, trudnej do zgłębienia z tej odległości.

— Poznają uniform Tumina — powiedział Varlo bezbarwnym głosem.

Zgodni, bardziej rozrzućeni, zajmowali większą przestrzeń. Widocznie stali dalej i wybuch zaskoczył ich w różnych

pozycjach. Szczególne warunki w kanale nadawały tej scenie trudne do zniesienia, złowróżbne znamię.

Jorick z pełną fascynacją odkrywał fundamentalną dwuznaczność skomplikowanej maszynerii przeznaczonej do materializowania podziemnych marzeń. Różnice między realizacją z udziałem pozorantów a tą końcową sceną jednoczącą w niewypowiedzianym koszmarze obsługę bazy były niewielkie. Zależały tylko od punktu widzenia...

Obrazy zmieniały się w przyspieszonym tempie. Symulator pracował w sercu jednej z wielu makiet i nie przedsiębrał oczywiście nic, by przeanalizować masakrę.

Było tam również kilku Przyuczonych, ale bardzo niewiele. Unosili się wprost w wodzie sztucznego oceanu, jak gdyby wystarczył zwykły prztyczek, by wrzucić ich w te osławione fale, które niegdyś tak bardzo pociągały kochanków z nadmorskiej płyty.

— Dosyć! — zawołała Phalia.

Jorick natychmiast wyłączył światła w szybie i długą chwilę siedzieli w milczeniu.

— Wola Okrhuda była po prostu zwiastunem — powiedział Varlo z drwiącym śmieszkiem. — Oto za jednym zamachem pozbył się prawie wszystkich intruzów. Pozostaje nam tylko dołączyć do tamtych...

Zgodny zmuszał się do żartów, ale nie było mu do śmiechu. Ich położenie stało się rzeczywiście rozpaczliwe. Automatyczne urządzenia alarmowe działały zapewne normalnie. Gdzieś w przestrzeni satelita geostacjonarny powinien był wysłać sygnał natychmiastowego wezwania, ale ze względu na otchłań czasu i przestrzeni wezwanie to traciło dla nich jakiegokolwiek znaczenie. Najszybsza interwencja z zewnątrz wymagała przynajmniej roku, podczas gdy ich położenie zmieniało się teraz z godziny na godzinę. Ludzie Okrhuda nie byli daleko od bazy. Należało myśleć po prostu o przetrwaniu.

— Musimy się dostać do podmorskiego osiedla — powiedziała Phalia. — Teraz sprawa jest prostsza. Wystarczy

sprawdzić hologramy zebrane w ostatnich tygodniach.

— Myślisz, że Marzyciel... — zaczął Jorick, przerywając w pół zdania.

Phalia gwałtownie potrząsnęła głową.

— Nie... Marzyciel był ślepy, nie mógł bezpośrednio wpływać na środowisko, o którym nic nie wiedział. To coś innego...

Wyraźnie nie chciała nic więcej dodać, dopóki nie znajdzie się wśród swoich urządzeń. A z pewnością miała jeszcze coś do powiedzenia, zanim z resztą członków misji zniknie pod zwycięskimi hordami Jeźdźców.

— Jak chcesz — rzekł Jorick — ale należałoby może dotrzeć do klosza Zerta.

— Nie trzeba!

Słowa zabrzmiały jak rozkaz i obaj mężczyźni zrozumieli, że dyskusja byłaby zbędna.

Podmorskie osiedle nie miało już obrony. Patrole Ailotów obarczone nadzorem pomostów okazały się uwięzione przez porowate szczątki, które tworzyły nieprzebytą zaporę przyniesioną przez morze aż do przystani ślizgaczy. W przeciwieństwie do samej bazy, osiedle wyglądało na nietknięte. Wynurzające się kopuły, gdzie powstawały pochodzące z basenu hologramy, rozciągały się jak wzrokiem sięgnąć w niezbyt głębokich wodach zatoki. Na pierwszy rzut oka mogli stwierdzić, że mimo zniszczenia bazy, prawie automatyczny rozrost kopuł gromadzących toczył się nadal. Działalność Marzyciela gdzieś przetrwała, a brak jakiegokolwiek dekodowania pociągał za sobą niesłychanie duże zapasy obrazów.

Phalia odzyskała napięty i nieobecny wygląd, jaki wszyscy znali, kiedy wykonywała swoje obowiązki w strefie basenu. Pewnie otwierała śluzy ochronne. Zdawało się, że przestała zauważać ciała Przyuczonych, wytyczające drogę niczym posągi z soli zostawione na dowód zniszczenia Sodomy. Całą swoją wiedzę skupiła na jedynym możliwym wyjaśnieniu, które już wcześniej sformułowała, nie mówiąc o tym Varlowi i

Jorickowi.

Pomieszczenie z iluminatorami było takie samo, jakim je ujrzał Deklamator podczas swojej pierwszej wizyty. Najpierw rzucały się w oczy zielonkawe głębiny basenu. Zmącone wody, zatrzymywane przez grubą, przejrzystą ścianę, przebijały ukośne promienie dochodzące z powierzchni, a tworzyło to gigantyczny ekran z bezpośrednim widokiem otwierającym się na podwodny świat Marzyciela. Powierzchnia, położona około dziesięciu metrów od sterowni, jawiła się jako poruszająca się płachta rtęci, wyraźnie rozdzielająca dwa różne żywioły.

Joricka uderzyło wrażenie zamknięcia, jakie sprawiał ten ruchomy widok. Gdzieś w świadomości Marzyciela musiała tkwić nienawiść do tej granicy o zmiennym wyglądzie, w nieskończoność załamującej obrazu straconego świata. Miecznika nie było widać — znajdował się chyba w górnej części basenu.

Phalia wysłała sygnał dźwiękowy, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

— Lepiej włóżcie kaski ochronne — powiedziała z niepokojem na twarzy. — Wokół osiedla dzieje się coś nienormalnego...

Wskazała palcem ekran radaru rojący się od świetlnych ech. Mogło równie dobrze chodzić o te porowate szczątki unoszone przez ocean, jak i o inne morskie istoty, krążące wokół najdalej wysuniętego odcinka bazy.

— Boję się — powiedziała, instynktownie chwytając Varla za rękę.

Na chwilę zrodził się między nimi bliski kontakt fizyczny, który hierarchiczne zasady Runy czyniły praktycznie niemożliwym. Zagubieni na tej planecie doświadczalnej, z dala od międzygwiazdnych strumieni wymiany, stanowili jedynie śmieszna grupkę ocalonych, bezwzględnie skazanych na śmierć.

Zgodny uwolnił się łagodnie. Jego ruchliwa twarz wyrażała w tej chwili niezwykłą powagę, jak gdyby raptownie jakiś świat stoczył się w nicość.

— O ile dobrze pamiętam zasady realizacji, to każda sy-



mulacja wymaga zawsze jakiegoś świadka — rzekł, starając się ściśle wyrazić swoją myśl.

— Zgadza się — powiedział zaintrygowany Jorick.

— Oczy kamer albo Przyuczeni w kanale są po to, żeby jasno wykazać, że wszystko, co się dzieje, w oparciu o hologramy Marzyciela, jest tylko fikcją, czymś w rodzaju przedstawienia, które należy wyłącznie do marzeń sennych, do snu istoty zupełnie nam obcej — ciągnął dalej Zgodny.

Zbliżył się powoli do pulpity sterowniczych, pozwalających nawiązać dialog dźwiękowy ze zwierzęciem zamkniętym w basenie. Wydawało się, że zamierza posłużyć się tymi przyrządami, normalnie obsługiwanymi wyłącznie przez Dekoderkę. Z uśmiechem, wstrzymał gest i szepnął:

— Sądzę, że zostaliśmy wybrani, aby stać się tym zewnętrznym okiem, neutralnym świadkiem niezbędnym przy każdej reprezentacji. Symulacja jest oczywiście wszędzie. Zара-za przeniosła się z szybu nieważkości. Cała planeta stała się obszarem realizacji. Płyta jest przemieniona w makietę wykorzystującą obsługę bazy jako pozorantów, a Jeźdźcy na wydmach bawią się w chowanego z Niekompletnymi. To doświadczenie będzie miało jakiś sens tylko wtedy, kiedy my zostaniemy przy życiu, żeby patrzeć...

Varlo rzadko używał języka teoretycznego, jednakże jego analiza trafiała w samo sedno. Phalia wcisnęła kilka przycisków na tablicy ściennej, nie spuszczać wzroku z ciągle pustego głównego iluminatora basenu.

Zajaśniał ekran. W przyspieszeniu przesunęły się dwuwymiarowe reprezentacje hologramów zdeponowane w kopułach. Dla nie wyćwiczonego oka były to tylko szeregi pogmatwanych linii i figur geometrycznych nakreślonych przez komputer. Dekoderka momentalnie nakładała na te schematy szablony pochodzące ze starych analiz.

— Mamy do czynienia z nowym rzutem hologramów — powiedziała z rozgorączkowaniem.

Obrazy zdawały się przesuwać coraz szybciej. Jorick roz-

poznawał w przelocie stare hologramy, które służyły do realizacji makiet, lecz wślizgiwały się tam dziwne, nic nie mówiące zakłócenia.

— Nowe wytwory Marzyciela — powiedziała Phalia przez zęby — ale to tylko karykatura jego tematów. Wszystkie unoszone przez ocean śmiecie stąd pochodzą.

— Patrzcie!

Varlo przywarł do iluminatora. W nieprzeniknionych głębinach wody wyraźnie był widoczny jakiś gwałtowny ruch. Phalia natychmiast wyregulowała czujniki, które pozwalały przybliżyć obraz wszystkiego, co się znajdowało w tej zacisznej części zbiornika — tam właśnie spoczywało ciało miecznika w fazach snu głębokiego. Ale teraz nie chodziło o Marzyciela. To, co trzepotało się pod wodą w odległości zaledwie kilku metrów od przejrzystej osłony, było im o wiele bliższe.

— Przyuczony! — wykrzyknął Varlo. — Jeszcze żyje...

Światło reflektorów przebiegło basen; pojawił się ruchliwy cień, jakby chciał utrudnić poszukiwania. To nadciągał miecznik z taką szybkością, że niemożliwa stawała się jakakolwiek lokalizacja.

— Nie rozumiem — rzekła niepewnie, Phalia. — Nic nie reaguje normalnie. Wygląda na to, że basen został całkowicie przekształcony!

— Może to jest o wiele prostsze — powiedział Jorick. — Trzeba stąd wyjść, tutaj nie mamy już nic do roboty...

## SPÓŁCZEŃSTWO MIECZNIKÓW

Jorick ujrzał ponownie pejzaż zewnętrzny ze wzruszeniem zabarwionym tęsknotą. Tutaj właśnie wydawało mu się kiedyś, że odkrył kobietę różniącą się od innych, a mimo to jeszcze dającą się rozszyfrować zgodnie z miłosnymi konwencjami Runy. Teraz nie wiedział już nic. Phalia wymykała mu

się, podobnie jak cała reszta. Przestał panować nad scenariuszem.

Mini-pejzaż powierzchni uległ już wymianie na identyczny z wyjątkiem jednego szczegółu: basen nie był zamknięty, lecz łączył się teraz z oceanem poprzez wąski kanał, który zdawał się wybity w tamie przez wybuch. Tutaj też nie brakowało porowatych szczątków zapełniających zatokę. Unosiły się leniwie, zdane na fale dostające się bez przeszkód do tego miejsca niegdyś zamkniętego.

Wśród pływających pozostałości Jorick spostrzegł podejrzany ruch. Marzyciel jako zwierzę przestał być sam, zwabił do siebie swoich pobratymców i nie wiedzieli już, kto właściwie zajmuje wytyczony teren basenu. Wyjaśniało to niewątpliwie echa zarejestrowane na ekranach radaru w sterowni. Obecnie miejsce to oblegało całe stado wielorybów, jakby chciały zaznaczyć trwanie zwierzęcego świata, jaki zawsze istniał na tej planecie mimo ubóstwa jej biosfery.

Dekoderka oglądała ten widok z niedowierzającym wyrazem twarzy, podczas gdy Jorick starał się dotrzeć na sam brzeg wody, przeskakując porowate szczątki, które opasywały basen. Phalia wiedziała, że delfiny mają rozwinięte życie społeczne i że pewna forma języka, a przynajmniej zespół sygnałów dźwiękowych, łączy między sobą członków stada. Znikając w zbiorowości, Marzyciel niejako zmałał i na pewno stracił przy tym swoją specyfikę. Obecność stada wokół podwodnego osiedla zdawała się podlegać jakiejś woli, może nawet strategii, analizatory hologramów gromadziły bowiem nadal nowe dane, na co Phalia otrzymała dowód. Był to szereg niejasnych, ledwie zaczętych szablonów, które nie miały nic wspólnego z dawnymi wizjami snu paradoksalnego.

Deklamator dotarł do skraju wody. Jego obecność wywołała natychmiast gwałtowne poruszenie w przesmyku prowadzącym na pełne morze. O wodę uderzyła płetwa, a na płyciźnie osiadł groźny pysk. Nie był to Marzyciel, ale osobnik młodszy — białe plamki w okolicy głowy inaczej się układały.

Wyglądało na to, że żywi wrogie zamiary. Podwójny rząd zębów chwycił powietrze, jakby szukał ofiary. Ten gatunek drapieżnych wielorybów mógł z łatwością napaść istotę lądową, tak bardzo były przebiegłe.

— Uważaj! — zawołał Varlo, posługując się iskiernikiem jak batem, którego rzemień miał musnąć wodę.

Miecznik zrozumiał chyba niebezpieczeństwo, szarpnął się, wzbijając strumienie mułu i wrócił do głębin w wirze, który odciągnął na kilka metrów obecne wszędzie porowate przedmioty.

Sytuacja szybko ulegała zmianie. Mieczniki tworzyły stado mogące liczyć około dwudziestu sztuk. Dawały dowód dużego zmysłu organizacyjnego i koordynacji w poruszaniu się w małym zbiorniku połączonym wąskim przesmykiem z pełnym morzem. Ich długie, opływowe ciała prześlizgiwały się z niesamowitą swobodą w ciasnej przestrzeni i zdawało się, że chcą przeszkodzić działaniom dwóch Runijczyków.

— Inhibitor! — zawołała nagle Phalia, odzyskując wśród tego poruszenia przytomność.

Pobiegła do śluzy, a Deklamator natychmiast pojął sens jej działania. Zbyt długo żyli z dala od bazy i przyzwyczaili się wszyscy troje liczyć tylko na własne siły. Czułe urządzenia podmorskiego osiedla mogły im jeszcze pomóc mimo całkowitego rozpadu runijskiej misji.

Jorick bez wahania wskoczył do wody. Jak sam kiedyś stwierdził, pojemność jego płuc bez wątpienia wzrosła przez pobyt na powietrzu Barduan, dzięki czemu mógł długo nurkować bez zaczerpnięcia oddechu nie czując, że się dusi.

Basen był mętny, przebiegał go okrężny prąd i rozganiał mikroorganizmy naniesione z pełnego morza. Opadając w głąb, Jorick przestał czuć bolesny ucisk w uszach. Przesunęła się nad nim ciemna masa i zręcznie uniknął muśnięcia olbrzymiej płetwy ogonowej. Inhibitor spełniał swoje zadanie. Jakby przeczuwając niebezpieczeństwo, mieczniki opuszczały obręb zbiornika, kilka jednak, bardziej zuchwałych, próbowa-

ło krótkich wypadów do obszaru, który przestał im sprzyjać.

Jorick dostrzegł jasny prostokąt iluminatora basenu. Znajdował się niedaleko od miejsca, gdzie czujniki wykryły zatopionego Przyuczonego. Chyba już od dwóch minut wstrzymywał oddech. Wypłynął na powierzchnię, nabrał powietrza i natychmiast znów zanurkował. Oczy przyzwyczajały się powoli do zasolenia wody i wyraźniej dostrzegał szczegóły otoczenia.

Uruchomiony przez Dekoderkę inhibitor sprawiał wrażenie gwizdu o maksymalnej częstotliwości. O ile ucho ludzkie od niego nie cierpiało, o tyle u delfinów musiał wywoływać uczucie bólu i stany zachwiania równowagi. Jorick położył się na piaszczystym dnie i wypuścił część powietrza z płuc. Phalia włączyła teraz ruchome reflektory i wiązki światła, które przecinały podmorskie głębiny, działały jak znaki orientacyjne. Przyuczony leżał na piasku i zdawał się uwięziony w sieci alg. Jorick podpłynął ostrożnie. To, co najpierw wziął za sidła roślinne, było w rzeczywistości pajęczym porowatym ciałem rozpiętym w taki sposób, że nawet Ailota na próżno tracił swe niezwykle siły — miał zbyt daleko od siebie gęsto rozrzucone punkty, gdzie sieć została przytwierdzona. Zaczął ją wrywać w miejscach zamocowania. Przyuczony pomagał mu w tej pracy, ale wyraźnie był u kresu sił. Ailota teoretycznie mógł oddychać w wodzie, zmniejszało to jednak znacznie jego żywotność.

Jorick raz jeszcze wypłynął. Varlo rzucił mu metalową linkę. Wszystkie te doskonale zgrane działania były rzeczą zwyczajną dla Runijczyków, kiedy uczestniczyły w nich trzy elementy ich cywilizacji. Zgodny ciągnął za linkę na powierzchni i wydobyli na powietrze Przyuczonego jeszcze w pętach swego więzienia.

— To Błysk, Przyuczony Zerta! — zawołał Varlo, rozrywając dziwną sieć, która unieruchomiła dawnego przybocznego strażnika Pierwszego.

Twarz Błyska straszliwie się postarzała według norm Ai-

lotów. Zakrzepła z wyrazem obojętności, sprawiała wrażenie tragicznej maski. Kończyny miał całkowicie zmechanizowane. W okolicy kostek wyraźnie były już widoczne kłamry — zjawisko normalne u najstarszych Przyuczonych.

— Trzeba go przenieść do jakiejś nie zniszczonej jednostki medycznej — oświadczył Varlo.

Mieczniki gwałtownie cisnęły się przy wejściu do kanału, ale Runijczycy nie czuli żadnego nacisku mentalnego. Marzyciel zmarł.

Kłosz Zerta był prawie nienaruszony. Jedyne nieład spowodowany niecierpliwą ręką mógł sprawiać wrażenie chęci sabotażu. Na podłodze leżały książki, a konsolę kontroli wideo wyrwano z obudowy. Na szczycie zdewastowanej bazy przetrwał pozór harmonii, ostatni chroniony kokon, gdzie Pierwszy podjął końcowe decyzje.

Jednostka medyczna mruzczała pracowicie za ścianą z przydymionego szkła. Nie przywracając Błyskowi jego poprzedniej sprawności, budziła w nim jednakże życie, to zaś wydobywało go z nieorganicznego świata, w jakim już się pograżył. Strefy jeszcze czynne biologicznie ulegały wzmocnieniu lub reaktywacji.

— Będzie mógł mówić — powiedziała obserwująca wskaźniki Phalia.

Przyuczony zdawał się budzić. Szarą błonę, która pokrywała jego twarz, przebiegały nerwowe skurcze.

— Myślałem, że nie żyjecie — padły pierwsze słowa.

Głos miał zdławiony, jakby mu przeszkadzały płyny ustrojowe.

— Pierwszy zarejestrował wasze zniknięcie — wyjaśnił.

Słowa te odnosiły się do jednej z ulubionych metod Zerta: po dogłębnym zbadaniu problemu, potwierdzenie na zasadzie hipotezy. Pomylił się albo — co bardziej prawdopodobne — podał tę informację jako pewną, zostawiając sobie jakieś pole manewru.

— Co tu się stało? — spytała Phalia, nachylając się nad Ai-

lotą.

— Dobrze się czuję, dobrze — powiedział, jakby względy Dekoderki wykazywały mu jakieś jego przewinienie.

Usiadł na stole jednostki medycznej i sam podłączył elektrody regeneracyjne. Czuli, że nie chce mówić. A przecież obecność Zgodnego i dwojga Twórców przywracała sens jego życiu na tak długo przerwanemu na dnie basenu.

— Pierwszy gaś bardzo szybko — powiedział wreszcie. — Miał wrażenie, że wszystko wokół niego stanęło i że misja dąży ku pewnej klęsce.

Błysk wstał i z bolesnym zdziwieniem stwierdził sztywność zmechanizowanych nóg. Rzucił okiem na okna wychodzące na zewnątrz. Widok klosza, gdzie tak długo przebywał, nie zdawał się budzić w nim najmniejszego wzruszenia.

— Fortyfikacje przestały spełniać swoje zadanie. Siły z zewnątrz zawładną nami za kilka godzin — uprzedził.

— Co się stało z Pierwszym? — spytał Jorick ostrzejszym tonem.

— Nie wiem, co się z nim stało, ale sądzę, że tutaj właśnie zostawił jakąś wiadomość. Mogę wam powiedzieć, co zrobiłem z jego ciałem. Przeniosłem je do komory spalań i tam spłonęło w ciągu kilku minut. Było to w chwili, gdy oddziały z linii obrony wycofały się do bazy, a zrobiły to na pewno dlatego, że nie wiedziały za dobrze, co atakować. Kopułę podziurawiły strzały z dział. Żołnierze byli źle zaprogramowani. Niektórzy Przyuczeni nie rozumieli już, gdzie się znajdują, a zbiegli z szybu nieważkości pozoranci przedostali się do ich szeregów.

— Niekompletni! — zawołał Varlo. — Mów dalej, zaczynam rozumieć...

— Pierwszy przestał wydawać rozkazy. Swoim milczeniem zdawał się sprzyjać zniszczeniu bazy. Mówił tylko monosylabami. Poradziłem mu eutanazję, bo czułem, że jego możliwości niesamowicie malały. Cykl władzy dobiegł końca. Jego ostatnią myślą było zrealizowanie makiety nadmorskiej płyty, ale nie mogłem wziąć udziału przy jej powstawaniu. Manika

zajęła się całym programem...

Przerwał, wzruszony wspomnieniami.

— Był to program „Bomba”, wymagał aktywnego uczestnictwa całej obsługi bazy w szybie nieważkości. Manika przygotowała wszystko na krótko przed atakiem oddziałów obronnych. Zert nie mógł się już ruszyć z fotela, więc spędzała z nim tutaj długie godziny. Podawałem im napoje i nadzorowałem ekrany. Czuć już było, że w strefie ochronnej dzieją się rzeczy nienormalne. Morze wyrzucało na plażę fałszywe reprezentacje hologramów. Wszystko było zarażone... Przestaliśmy wychodzić na płytę.

Wtrącił się Varlo:

— Błysk ma rację, zostało nam tylko kilka godzin. Zdaje się, że ludzie Okrhuda dochodzą do fortyfikacji na wydmach.

Rzeczywiście dobiegał ich stłumiony hałas. Wzmocniony przez czujniki rozmieszczone wszędzie wokół bazy, kojarzył się z brzęczeniem pszczoł w ulu. Wierzchowce Jeźdźców musiały rozpoznać pierwsze fortyfikacje, zanim runą na tę ostatnią na wybrzeżu osadę zostawioną ich grabieży.

— Płyta świeciła pustkami — ciągnął dalej Błysk — a raczej usłana była szczątkami przyniesionymi z pełnego morza. Jej bywalcy czuli się... czuli się przygnębieni... I była też makietta bomby. Myślę, że stanowiła coś w rodzaju obietnicy...

— A Zert? — nalegał Jorick, chwytając Ailotę za ramię.

Ciało miał jędrne, nienormalnie gorące i Jorick ścisnął je rozpaczliwie, by wywołać pocieszający ból — znak, że tamten jest po ich stronie. Błysk skrzywił się.

— Nie zwierzał mi się, z wyjątkiem analizy procesów przyspieszonego starzenia. Co do reszty, pisał mi swoje polecenia. Dotyczyły one zwłaszcza podmorskiego osiedla i Marzyciela. Stało się to jego obsesją. Codziennie chodził do basenu i zamykał się w sali dekodażu. Nie wolno mi było uczestniczyć w tych pracach. Dokładnie ustalił szczegóły swojej śmierci. Miałem go otruć we śnie, a potem strzelić z iskiernika w skroń, po czym ciało spalić. Ze względu na okoliczności musiałem



wykorzystać urządzenia recyrkulacyjne w kuchni...

Brzmiało to jak usprawiedliwienie, ale żadne uczucie nie przebiegło przez jego obojętną twarz. Co najwyżej w trakcie opowiadania usiłował pojąć motywacje szefa bazy. Zaczął mówić szybciej. Słyszeli teraz wyraźnie oddechy wierzchowców Okrhuda. Maszyny musiały posuwać się wzdłuż brzegu, by runąć na pozostałości kopuły.

— Zobowiązałem mnie do otworzenia basenu na pełne morze. Taka była ostatnia wola Zerta. Wykonałem tę pracę, podczas gdy baza umierała. Miecznik chyba rozumiał moje zamiary. Krążył wokół mnie, jakby chciał mi pomóc. Niewiele pamiętam z tego okresu. Przyjąłem powolniejszy, wodny rytm życia. Kiedy wydrążyłem kanał, do Marzyciela przyłączyły się inne wieloryby. Byłem otoczony chmurą zwierząt, które nie przejawiały żadnej wrogości w stosunku do mnie. Ostatecznie znalazłem się uwięziony na dnie basenu przez jeden z porowatych szczątków, jakie od pewnego czasu unosiły się na powierzchni zatoki. Taka była niewątpliwie wola Marzyciela, bo wydawało mi się, że chcą mnie żywić. Wszystko to jest dosyć niejasne...

Umilkł i przeszedł po kloszu wzdłuż i wszerz, jakby wypróbowywał swoje odradzające się siły.

— Zrobiłeś, co do ciebie należało — powiedział Jorick. — Byłeś przy Zercie do samego końca. Reszta to choroba Twórców.

Obrzucił spojrzeniem klosz. Ailota mówił o pozostawionej wiadomości, ale na razie widział tylko opuszczone miejsce, dawne stanowisko dowodzenia, które jego mieszkaniac napiętnował swego rodzaju niechęcią, nim dokonał „odejścia”. Magnetyczne archiwa misji, notatki z seansów realizacyjnych były porzucane, jak gdyby nie przedstawiały sobą żadnej wartości. Konsola wideo, wyrwana w ostatnim porywie siły, jasno wskazywała, że los obsługi bazy włączony do makabrycznej makiety „bomby” nie dotyczył już Pierwszego. Musiało być jeszcze coś, gdyż Zert nie należał do ludzi godzących się

z nieodwołalną porażką.

Deklamator spostrzegł hologram widziany podczas poprzednich bytności. Delikatny mobil przetrwał, a przecież wystarczyło lekkie uderzenie, żeby go zniszczyć. Był zupełnie wykończony, lecz jego główny temat, nawiązujący do obecności miecznika w podwodnym kanale, wiązała gęsta sieć żyłek, przypominająca rozrost koralowców.

Jorick nachylił się nad reprezentacją i nieskończenie delikatnie podniósł kulistą osłonę. Przesunął opuszką palca po gałęziach tej zadziwiającej rośliny, która chyba nie należała do hologramu.

— Zapis na kryształach — powiedział, z trudem opanowując poruszenie. — Zert zostawił testament.

### TESTAMENT ZERTA

Zwracam się do Joricka, Phalii i Weterana. Jeżeli moje przewidywania są słuszne, usłyszycie kiedyś te słowa...

Zert pomylił się tylko w jednym: Weteran nie żył, ale niemal symbolicznie zastępował go Błysk. Wiązka odtwarzająca przesuwiała się po hologramie zostawionym przez Pierwszego. Głos Zerta rodził się w pomieszczeniu, niepokojąc swą obecnością. Równocześnie na ścianach kłosa pojawiały się powoli wykresy i krzywe analityczne. Kryształ pamięciowy należał do bardzo skomplikowanych i nie było żadnej wątpliwości, że szef bazy spędził długie godziny, by go przygotować. Połączony z minikomputerem umieszczonym w mikroskopijnym detalu makiety, stanowił nie tylko zapis ostatniej woli Pierwszego, ale także bank informacji zdolny odpowiadać na pytania dotyczące teraźniejszości. Na razie wiązka laserowa poprzestawała na odczytywaniu kryształu w porządku chronologicznym. Najbliższe pytanie przerywało ten proces i zaczynało się poszukiwanie odpowiedzi wśród zarejestrowa-

nych informacji.

„Jesteście w niebezpieczeństwie, ale dopóki wasze życie nie zostanie rzucone na szalę, proszę, abyście pozostali jedy-  
nymi świadkami wydarzeń, jakie będą miały miejsce w bazie.”

Na mlecznej ścianie kopuły zarysował się napis:

SPOJRZENIE? DRGANIE TĘCZÓWKI OTWARTEJ NA OKRU  
CIEŃSTWO NA ZAWSZE ZAENGRAMOWANE — PÓŹNIEJ ZAŚ  
PRZYJDĄ SŁOWA BY DOKONAĆ ZBĘDNEGO LECZ URZEKA  
JĄCEGO WYJAŚNIENIA...

„Cytuję poetę symbolicznego Joricka, który na Barduanie  
został Deklamatorem bez talentu, i proszę was, żebyście byli  
tym spojrzeniem.”

— Dlaczego skazałeś bazę na zagładę? — zapytał Jorick w  
porywie buntu.

Wiązka przesunęła się po hologramie i przesłała serię  
niezrozumiałych wykresów, komentując głosem Zerta:

„I to... I to... I to...”

— Kontynuuj, cofam pytanie — powiedział Jorick.

„To prawda, że na początku pomogłem Marzycielowi,  
umożliwiając mu dostęp do syntetyzatorów materii. Kto mógł  
wam wmówić, że stanie się inaczej? Czułem się bliższy jemu  
niż wam, nawet jeżeli z jego snów było nieszczęście i okrucień-  
stwo. Obydwaj żyliśmy w zupełnym osamotnieniu.

Widzicie, nadinteligencja ma jedną wadę: zabija przy-  
ziemną rozkosz, nie tłumiąc jej potrzeby. Obszar pozostawio-  
ny otworem przez Marzyciela rozporządzającego ciałem bar-  
du-ańskiego ssaka morskiego był olbrzymi i nieznany. Po od-  
jeździe Dekoderki mogłem bez pośpiechu badać wyjątkowy  
mózg miecznika z basenu, lekceważąc nieco przeszczep w oko-  
licach nowej kory...”

— Jeźdźcy są w obrębie bazy — powiedział Varlo, który  
nie spuszczał wzroku z obrazów przekazywanych przez nie  
uszkodzone czujniki.

„Jeźdźcy?”

Maszyna zawahała się i wiązka odczytująca bez skutku

omiotła kryształ pamięciowy.

— Kasuję pojęcie... Należy zmierzać do sedna — odezwał się Jorick.

„Jesteście w niebezpieczeństwie — powtórzył głos Zerta po krótkiej przerwie. — Przeszczep Marzycieli do prymitywnego mózgu jest z wielu względów zależny od przypadku. Ta delikatna świadomość może zaniknąć, byle tylko dać jej do tego okazję. Ofiarowałem Marzycielowi furtkę, pozwalając mu dostąpić bezpośrednio do syntetyzatorów materii. Mógł w ten sposób swobodnie budować swój świat, omijając nasze makieoty. Wyjątkowa kreacja, bez naszej pomocy szybko wyczerpana...”

— To straszne! — zawołał Jorick.

„Interwencja Deklamatora. Osąd natury moralnej... Słusznie, nie przestrzegałem zasad. Chciałem istnieć mimo starzenia fizycznego. Nie wiem, jak będą współżyć nasze dwie świadomości w mózgu wieloryba. Z tego właśnie powodu proszę was, żebyście zostali do samego końca... Do samego końca...”

Wierzchowce Okrhuda rozbijały oszklone korytarze w skrzydle wychodzącym na morze. Jak daleko mogły sięgnąć czujniki, światem zewnętrznym zawładnęły żelazne maszyny Jeźdźców. Ich sylwetki odcinały się na najbliższych pagórkach. Nie należało się spodziewać ani krzty litości ze strony ludzi pijanych zniszczeniem. Była to nie tylko banda rabusiów opanowujących to miejsce, ale i bezpośrednia projekcja Marzyciela regulującego rachunki ze swymi oprawcami.

Niewzruszony głos Zerta ciągnął dalej:

„Po okresie adaptacji, kiedy będę częściowo Marzycielem, moja świadomość rozplynie się w społeczeństwie barduańskich mieczników. Długo po waszej śmierci przetrwam jako legenda. Trzeba zostawić Barduanę, by odzyskała równowagę, poddać planetę kwarantannie ze względu na jej wysoce niebezpieczne siły naturalne, zdolne wywrzeć wpływ na społeczeństwo Runy...”

— Obiecuję zrobić, co trzeba — powiedział Jorick, świa-

dom złudności obietnicy uczynionej w tak niepewnych okolicznościach.

Maszyna zamruczała, jakby czekała na te słowa. Inny głos, chyba Maniki, nałożył się na pierwszy:

„Musicie w kombinezonach ochronnych udać się do szybu nieważkości. Wszystko jest przygotowane, żeby wyrzucić makiętę w przestrzeń. Satelita kontaktowy dokona reszty. Reku-peracja i skok na Runę odbędą się automatycznie...”

Varlo pierwszy zareagował:

— To nasza ostatnia szansa. Zert nas zdradził, ale potrzebuje kronikarzy, żeby analizowali jego rozwój i uratowali stworzone „dzieło”.

Zmysł praktyczny Zgodnego brał górę. Wyjął ostrożnie hologram z maszyny odczytującej i umieścił go w skrzynce magnetycznej, która gwarantowała, że nawet w razie silnych wstrząsów nie ulegnie zniszczeniu.

— Specjaliści od nowych struktur estetycznych ocenią, czy kryształ dotrze do nich nienaruszony — powiedział Jorick, ważąc w rękę skrzynkę. — Prawdopodobnie Zert, Marzyciel i mózg miecznika tworzą jedną złożoną istotę, znajdującą się między innymi wielorybami. Tylko długotrwała obserwacja pozwoliłaby rozproszyć wątpliwości.

— Do tego jeszcze daleko — rzucił Varlo, otwierając wyjście.

Wszyscy czworo uciekali do szybu nieważkości. Maszyny Okrhuda przedostały się na środkowy poziom. Musieli nadłożyć sporo drogi, obchodząc bazę od strony morza. Błysk odzyskał całą swoją energię. Jego metalowe ramiona działały jak wiosła, zagarniając i wspierając w biegu towarzyszy.

Dziwne, ale nie zwrócili dotąd na siebie uwagi Jeźdźców. Kilka wierzchowców napierało, dysząc, na górne partie głównej kopuły. Te ciągłe uderzenia doprowadzą w końcu do zerwania lin nośnych przeciągniętych przez dolinę.

— Tędy! — odezwał się zadyszany Varlo.

Wskazywał na jeden z napowietrznych korytarzyków,

które niegdyś, omijając legalne wyjście, pozwalały Zgodnym potajemnie przechodzić na nadmorską płytę. Znieruchomieli na szczycie schodów o metalowych stopniach, dźwięczących pod ich nogami. Wiatr od morza wstrząsał tym gołębnikiem. Na horyzoncie pojawiała się chmura burzowa, jak gdyby chciała uczynić jeszcze bardziej posepną ostatni raz widzianą Barduanę.

W zatoce przybywało wierzchowców; walczyły z falą pozabawiającą je równowagi. Inni Jeźdźcy otaczali basen podmorskiego osiedla i szarpali się wśród porowatych szczątków, które przeszkadzały im w marszu. Bystre oczy Varla spostrzegły maszynę Akaba. Chwiejąc się wśród fal na mieliźnie, z szalonym zapamiętaniem deptała częściowo wynurzone kopuły Marzyciela. Zbudowane z mas plastycznych, pękały pod miazdzącymi je stalowymi łapami. Cały zbiór hologramów dołączał w ten sposób do innych szczątków unoszących się na powierzchni oceanu.

Nie mogli oderwać oczu od widoku tej rzezi. Akab zręcznie posługiwał się chwytakami, a jego ruchliwa sylwetka wykonywała akrobatyczne popisy na szczycie kabiny maszynisty.

— Mieczniki! — zawołała Phalia zduszonym głosem.

Widok, jaki potem ujrzeli, swoim wstrząsającym zniszczeniem miał ich trwale napiętnować. Mieczniki podążały w kierunku wierzchowca adiutanta Okrhuda. Tworzyły ciemne kłębowisko najeżone ruchliwymi płetwami. Cała mieliźna w strefie kopuł przypominała gigantyczny mięsień w ruchu.

Jakiś miecznik wyskoczył z wody, z pyskiem szeroko otwartym w niemym krzyku. Jednym ruchem Akab wyrzucił chwytak, który zakreślił łuk, a jego stalowe haki rozerwały ciało przeciwnika. Raniony miecznik szarżował na wierzchowca. Uwięziony w szeregu maszyn, Akab wyleciał z kabiny, wymachując w powietrzu rękami. Sekundę później, podczas gdy delfin nurkował między szczudła maszyny, Akab spadł na rozgrzaną do białości blachę kotła. Jorickowi zdawało się, że słyszy jego krzyk agonii, a równocześnie wierzchowiec zwałił się

do zatoki w niesamowitych kłębach pary.

Scena skończyła się, ale mimo że krótka, pozostawiła unoszące się wrażenie ostatecznej katastrofy.

Błysk dosłownie zaniósł ich do sterowni w szybie nieważkości. Varlo szybko sprawdził program. Jeżeli głos Maniki powiedział prawdę...

— To proces zniszczenia — powiedział stłumionym głosem. — Nie da się sprawdzić, czy zostaniemy właściwie wyrzuceni w przestrzeń.

Szybko wciągnęli na siebie kombinezony ochronne. Wszystkie konstrukcje nad kanałem połyskiwały w światłach reflektorów. Pobiegli do śluzy wejściowej, włączwszy przedtem układ samozniszczenia w makiecie Maniki. Mieli jeszcze kilka sekund do zaryglowania drzwi.

Nagle pojawił się jakiś Jeździec i przeskoczył przez balustradę, by zastąpić im drogę. Był niemal nagi, a oczy świeciły mu dzikim blaskiem. Jego chwytak kołysał się przy samej ziemi, gotów polecieć w ich kierunku.

Jorick zareagował instynktownie jak osaczone zwierzę. Strzał z iskiernika przedziurawił pierś mężczyzny. Była to pierwsza żywa istota, jaką zabił. W jednej chwili ujrzał głowę tamtego lecącą do tyłu, twarz wykrzywioną w bolesnym zdziwieniu. Ze straszliwej rany wypływała gęsta, kipiąca krew. Powietrze wydobywało się ze świstem z przestrzelonych płuc. Widok ten z fotograficzną dokładnością nałożył się na scenę w zatoce.

Śluza ich wchłonęła i po szybkim spadku ciśnienia wessała do środowiska nieważkiego. Wszyscy czworo płynęli wprost nad makietę płyty.

— Podajmy sobie ręce! — polecił Varlo, świadom zjawiska zbaczania powodowanego przez najlżejszy ruch powietrza.

Każdy słyszał oddechy pozostałych w interkomunikatorze kasku. Panowała zupełna, nierzeczywista cisza.

Nagle w głębinach szybu zrodził się pomruk i wznosił się

ku nim niczym wybuchająca lawa. Nieruchoma dotąd makieta pochyliła się jak statek na fali.

— Udało się! Nabieramy szybkości wstępującej! — Varlo nie posiadał się z radości.

Oświetlone ściany szybu zdawały się rzeczywiście ześlizgiwać w dół z rosnącą prędkością. Zostali wyrzuceni w atmosferę i baza wyglądała teraz jak oko oddalającego się tunelu. Osiągali już szybkość bliską szybkości rakiety stacjonującej na orbicie planety o słabej grawitacji.

Czepiali się siebie w dziwnym kręgu tanecznym, który nimi kołysał. Ich oczy odbierały migawki niknącej w dole niebieskiej planety i silny blask błękitnego słońca. Byli w przestrzeni...

Dokoła unosiły się szczątki makiety. Obsługa bazy uciekła wraz z nimi z Barduany, ale niczego więcej już nie oczekiwała. Kiedy dotarli do stożka cienia planety, spostrzegli światła szalupy przewozowej. Sam statek, umieszczony na odleglejszej orbicie jak olbrzymi pająk przykuty wśród gwiazd, czekał na skromny ładunek...

## EPILOG

### ODDZIAŁ FUTUROLOGICZNY NOWYCH STRUKTUR ESTETYCZNYCH

Wyjątki z zapisu chronoskopowego Joricka, Pierwszego długo śpiącego, powołanego na trzysta pięćdziesiąt lat do nadzorowania Barduany (Ziemia II), zadekretowanej jako „strefa badań zewnętrznych”.

350: Phalia nie zgodziła się spotkać ze mną podczas pierwszego przebudzenia za jedyne pięćdziesiąt lat. Na pewno boi się pustki po tej przerwie. Szanuję jej decyzję, nawet jeżeli pozbawia mnie ona słodkogorzkiej emocji takiego spotkania.



Varlo wyemigrował na Aduę, planetę lagun. Długo jeszcze będzie szukał swojej płyty. Błysk chce mi towarzyszyć. Ponieważ jego hibernacja nastęrcza trudności, będzie, jak niegdyś, zanurzony w basenie. Pozwoli mu to żyć w zwolnionym rytmie i jednocześnie gromadzić informacje o Barduanie. Perspektywa opóźnionej śmierci wywołuje we mnie dziwną melancholię...

300: Pierwsze przebudzenie. Błysk jest w dobrej formie, ale jego reakcje są bardzo wolne. Przestał już mówić. Bardua na przeżywa okres stabilizacji. Biologiczny chaos związany z syntezą materii usystematyzował się. Na miejscu bazy znajduje się główne miasto. Okrhud żyje tam nadal, otoczony legendą żywego boga. Publicznie pokazuje się rzadko. To samo-tnik... Społeczeństwo jest typu hierarchicznego; dość zabawna karykatura cywilizacji runijskiej: na szczycie Jeźdźcy ze swoimi poruszającymi się maszynami, dalej Budowniczo wie wykorzystujący jeszcze kończyny dawnych Przyuczonych misji, wreszcie ciągle ścigani Niekompletni, którzy zaczynają poznawać sposoby obrony.

250: Niezwykły rozwój techniki oparty na daleko posuniętej mechanizacji najdrobniejszych przedmiotów. Ciekawy brak postępu w dziedzinie elektroniki i informacji, co odróżnia „dzieci Marzyciela” od ich wzoru z Ziemi I, dziś nie istniejącej. Od śmierci Okrhuda eksterminacja mieczników i Niekompletnych stała się bezwzględny nakazem. Przestałem przeglądać syntezę historyczne dotyczące Runy. Wszyscy ci, których kochałem, już nie istnieją...

200: Trzecie przebudzenie. Błysk śpi, ale wiem, że na pewno dalej czuwa. Pierwsza otwarta wojna z miecznikami, które posiadały wiedzę Zerta. Mimo zupełnego braku techniki podmorska cywilizacja jest wysoko rozwinięta. Wieloryby podzielone na zorganizowane sta-da powszechnie praktykują telepatię i wstrzymywanie reakcji w celu rozwiązywania swoich problemów społecznych. Jeźdźcy na swoich maszynach podbili morskie głębiny.

150: Krwawy bunt Niekompletnych, którzy otrzymują koncesję terytorialną na północy głównego kontynentu. Koniec końców, gwałt okazuje się siłą historyczną u „dzieci Marzyciela”. To w pewnym sensie motor postępu albo po prostu żywioł nieustannie odsuwający stan bez wojny, jakiego musiał przecież pragnąć Marzyciel w swoim początkowym „gaworzeniu”.

100: Piąte przebudzenie. Morska wojna trwa. Niekompletni wspierają mieczniki i porozumiewają się z nimi za pomocą sygnałów dźwiękowych. Jeśli tak dalej pójdzie, to „dzieci Marzyciela” zaoszczędzą na czwartej rewolucji technologicznej i przejdą bezpośrednio do rezerw informacji biologicznych dzięki zadziwiającym możliwościom umysłowym delfinów. Wysłano w przestrzeń pierwsze rakiety chemiczne. Jeźdźcy widzą nowe horyzonty otwierające się przed ich tęsknotą do przestrzeni życiowej.

50: Błysk nie żyje. Jego zmechanizowane ciało unosi się w akwarium obok mojego urządzenia hibernacyjnego. Zaledwie w trzy wieki po narodzeniu cywilizacja Barduany osiąga erę kosmiczną. Wcześniej czy później Runa będzie musiała zacząć się liczyć z tą siłą, która na razie od gwiazdy do gwiazdy usiłuje się odnaleźć. Niewątpliwie nie da się uniknąć wojny, która na wskroś przepaja to społeczeństwo zrodzone z dotkniętego urazem mózgu dziecka. Zastanawiam się teraz, czy nie jest ona konieczna, a nawet pożądana przez nasze trzy rasy dziwnie zafascynowane NIEBEZPIECZEŃSTWEM.

0: Ostatnie przebudzenie. Myślę o Zercie, który chciał zarazem rozciągnąć chwilę do maksimum i zasłużyć sobie na wieczność. Jakaś część jego świadomości musi płynąć teraz na olbrzymich statkach żaglowych Niekompletnych wystrzelonych w przestrzeń międzygalaktyczną. Miecznikom udało się wysłać morze w kosmos. Dotrą może dalej niż my... Pragnę teraz snu. Pierwsi „długo śpiący” mają jedną przewagę nad Pierwszymi „nadinteligentnymi”: znają siłę zapomnienia...



## POSŁOWIE

Pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku rozpoczął się dla francuskiej SF okres szybkiego, bujnego rozwoju, trwający nieprzerwanie po dziś dzień. Rozwój ten umożliwiło m.in. powstanie w latach siedemdziesiątych licznych wyspecjalizowanych kolekcji wydawniczych. Ważną rolę odegrała tu kolekcja *Ailleurs et Demain (Gdzie indziej i jutro)* wydawnictwa Laffont, kierowana przez G. Kleina, która już od 1969 r. prezentowała najwybitniejsze osiągnięcia autorów francuskich. Z kolei już od 1967 r. istniał trzeci, obok **Fiction** i **Satellite** (oraz fanzinoń) magazyn SF, **Horizons du fantastique**, zamieszczający wyłącznie utwory francuskie.

We francuskiej literaturze SF wyraźnie zaznaczyło się wówczas stopniowo wzrastające zainteresowanie aktualnymi sprawami współczesności. Niezwykłości naukowo-techniczne, abstrakcyjna, daleka przyszłość czy niezmierzone przestrzenie kosmosu zdecydowanie ustąpiły miejsca sprawom poważniejszym, sprowadzając się do roli akcesoriów, wykorzystywanych okazjonalnie dla spełnienia określonych poprzez tradycję oczekiwań odbiorców. Tym samym, francuska SF mogła w znacznym stopniu uwolnić się z wąskiego getta i uniezależnić od uwarunkowań w postaci wyświechtanych stereotypów, sprowadzających ten gatunek do kategorii „paraliteratury”. Jako literatura z natury swojej hipotetyczna i „racjonalna”, zawsze interesowała się bezpośrednią przyszłością naszej cywilizacji, jednakże w pewnym momencie przyszłość ta stała się dla niej zarazem środkiem refleksji nad problematyką dzisiejszą.

Stopniowo coraz częściej autorzy SF zwracali się ku aktu-

alnym zagadnieniom politycznym czy społeczno-ekonomicznym. Lata sześćdziesiąte we Francji, to okres postępującej urbanizacji, przemian towarzyszących industrializacji i monopolizacji, przy równoczesnym wzroście zagrożenia ekologicznego. To wreszcie pamiętne wydarzenia roku 1968, owocujące potrzebą buntu, kontestacji, przełamywania dotychczasowych barier i sięgania po nowe horyzonty.

Bujnie rozwijająca się w latach siedemdziesiątych francuska SF wykazywała nie tylko stałą troskę o zachowanie wysokiego poziomu literackiego (czemu sprzyjał m.in. również fakt, że w kraju tym szczególnie duże znaczenie zyskała sobie refleksja krytyczna, reprezentowana przez szerokie grono specjalistów), lecz również stałe dążenie do wzbogacania się, przeobrażania, czy wreszcie wytyczania nowych dróg dla swego dalszego rozwoju. I tak np. M. Jeury podjął eksperymenty formalne w płaszczyźnie strukturalnej i narracyjnej. Z kolei D. Walther, którego celem było stworzenie nowego ruchu, jak gdyby odpowiednika angielskiej czy amerykańskiej „speculativefiction”, wydał w 1975 r. antologię **Les soleils noirs d'Arcadie**, niejako z założenia „konkurencyjną” w stosunku do słynnej antologii H. Ellisona **Dangerous Visions** (Niebezpieczne wizje) z 1967 r.

Szczególne miejsce w dążeniach do „odnowy” francuskiej SF zajęła w tym okresie właśnie fantastyka podejmująca problematykę polityczną, zdaniem wielu stanowiąca w tej literaturze zjawisko najistotniejsze. Tego rodzaju utwory zamieszczał m.in. magazyn **Univers** pod redakcją Y. Fremiona (który po pewnym czasie przeobraził się w corocznie wydawany zbiór tekstów), lecz głównym animatorem ruchu określającego się jako „nowa francuska SF” stał się Bernard Blanc, z którego inicjatywy wydawnictwo Kesserling utworzyło w 1977 r. kolekcję zatytułowaną **Ici et Maintenant** (Tu i teraz). Miała ona być poświęcona młodej francuskiej literaturze SF o nastawieniu politycznym, aktywnie zaangażowanej w aktualną problematykę współczesności i ostatecznie zrywającej z tra-

dycjami utworów „science fiction” w dosłownym tego słowa znaczeniu, ukazujących „gdzie indziej i jutro”. Tak właśnie B. Blanc wyobrażał sobie bezpośredni kierunek rozwojowy „nowej SF” specyficznie francuskiej, stwarzający jej zarazem szansę najpełniejszego określenia swej narodowej tożsamości, czemu dał również wyraz w rok później, w książce **Pourquoi j'ai tué Jules Verne** (Dlaczego zabiłem Jules'a Verne'a). Kolekcja **Ici et Maintenant** — z którą związało się również pismo **Alerte**, propagujące „wojującą SF” — przetrwała zaledwie do roku 1980, jednakże stanowiła na rynku wydawniczym wydarzenie niewątpliwie istotne, jako że odzwierciedlała pewną ogólną tendencję, typową dla francuskiej literatury SF ostatnich czasów.

Spśród autorów, których utwory znalazły się w tej kolekcji najbardziej wyróżnił się, uważany dziś za jednego z najzdolniejszych młodych twórców SF, Jean-Pierre Hubert. Już w pierwszych tomach **Ici et Maintenant** (stanowiących antologię zatytułowane **Ciel lourd, béton froid** i **Planète socialiste**) figurowały jego nowele **Le bon profil** oraz **Retour au pays qui fut**, a w **Alerte N° 1** — jego **Lorelei**. Lecz najważniejszą pozycję stanowiła tu jego powieść **Mort à l'étouffée**, która ukazała się w roku 1978, w następnym zaś otrzymała Grand Prix przyznaną na kongresie SF w Tuluzie. W 1980 roku B. Blanc opublikował jeszcze w swej kolekcji drugą powieść Huberta, **Couples de scorpions**.

Jean-Pierre Hubert (ur. w 1941 roku, z zawodu nauczyciel) nie był już wówczas debiutantem w dziedzinie literatury SF. Zdążył wydać szereg nowel (m.in. również w **Univers**, oraz w antologii **Les Soleils noirs d'Arcadie**), a także, w 1975 r., powieść **Planète à trois temps**, w redagowanej przez A. Dorémieux kolekcji Nebula. W kolekcji tej znalazły się zresztą również (obok nowatorskiej antologii Di Walthera) pierwsze powieści paru innych młodych, utalentowanych pisarzy, jak Dominique Douay (**Le printemps de Terre Douze**) czy Joel Houssin (**Locomotive rictus**), którzy wraz z samym Huber-

tem, Waltherem oraz paru innymi (jak Bernard Mathon, Jean Le Clerc de la Harverie, czy nawet Pierre Suragne, który później odrzucił ten pseudonim i podpisywał się już jako Pierre Pelot) nazwani zostali przez krytyków generacją „młodych wilków” francuskiej SF („Les Jeunes Loups”).

Jednakże właśnie związek J.-P. Huberta z **Ici et Maintenant**, a przede wszystkim powieść **Mort à l'étouffée**, która przesądziła o jego pisarskim sukcesie, stały się przyczyną uznania go przez krytykę za autora reprezentującego francuską „politic fiction”. Już wówczas miał on do podobnej etykiety niejaki zastrzeżenia (chętniej już widząc siebie jako „młodego wilka”), choć nie mógł się od niej odżegnywać całkowicie.

Istotnie, powieści Huberta z pewnością nie pod każdym względem odpowiadają temu, co zazwyczaj rozumie się pod pojęciem „politic (bądź political) Fiction”. Tradycyjnie, określenie to odnoszone bywa do pewnego typu literatury SF (względnie do odmiany literackiej traktowanej jako autonomiczna i do „science fiction” nie należąca), którą charakteryzuje kilka zasadniczych prawidłowości. A więc, przede wszystkim, autor odwołuje się do pewnej rzeczywistej sytuacji społeczno-politycznej i dokonuje ekstrapolacji niektórych jej elementów, przy czym w grę wchodzi tu przyszłość niezbyt odległa, w granicach kilku lat. Opowiadanie koncentruje się wokół istotnych zjawisk i przeobrażeń o charakterze politycznym (niezależnie od aspektów socjologicznych), jak przemiany ustrojowe, konflikty zbrojne, itp., a jednocześnie także wokół jednostek mających na te przeobrażenia zasadniczy wpływ. I wreszcie, utwory te zdradzają wyraźną intencję moralizatorską autora, wyrażają jego krytyczny stosunek do przedstawianych spraw, przy czym może tu występować również postawa w pełni aprobująca, jak na przykład w przypadku wielu autorów radzieckich. Za klasyczne przykłady „politic fiction” uważane są takie powieści, jak **1984** G. Orwella, czy **Les hommes protégés** R. Merle'a (1974). W ostatnich czasach pojęcie „PF” uległo pewnemu rozszerzeniu, związanemu z jej ewolucją,

która polega przede wszystkim na coraz większym zainteresowaniu autorów problematyką socjologiczną, czy też na przykład ekologiczną. W takim ujęciu, owa „polityczność” staje się w zasadzie jednym z aspektów „speculative fiction”, do jakiej, na gruncie specyficznie francuskim, z pewnością zaliczyć można utwory J.-P. Huberta.

Niezależnie od swej przynależności do pewnej odmiany współczesnej francuskiej SF o charakterze kontestacyjnym i nowatorskim, powieści Huberta odznaczają się wyraźną indywidualnością. Utrzymane na wysokim poziomie literackim, zawierają wiele ciekawych i oryginalnych pomysłów, cechują się bogactwem języka i dojrzałością stylu, a równocześnie — uderzają szczególnym sposobem konstruowania świata przedstawionego oraz jego specyficznym charakterem. J.-P. Hubert jest pisarzem ciągle jeszcze „młodym”, lecz wysoko cenionym przez krytykę i mającym już ustaloną pozycję, jako jeden z najzdolniejszych wśród współczesnych francuskich twórców SF. Po sukcesie powieści **Mort à l'étouffée**, otrzymał w 1982 roku kolejną nagrodę w kategorii noweli, a w 1984 r. laureatką Grand Prix francuskiej SF została jego druga najbardziej znana powieść, **Le champ du Rêveur** (Obszar Marzyciela), wydana w 1983 roku, w kolekcji **Présence du Futur** wydawnictwa Denoël. W tej samej kolekcji ukazała się także, w 1984 roku, kolejna powieść Huberta **Les faiseurs d'orages**.

Świat powieści Huberta trudno jest raczej odbierać w kategoriach tradycyjnie literaturze SF przypisywanej „racjonalności”. Stanowi on jak gdyby dynamiczną, nie do końca dopowiedzianą strukturę utkaną z rozmaitego rodzaju elementów, często ze sobą ostro kontrastujących, wśród których przewijają się właściwe człowiekowi dnia dzisiejszego obsesje, lęki, czy narzucone prawami bytu społecznego uwarunkowania świadomości. Świat ten odpowiada raczej złożonemu, przesyconemu irracjonalnością światu ludzkiej psychiki, nawet jeśli przedstawiony jest jako „rzeczywistość” materialna. Związek tworzonych przez autora obrazów z obszarem świata psy-



chicznego człowieka może ujawniać się dopiero w procesie czytelniczej percepcji (**Mort à l'étouffée**), lecz bywa także wyraźnie zaznaczony w płaszczyźnie samego tekstu (**Couples de scorpions**), a nawet może się stać podstawowym elementem w konstrukcji świata przedstawionego, jak to ma miejsce w przypadku **Le champ du Rêveur**.

Struktura powieściowego świata Huberta jest strukturą wyraźnie wyizolowaną, zamkniętą w pewnych nieprzekraczalnych granicach, czy to w sensie dosłownym i „materiałnym”, czy również psychologicznym. Bohater, jako jednostka bądź społeczność, pozostaje w zamkniętym kręgu zdarzeń, którym towarzyszy tragiczna w swej wymowie atmosfera nieuchronności. Jeśli nawet udaje mu się poza ten krąg wydostać, to wyzwolenie okazuje się pozorne, gdyż poza danym obszarem istnieje w zasadzie już tylko pustka, lub też — w nieuchronności zdarzeń czai się groźba cyklicznych powtórzeń poszczególnych etapów przeznaczonego jednostkom losu. To ostatnie odnosi się przede wszystkim do powieści **Couples de scorpions**, gdzie jednak autor sugeruje w końcowych zdaniach tekstu, że przełamanie istniejącego porządku ma charakter ostateczny.

Najbardziej dosłowną ilustrację „zamkniętego świata” przedstawił Hubert w powieści **Mort à l'étouffée**. Świat ten, nazywany przez swych mieszkańców „Wszechświatem”, jest ogromną bańką, we wnętrzu której żyje społeczność pogrążona w odwiecznej terażniejszości, nie posiadająca własnej przeszłości ani przyszłości. Na zewnątrz, poza ścianą Wszechświata czai się przerażająca pustka, a wraz z nią — tajemniczy, nieznanый wróg, przed którym strzegą swych współobywateli „Obrońcy” w porzewiałych zbrojach... Koncentryczny układ tego miasta-świata (dzielnica urzędników, dzielnica nędzy, strefa powstałych na pokładach gnijących odpadków mokradeł i dżungli) odpowiada jego zhierarchizowanej strukturze społecznej. W jego centrum znajduje się wylot gigantycznego „leja”, skąd w całkowitym bezładzie wyłaniają się najprzeróż-

niejsze przedmioty, produkty spożywcze, a także nie ożywione jeszcze „larwy” istot ludzkich. Z tej wielkiej kloaki, będącej ich jedyną „żywicielką”, a nawet i „matką”, mieszkańcy Wszechświata pracowicie wyławiają nie tylko to wszystko, co jest im potrzebne do zaspokojenia własnych potrzeb, lecz także niezliczone przedmioty, których przeznaczenia mogą nawet nigdy nie pojąć. Nie jest to zresztą istotne. Głównym ich celem jest staranne sklasyfikowanie wszystkiego i złożenie w odpowiednich magazynach. Niezliczona rzesza urzędników, należących do warstwy uprzywilejowanej i pracujących w rozmaitych działach gigantycznego Urzędu Klasyfikacji, zajmuje się sortowaniem i opisywaniem tych wszystkich rzeczy, często uszkodzonych lub całkiem zniszczonych, wśród których są m.in. książki, ubrania, narzędzia, broń, czy „przedmioty niezidentyfikowane”. Niższe rejony miasta zamieszkuje biedota, wegetująca dzięki odpadkom z dzielnicy „uprzywilejowanych”, zewnętrzne obszary zaś — pariasi, podobni prymitywnym, leśnym dzikusom. Władzę najwyższą i absolutną sprawuje w tym świecie anonimowy „dyktator”, skryty we wnętrzu czarnego pudła zwanego „konfesjonałem” i wyrażający swą wolę wyłącznie za pośrednictwem głośnika, bełkotliwie i często niezrozumiale, tolerujący najbardziej obelżywe słowa wypowiedziane pod swoim adresem i rozdzielający wyroki śmierci (albo przywileje) w sposób pozbawiony sensu. Cała ta struktura społeczna jest niewzruszona i niezmienna, podobnie jak wszystkie prawa rządzące tym zamkniętym światem. Żadnego znaczenia nie może mieć nawet fakt, że komuś udaje się wydostać na zewnątrz kuli-Wszechświata (odkrywa, że istnieje tam jedynie drugi, podobnie zamknięty świat, skąd „strumień” najrozmaitszych produktów oraz „larw” ludzkich bierze swój początek), lub że w dzielnicach nędzy kiełkuje ziarno buntu. Opór garstki pariasów zostaje krwawo stłumiony, a miejsce obalonego dyktatora (którego, wraz z czarnym pudłem, tłum dosłownie „wdeptuje w ziemię”) natychmiast zajmuje jego następca.

**Mort à l'étouffée** zwraca przede wszystkim uwagę jako książka, która mówi o rozkładzie tkwiącym w istocie kapitalizmu. Z drugiej strony zaś, zawarty w niej obraz jest odpowiednikiem pewnego stanu „wewnętrznego”, właściwego psychice człowieka doby monopolizacji, gdzie on sam sprowadzony zostaje do roli przedmiotu, przy podmiotowej roli spełnianej przez jego własne wytwory.

Jednym z aspektów tego rodzaju stanu „przedmiotowości” jest poczucie zagubienia, wyobcowania. We współczesnej literaturze SF, a w powieściach J.-P. Huberta w szczególności, znajduje ono swe odzwierciedlenie w obrazie świata, który dla żyjącego w nim bohatera jest całkowicie niezrozumiały i nieznan, gdzie musi on dopiero starać się o wyjaśnienie zagadki własnej egzystencji i rządzących nią praw. W przypadku **Mort à l'étouffée**, tego rodzaju wyjaśnienie w zasadzie nie istnieje i co najwyżej może sprowadzać się do potwierdzenia istniejącego stanu rzeczy. Z kolei w **Le champ du Rêveur**, Okrhud stopniowo uzyskuje pełną wiedzę na temat swojego świata oraz własnej w nim obecności, a świat ten, jako „obszar zamknięty”, zawiera się równocześnie w pewnych granicach materialnych (powierzchnia danego kontynentu czy planety), oraz w granicach „obszaru snów”, czy wręcz jednego i bez końca powtarzającego się w różnych wersjach koszmarne snu, który śni Istota będąca tutaj „demiurgiem”. Ona to właśnie powołała do istnienia Okrhuda i jemu podobnych, w istocie będących wyłącznie wykonawcami wyznaczonej im roli. Podobna sytuacja pojawia się również w powieści **Les faiseurs d'orages**, gdzie władający światem Nieśmiertelni nie „stwarzają” co prawda nowych ludzi, lecz mogą „przenikać” w psychikę, a zarazem i w ciała wybranych osób, które spełniają wówczas jedynie rolę „wierzchowców”, nawet jeśli wydaje im się, że działają zgodnie z własną wolą. Zagubiona w strasznym i niezrozumiałym świecie bohaterka nie wie nawet kim sama naprawdę jest, jednakże stara się poznać i zrozumieć otaczającą ją rzeczywistość, co jej się w pełni udaje, pomimo że

przez jakiś czas musiała postępować zgodnie z kapryсами „kierującej” nią jednej z Nieśmiertelnych.

Nieco inaczej dzieje się w przypadku **Couples de scorpions**, gdzie bohater żyjący w pewnej „strefie zamkniętej”, zarówno w sensie przestrzeni fizycznej jak i całokształtu uwarunkowań o charakterze czysto psychicznym, ma do czynienia z „rzeczywistością pozorną”, z której więzów musi się przede wszystkim uwolnić, by móc następnie rozwikłać zagadkę własnego bytu i własnego, „rzeczywistego” świata. W powieści tej Hubert ukazuje człowieka, który początkowo wie o sobie tylko tyle, że oto żyje, wraz z towarzyszącą mu kobietą w całkowicie „zautomatyzowanym” i szczelnie zamkniętym mieszkaniu, przy czym wyższe piętro tego „domu” zajmuje ich śmiertelny wróg, który bezustannie, dniem i nocą usiłuje dokonać zamachu na ich życie. Posługuje się w tym celu mechanicznymi owadami, które mogą zarówno drążyć ściany, jak i „wgryzać się” w ciała swych ofiar. Jest to ciągły, nieustający koszmar, a atmosferę strachu i beznadziejności dodatkowo potęguje fakt, że za pancernymi szybami szczelnie zamkniętych okien rozciąga się bezmiar wód oceanu, w regularnych odstępach czasu zalewających cały dom i odcinających nawet dostęp słonecznego światła, oraz że w pomieszczeniach piwnicznych czai się nieznana groza, skuteczniej broniąca tam dostępu niż najmocniejsze zamki. Jediną dostępną bohaterowi formą ucieczki jest jego tajemnicza zdolność „wcielania” się w postać zupełnie obcego mu człowieka, który żyje samotnie w domu położonym w głębokim lesie, a którego wyłącznym w zasadzie zajęciem jest zabijanie innych, podobnych mu mężczyzn, kochanków jedynej kobiety, jaka również mieszka na tym terenie. Pewnego dnia bohaterowi udaje się jednak opuścić swe mieszkanie — skąd uprzednio, w niewiadomy sposób zniknęła jego towarzysza — i odkrywa „zewnątrzny” świat, całkiem inny od fałszywego obrazu oglądanego przez okna. Okazuje się, że jego „dom” był w istocie jednym z tysięcy podobnych, szczelnie zamkniętych pomieszczeń wbudowanych w skalny masyw gi-

gantycznej skarpy, której ogrom czyni z niej swego rodzaju granicę „prawdziwego” tym razem świata. Prześladowca z „górnego piętra” nigdy nie istniał naprawdę i był tylko wytworem jego własnej psychiki. Również inne osoby, jak jego dotychczasowa towarzyszka czy człowiek z lasu, pomimo swego z pozoru „materialnego” bytu, były jedynie postaciami tworzącymi jedność z nim samym, w obrębie pewnej autonomicznej „jednostki psychicznej”. Równocześnie z bohaterem, wyprawę w poszukiwaniu wyjaśnienia zagadki własnej egzystencji rozpoczyna kobieta z lasu, której przeznaczone jest z nim właśnie się połączyć. Cały odkryty przez nich świat ogranicza się właściwie do współistnienia — na zasadzie ściśle zdeterminowanych układów i zależności — kilku osobnych społeczności odpowiadających osobnym „rodzajom” ludzi, których byt oznacza tu pewien stan utrwalony i niezmienny, jak gdyby odezwany od pojęcia przeszłości i przyszłości. Przy czym tym razem przeszłość daje jednak o sobie znać, chociażby poprzez odkryte przez bohaterów w urządzeniu tego świata (a równocześnie i w nich samych) niezwykle możliwości działania. Dzięki temu pojawia się także przed nimi szansa sięgnięcia po prawdziwą Przyszłość.

W powieściach J.- P. Huberta bardzo charakterystyczna jest obecność postaci, które niejako pozbawione zostają własnej przeszłości, lub także i przyszłości. Bohaterowie tacy, to zarówno jednostki, jak i reprezentowane przez nie zazwyczaj grupy społeczne. Przeszłość oznacza tu zarazem określoną historię, zdobytą wiedzę oraz pewien zespół doświadczeń, czyli ogólnie rzecz biorąc to wszystko, co stanowi o ludzkiej niezależności, o świadomości własnych celów, dążeń i możliwości działania, tak w sensie jednostkowym jak i społecznym. Z kolei przyszłość, to także przywilej wolnego wyboru, to aktywne kształtowanie własnego losu oraz całej dostępnej ludzkiemu działaniu rzeczywistości. Przeszłość i przyszłość, określające egzystencję człowieka jako istoty rozumnej, są jego niezbywalnym prawem i przywilejem. Pozbawiony ich, a tym samym

sprowadzony do poziomu zwierzęcia lub mechanizmu, staje w obliczu przeciwnej jego naturze pustki, wywołującej wewnętrzny sprzeciw i mniej lub bardziej świadomy odruch buntu. W **Mort à l'étouffée**, mieszkańcy Wszechświata pozbawieni zostają nawet własnego dzieciństwa w sensie biologicznym: rozpoczynają życie od razu jako ludzie dorośli, powstałi w wyniku przekształcania się stopniowo „ożywających” larw, a miarą upływu ich dni może być co najwyżej rodzaj pożywienia, jakie w danym okresie pojawiało się na powierzchni leja. W **Le champ du Rêveur**, sztucznie powołany do życia Marzyciel skazany jest wyłącznie na trwanie, którego koszmar znieść można jedynie uciekając w świat marzeń sennych, a które staje się również udziałem ludzi, powstających jako marzeń owych materializacja. Nieuchronną konsekwencją takiego stanu jest bunt, przybierający formę świadomego i celowego działania, które oznacza także egzekwowanie przez pozbawione przeszłości istoty ich prawa do posiadania własnej przyszłości. Podobny rodzaj buntu występuje w **Couples de scorpions**, a także w ostatniej powieści Huberta, **Les faiseurs d'orages**, gdzie szczególnie mocno akcentuje on problem prawa społeczeństw do naturalnego, historycznego rozwoju, w którym jednostka spełniać powinna rolę ogniwa w łańcuchu kolejno następujących po sobie generacji.

W **Les faiseurs d'orages**, Ziemia stała się dla swych mieszkańców „światem bez przeszłości, w którym żyją jak ślepcy, a ich egzystencja służy jedynie igraszkom niezwykłych, okrutnych potęg. Cała przeszłość, wraz z zawierającą się w niej historią została celowo i dokładnie pogrzebana, starta w proch siłami potężnych, sztucznie wywoływanych wstrząsów sejsmicznych, czemu towarzyszyło również psychiczne „ubezwłasnowolnienie” ludzkości, poprzez całkowite podporządkowanie jej woli „istot wyższych”. Cała Ziemia stanowi jak gdyby poletko doświadczalne, czy wręcz po prostu „plac zabaw” pięciorga Nieśmiertelnych, za sprawą których zmienia się nawet kształt kontynentów, a cała ludzka cywilizacja ulega

„reorganizacji”, zakładającej m.in. wprowadzenie większości ludzi w stan trwającego niemal przez całe życie snu. W obrębie tego przerażającego świata, gdzie resztki dysponujących pozorami wolnej woli ludzi usiłują za wszelką cenę przystosować swe codzienne życie do szczególnych warunków, stwarzanych przez bezustannie powtarzające się wstrząsy sejsmiczne oraz innego typu „ingerencje sił wyższych”, istnieje jak gdyby osobny, zamknięty świat: otoczona jeziorem gorącej lawy góra „wyspa”, z zamieszkującą ją mikrospołecznością pięciorga Nieśmiertelnych. W rzeczywistości są oni również „zwyczajnymi” ludźmi, z tym tylko, że w ciągu swego trwającego kilka wieków życia nauczyli się wykorzystywać możliwości z pozoru „nadprzyrodzone”, jakie kryją się właściwie w każdym człowieku. Ich nieśmiertelność nie oznacza jakiejś szczególnej cechy biologicznej, lecz jedynie możliwość korzystania z „banku” coraz to nowych ciał, które „wytwarzane” są drogą klonowania, i w które „przenoszona” jest ich świadomość. System ten funkcjonuje dzięki niezwykłym urządzeniom stanowiącym szczytowe osiągnięcie naukowo-techniczne cywilizacji, jaka istniała niegdyś na Ziemi, lecz dawno już została pogrzebana w mrokach zapomnienia. Wszystkie ciała Nieśmiertelnych są jak najbardziej „śmiertelne” i podlegają zwyczajnemu procesowi starzenia się. Jest to więc forma nieśmiertelności dopuszczająca możliwość wyboru: w każdej chwili można położyć kres własnemu istnieniu. Istnienie to jest już zresztą od dawna bezsensownym w gruncie rzeczy trwaniem, pozbawionym nie tylko wartości, jakie ludzkiemu życiu nadaje chociażby sama nieuchronność śmierci, lecz również celowo zapomnianej przeszłości. Manipulowanie „zwyczajną” ludzkością, przeobrażanie oblicza Ziemi, czy nawet przedsięwzięta przez jednego z Nieśmiertelnych podróż kosmiczna, stanowią jedynie namiastki rzeczywistego celu, jakiego egzystencja tych psychicznie zdegenerowanych istot ludzkich w rzeczywistości nie posiada. Oprócz znęcania się nad bezbronniymi „śmiertelnikami”, jedyną zajmującą ich jeszcze formę rozrywki

stanowią toczony pomiędzy sobą, okrutne i krwawe potyczki, oraz perwersyjna rozkosz zadawania i przeżywania „odwracalnej” śmierci. Ci fałszywi, ukryci na swym iście diabelskim „Olimpie” bogowie, w konfrontacji z przedstawicielami „zwyyczajnej” ludzkości ponoszą klęskę, która w gruncie rzeczy jest wyłącznie ich własną, od dawna zbliżającą się klęską, oznaczającą dla nich także ostateczne „wyzwolenie: dysponując możliwością dowolnie długiego — a zarazem sprzecznego z istotą ich człowieczeństwa — trwania, pozostawali niejako poza czasem, i nie posiadali prawdziwej Przyszłości.

Zjawisko zbliżania się danej społeczności do kresu swej naturalnej drogi rozwoju, które wiąże się z osiągnięciem przez nią niezwyklej, niemalże „boskiej” potęgi (w postaci możliwości działania, które wydawać się mogą wręcz „nadprzyrodzone”), zauważyć można także w przypadku kosmicznej cywilizacji Runijczyków, występującej w **Obszarze Marzyciela**. Cywilizacja ta, obejmująca trzy żyjące „w symbiozie” rasy, do zachowania rzeczywistej równowagi potrzebuje w istocie jeszcze czwartej, czego ilustrację stanowią dramatyczne wydarzenia rozgrywające się na terenie barduańskiej „placówki badawczej”. Lecz już sam fakt poszukiwania przez jej przedstawicieli tego wszystkiego, co określają jako „nowe struktury estetyczne”, same realizowane przez nich „programy badawcze”, związane z eksploracją występujących w kosmosie niższych inteligencji, świadczą o istnieniu potrzeb, których zaspokojenie przekracza jej własne możliwości. Mózg istoty stosunkowo „prymitywnej” — a równocześnie bardzo zbliżonej do nich pod względem biologicznym — jest dla Runijczyków źródłem, z którego mogą czerpać podniecające, nowe wrażenia. Za pośrednictwem sztucznie tworzonych obrazów gwałtu i okrucieństwa, ukazujących prawdziwie „ludzkie” błędy, jakie ze swojego życia dawno już wyeliminowali, odnajdują atawistyczne uczucia i emocje pod pozorami kategorii czysto „estetycznych”. Jorick, będący w tej powieści postacią spełniającą jednocześnie funkcję obserwatora i komentatora



własnej rzeczywistości, określa w rozmowie z Lotharem podobny stan świadomości jako „rozkoszny zawrót głowy w obliczu przepaści”. Runijczycy, którzy osiągnęli już tak wysoki poziom cywilizacyjnego rozwoju, zatracili zarazem niektóre niezbędne człowiekowi zdolności i obecnie dla wypełnienia rysującej się przed nimi pustki sięgać mogą właściwie już tylko do tego, co dla nich samych dawno stało się przeszłością. Ich własne umysły, zajęte udoskonalaniem osiągnięć technicznych czy struktur społecznych, nie są zdolne do samodzielnych poczynań o charakterze prawdziwie twórczym, niezależnych od sztywnych barier racjonalności. Ich wyobrażenia potrzebują bezpośrednio, wręcz materialnej podstawy, jaką zapewnić im mają wydarte innej istocie marzenia. Prowadzone przez nich „badania naukowe” są właściwie jedynie pretekstem poczynań, związanych przede wszystkim z rozpaczliwym poszukiwaniem u innych czegoś Nowego, czego nie są w stanie stworzyć sami. Zdegenerowani emocjonalnie, nie uświadamiają sobie rozmiarów własnego okrucieństwa, które co najwyżej traktują jako racjonalnie uzasadnioną konieczność, określając poddaną najgorszej torturze ofiarę jako „obiekt obserwacji” i urządzając dla niej pomieszczenie możliwie „najwygodniejsze”. Nie przejmują się również śmiercią ludzi, powstałych w wyniku syntetyzowania materii. Dopiero bezpośrednia konfrontacja ze stworzonym przez Marzyciela światem wyzwala atawistyczną zdolność odczuwania zarówno litości, jak też na przykład głodu (zapach pieczonego mięsa). Do tej pory pozostawali wyłącznie w swym „zamkniętym świecie”, szczelnie odizolowani nawet od „niezdrowej” atmosfery planety Barduana.

Tak więc, pomimo niezwykłych środków technicznych umożliwiających „stwarzanie” dowolnych obiektów materialnych a nawet i żywych ludzi, specjaliści runijscy nie są bynajmniej bogami-stwórcami i ich możliwości są w zasadzie bardzo ograniczone. Istotą dysponującą prawdziwie „boską” zdolnością tworzenia staje się w tym przypadku Marzyciel,

którego są oni — przynajmniej w początkowym okresie — dobrowolnymi „sługami”. On to właśnie tworzy nowy, własny świat, którego dalsze dzieje przebiegać będą zgodnie z nadanym mu pierwotnie kształtem. Jeśli nawet jest „bogiem szalonym”, poczynaniami jego kieruje niezłomna, choć chwilami wręcz absurdalna logika i konsekwencja. To logika dziecka, dla którego wojenne szaleństwo dorosłych stanowiło dominujący, element w obrazie otaczającej je rzeczywistości, i choć niezrozumiałe, stało się czymś zwyczajnym i oczywistym.

W literaturze SF temat człowieka stwarzającego nowy, autonomiczny świat pojawia się stosunkowo często. W niektórych przypadkach są to postacie prawdziwych „bogów”, dysponujących mocą wręcz nadprzyrodzoną (niezależnie od proponowanych uzasadnień), w innych w grę wchodzi jedynie odpowiednie środki technologiczne, w jeszcze innych wreszcie — autor odwołuje się do koncepcji „rzeczywistości równoległych”, które mogą być także powoływane do istnienia mocą ludzkiej wyobraźni czy woli. Różne przykłady postaci „człowieka-boga” znaleźć można na przykład w **The Univers Makers** P. J. Farmera, **The Dead Island** R. Zelazny'ego, **The Man God** M. Moorcocka, czy **La naissance des dieux** Ch. Henneberga, a na gruncie polskim — w **Solaris** S. Lema, gdzie w charakterze bezpośredniego „stwórcy” występuje niezwykle ocean, a także na przykład w opowiadaniu A. Zimniaka **Potamtej stronie**, w którym bohater dowiaduje się, że jego świat jest tylko jedną z wielu realnie istniejących rzeczywistości, tworzonych mocą ludzkiej wyobraźni, ponieważ to właśnie „siła psychiczna jest stymulatorem kreacji światów”; w jednym z takich światów poznaje nawet kobietę, która pięć tysięcy lat temu stworzyła Ziemię wraz z jej historią.

W przypadku **Obszaru Marzyciela**, „stwarzanie” nowego świata polega jedynie na przekształcaniu pewnego wycinka „realnej”, obiektywnie już istniejącej rzeczywistości (planeta Barduana), poprzez wprowadzanie nowych, sztucznie „syntetyzowanych” elementów. Jest to przede wszystkim „stwarza-

nie” nowej społeczności, która skonfrontowana zostaje ze społecznością trzech ras runijskich, a następnie z gatunkiem inteligentnych ssaków morskich. „Syntetyzowanie” rozmaitych obiektów materialnych, a nawet istot żywych nie jest tu jakimś zjawiskiem o cechach „nadprzyrodzonych”, jednakże w przypadku samodzielnych poczynań Marzyciela proces ten nabiera szczególnego charakteru niezwykłości, a jego rezultat przekracza zdolności analitycznego myślenia runijskich specjalistów. „Ożywione obrazy” stają się autonomiczną rzeczywistością, która wdziera się w granice rzeczywistości „obiektywnej” i tym samym ulega zachwianiu cała, pozornie niewzruszona w swej racjonalności i określona chociażby prawami fizyki struktura materialnego świata. W pewnym momencie sami Runijczycy zaczynają zadawać sobie pytanie, jakie jest ich miejsce w tym nowym świecie, zrodzonym z marzeń sennych i ze strzępów wspomnień, równie irracjonalnym co bezwzględny i okrutny.

Rządząca światem Marzyciela przemoc i ślepe okrucieństwo są w całym jego obrazie tym bardziej istotne i przejmujące, że ich bezpośrednie źródło stanowi nasza, ziemską rzeczywistość, w której bolesne doświadczenia wojenne całych narodów bynajmniej nie wyeliminowały właściwych naturze ludzkiej, agresywnych instynktów. Te ostatnie są zresztą w literaturze SF demaskowane szczególnie często i w sposób całkowicie bezpośredni: od czasów najdawniejszych, obok nieprzyjaznych i okrutnych przedstawicieli „cywilizacji pozaziemskich” (jak chociażby Marsjanie ze znanej powieści H. G. Wellsa), w utworach SF występowały istoty równie — jeśli nie bardziej nawet — bezwzględne i okrutne, w postaci samych ludzi. Wymienić tu można chociażby temat przyszłych wojen, dzikiego świata epoki „poatomowej”, czy wreszcie wszelkiego rodzaju antyutopijne wizje przyszłości, w których przemoc — w formie indywidualnej czy zbiorowej — staje się prawem, a okrucieństwo codziennością, „zalegalizowaną” i oczywistą. Zabójstwa, masakry, gwałty, tortury (z jakimi też niekiedy uto-

zsamia się seks), egzekucje czy krwawe obrzędy zajmują we współczesnej SF bardzo wiele miejsca. Przemoc i gwałt często przybierają w niej formy wręcz perwersyjne, tym bardziej że wyobraźnia autorów nie napotyka tu praktycznie żadnych ograniczeń.

Tego rodzaju tendencje występujące w literaturze SF mogą oczywiście wynikać również z właściwego jej, jako literaturze „masowej”, dążenia do pozyskania sobie szerokiej rzeszy niezbyt wymagających odbiorców, żadnych jedynie mocnych wrażeń, sensacji czy wręcz pornografii. Jednakże w przypadku SF reprezentującej wyższy poziom literacki, łatwo zauważyć można związek ukazwanego przez autorów okrucieństwa i przemocy z krytyką społeczną, z protestem przeciwko zjawiskom występującym we współczesnym, realnym świecie. W twórczości autorów najmłodszych generacji staje się to niemalże powszechną formą kontestacji, protestu wobec tradycyjnie przez społeczeństwo respektowanych, lecz zdewaluowanych już norm i wartości. Taka forma kontestacji szczególnie wyraźnie zaznacza się u młodych autorów francuskich, którzy dość ostro odcinają się od „racjonalności” uosabianej przez różnego typu struktury społecznego współżycia, również m.in. w sferze wzajemnych stosunków obu płci.

Powieści J.-P. Huberta z pewnością stanowić tu mogą przykład niezwykle jaskrawy. Gwałt, przemoc i okrucieństwo są w nich bezustannie obecne, jako integralny element rzeczywistości bohaterów, począwszy od sadystycznego wręcz charakteru stosunków społecznych panujących we Wszechświecie z **Mort à l'étouffée**, poprzez samą istotę okrucieństwa, jaka wciela się w absurdalny świat Marzyciela, aż po bezlitosne, niszczycielskie poczynania Nieśmiertelnych z **Les Faiseurs d'orages**. Bohaterowie Huberta reprezentują światy zimne i bezwzględne, gdzie nawet seks pozbawiony jest głębszych wartości emocjonalnych, o ile nie staje się wręcz synonimem tortury. Są to zarówno światy „materialne”, jak i wewnętrzne „światy” ludzkiej psychiki, których uwarunkowania odwołać

można do realiów pozatekstowej rzeczywistości. W **Obszarze Marzyciela** uwarunkowania takie zostają zresztą przedstawione bezpośrednio. „Świat” stworzony przez Marzyciela na planecie Barduana staje się jak gdyby kontynuacją naszego świata, który jednocześnie zajmuje miejsce jego nie istniejącej w sensie dosłownym Przeszłości. Przeróżająca w swym bezwzględny okrucieństwie Ziemia II stanowi tym samym świadectwo zła obecnego w naszej współczesnej cywilizacji, jako jego brutalnie logiczna konsekwencja.

**Obszar Marzyciela**, to z pewnością obok **Mort à l'étouffée** najciekawsza powieść J.-P. Huberta. Dość tradycyjna pod względem formalnym, posiada zarówno atrakcyjny temat jak i żywą, bogatą fabułę, a jednocześnie stanowi przykład środków wyrazu właściwych „młodej” francuskiej SF. Brutalna, drażniąca i prowokująca w stosunku do czytelnika, może spotkać się nawet z jego dezaprobatą, lecz nie pozwala mu na zachowanie obojętności. Jako powieść reprezentująca gatunek SF, zawiera w sobie niektóre elementy tematyczne przynależne do klasycznego już dziś repertuaru, do którego jednak autor odwołuje się jedynie celem tym sprawniejszego konstruowania własnych, całkowicie oryginalnych wątków. I tak na przykład temat „przeszczepienia mózgu”, który już w 1908 r. zajął centralne miejsce w znanej powieści M. Renarda **Le docteur Lerne**, nie mówiąc już o wszelkich jego późniejszych zastosowaniach i modyfikacjach, zostaje przez Huberta wykorzystany już nie tyle jako istotna sama w sobie „niezwykłość” naukowo-techniczna, lecz jako środek umożliwiający przetransponowanie pewnych treści — odnoszących się do rzeczywistości pozatekstowej — w świat materializujących się wizji i marzeń. Niezwykłe urządzenia techniczne, jakimi dysponuje pozaziemska cywilizacja, a przede wszystkim stosowane przez jej przedstawicieli „syntetyzatory materii” spełniają jedynie pewną określoną funkcję i nie zostają nawet przez autora bliżej przedstawione. Podobnie postępował Hubert również i w innych powieściach, gdzie „niezwykłości” naukowo-techniczne

nie stanowiły nigdy przedmiotu szczególnego zainteresowania narratora.

Jest to zresztą postępowanie typowe dla współczesnej literatury SF, dysponującej całą bogatą tradycją w postaci konwencjonalnych schematów fabularnych oraz metod narracji: autorzy od dawna nie potrzebują już pracowicie i drobiazgowo opisywać na przykład środków kosmicznego transportu, gdyż dysponują „gotowymi”, dowolnie udoskonalonymi „gwiazdolotami” czy „statkami nadprzestrzennymi” i mogą z całą swobodą poświęcić się sprawom ważniejszym. Kolejnym jak gdyby etapem postępu dokonującego się na obszarze tej literatury jest całkowite uniezależnienie się od „space shipe’ów” i tym podobnych „gadgetów”: wystarczy powiedzieć, że mieszkańcy innej galaktyki, czy nawet innego universum udali się tu czy tam; nie chodzi już o to, w jaki sposób, lecz jedynie w jakim celu. Oni sami także, jako literacki temat „istot pozaziemskich”, przeszli już nader długą ewolucję (której początki sięgają co najmniej wieku XVIII-go): SF stopniowo przestała zajmować się „kosmitą” jako wyłącznie stworem o niezwykłych cechach zewnętrznych, często wywołujących odrazę czy przerażenie, i zaczęła traktować istoty pozaziemskie przede wszystkim jako przedstawicieli innej niż nasza cywilizacji, zakładając tym samym hipotetyczne odniesienia i relacje — nie zawsze w tekście zaznaczane bezpośrednio — w płaszczyźnie wielkich struktur społecznych. Ogólna tendencja polegająca na przenoszeniu zainteresowania z cech osobniczych „obcych istot” na ich cechy cywilizacyjne wiąże się z typowym dla SF sposobem ukazywania bohaterów (w tym również i ludzi) przede wszystkim jako przedstawicieli danych społeczności, o minimalnej ilości cech indywidualnych. Zjawisko to występuje wyraźnie w powieści Huberta, gdzie bohaterami są w zasadzie całe „grupy gatunkowe”, posiadające swych określonych z imienia „reprezentantów”.

**Obszar Marzyciela** stanowi jeden z najbardziej typowych przykładów „młodej” SF, jako przede wszystkim „fanta-

styki społecznej”, podporządkowującej swe wątki fabularne oraz struktury kompozycyjne zagadnieniom nadrzędnym, wykraczającym poza dane obszary spekulacji dokonywanych w płaszczyźnie fikcji literackiej. Jeśli nie przynależy on bezpośrednio do naszego „tutaj”, to z pewnością pozostaje związany z naszym „teraz”, a nawet z naszym dniem jutrzejszym.

*Październik 1986*

Barbara Okólska

## SPIS TREŚCI

Prolog

### **Część pierwsza:**

Więzienie Marzyciela

Bank obrazów

Narodziny Marzyciela

Nadmorska płyta

Pierwszy

Sankcje

Basen

Szyb nieważkości

Okrhud

Realizacja

Grabież

Kąpiel

### **Część druga:**

Król Okrhud

Pogromca bomby

Interakcja

Strefa zewnętrzna  
Sceny z łowów  
Wymiana  
Wtajemniczenie  
Powrót do punktu zero  
Porowata rzeczywistość  
Społeczeństwo mieczników  
Testament Zerta

Epilog

Posłowie